

Aneta Jadowska
Marta Kisiel
Magdalena Kubasiewicz
Milena Wójtowicz

Cztery pory magii

Każda pora roku
ma swoją magię,
a każda bohaterka
swoje demony...

EQN
imaginatio

Cztery
pory
magii

Aneta
Jadowska



Marta
Kisiel



Magdalena
Kubasiewicz



Milena
Wójtowicz



Książka zaprojektowana i wydrukowana w Polsce

Każda pora roku
ma swoją magię,
a każda bohaterka
swoje demony...

Cztery pory magii

Kraków 2023

Spis treści

[Okładka](#)

[Tytułowe](#)

[Spis treści](#)

[Wstęp](#)

[Cicha woda](#)

[Żar i wichur](#)

[Listopadowe dzieci](#)

[Jak długo trawi lew?](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Reklamy.](#)

WSTĘP

Czasami najlepsze pomysły przychodzą same, zakradają się cichutko i szepczą do ucha: a może by tak? Ta antologia jest wynikiem takiego podszeptu.

Uwielbiam antologie! Jako autorka i jako czytelniczka równie mocno. Sęk w tym (a zawsze jest jakiś sęk, bo mało co w życiu jest bezsęczne), że zwykle wiążą się one z ograniczeniami. A najważniejszym z nich jest liczba znaków. Opowiadania mają być krótkie, bo kiedy autorów cała gromada, objętość maszynopisu szybko dobija do „optymalnej” do wydania. Trochę za szybko, jak dla mnie.

Co poradzić, lubię długie opowiadania. Takie, które są już sporym kawałkiem historii, a nie obrazkiem czy szkicem. Opowiadania, które mają konkretne fabuły i bohaterów solidnie wydłubanych z pnia, a nie ledwie muśniętych. Standardowe czterdzieści tysięcy znaków to trochę za mało. I tu autorka i czytelniczka we mnie zgadzają się w pełni.

A gdyby tak nie ustawić limitu na czterdziestu tysiącach? A gdyby to było sto tysięcy? Ładna, okrągłutka liczba. I dajmy na to cztery autorki – bo to da akurat taką ładną książkę, solidną, ale jeszcze nie zagrażającą swoją opasłością nadgarstkom...

A gdyby tak, cudowna myśl, zaprosić do tej antologii autorki, na których teksty i tak czekam jak wygłodzony pelikan? Czytelnicze działanie

proaktywne, bądź zmianą, której potrzebujesz w świecie!

Tak to się zaczęło. Lista autorek była oczywista – Marta Kisiel, Magda Kubasiewicz i Milena Wójtowicz. Oczywiście można by ją rozszerzać o wiele innych, ale dla tej szerszej listy mamy projekty Hardej Hordy, a w ich ramach powstały już trzy nasze wspólne antologie.

Autorki chętnie się zgodziły. Wydawnictwo SQN było zainteresowane. Maszyna ruszyła!

Przez chwilę główkowałyśmy nad tematem – bo porządna antologia potrzebuje tematu – czegoś, co spina pisane do niej teksty klamrą celowości. Magda Kubasiewicz zaproponowała cztery pory roku, po jednej dla każdej – oczywiście, że z miejsca zaklepałam jesień, Marta Kisiel zimą, a Milena i Magda bez kłótni podzieliły się latem i wiosną.

I tak powstała antologia *Cztery pory magii*.

Milena Wójtowicz serwuje czytelnikom fantastyczne, bardzo polskie wesele. Ewa i Sabinka, znane już czytelnikom bohaterki Wójtowicz, muszą się zmierzyć ze skandalicznym brakiem komunikacji i różnicami kulturowymi w rodzinach pana i panny młodych, które zagrażają nie tylko idealnemu przebiegowi imprezy (cel nadrzędny organizatorki ślubów, Ewy) ale i życiu gości. Jest intensywnie, zabawnie i nie bez nuty BHP, jak to u Wójtowicz.

Magda Kubasiewicz serwuje czytelnikowi lato tak sugestywne i upalne, że czytelniczki w pewnym wieku mogą przez chwilę sądzić, że oto w ich życiu zagościły uderzenia gorąca! Młoda Sara i jej towarzysz Boreasz trafiają na wieś, która desperacko potrzebuje czarownicy, by ta zajęła się dręczącym mieszkańców problemem. Są skorzy jej zapłacić, dużo oporniej przychodzą im szczerze odpowiedzi na pytania Sary. Nic w tej historii nie jest sielankowe i letnie – gorące emocje, mroczna historia i trudne rozwiązania.

Ja serwuję wyjątkowo ponury listopad. Dora Wilk nie spodziewa się po nim niczego dobrego, a i tak zaskoczy ją to, jak nieprzyjemny może być. Sprawa sprzed lat wraca czkawką, a gdy znika kolejne dziecko, przestaje być „starą sprawą”. A Dora mierzy się nie tylko z tajemnicą, ale i ze swoim poprzednikiem na stołku Namiestnika. I, oczywiście, nadal nie mieszczę się w limicie znaków, ale tym razem to nie był dramat.

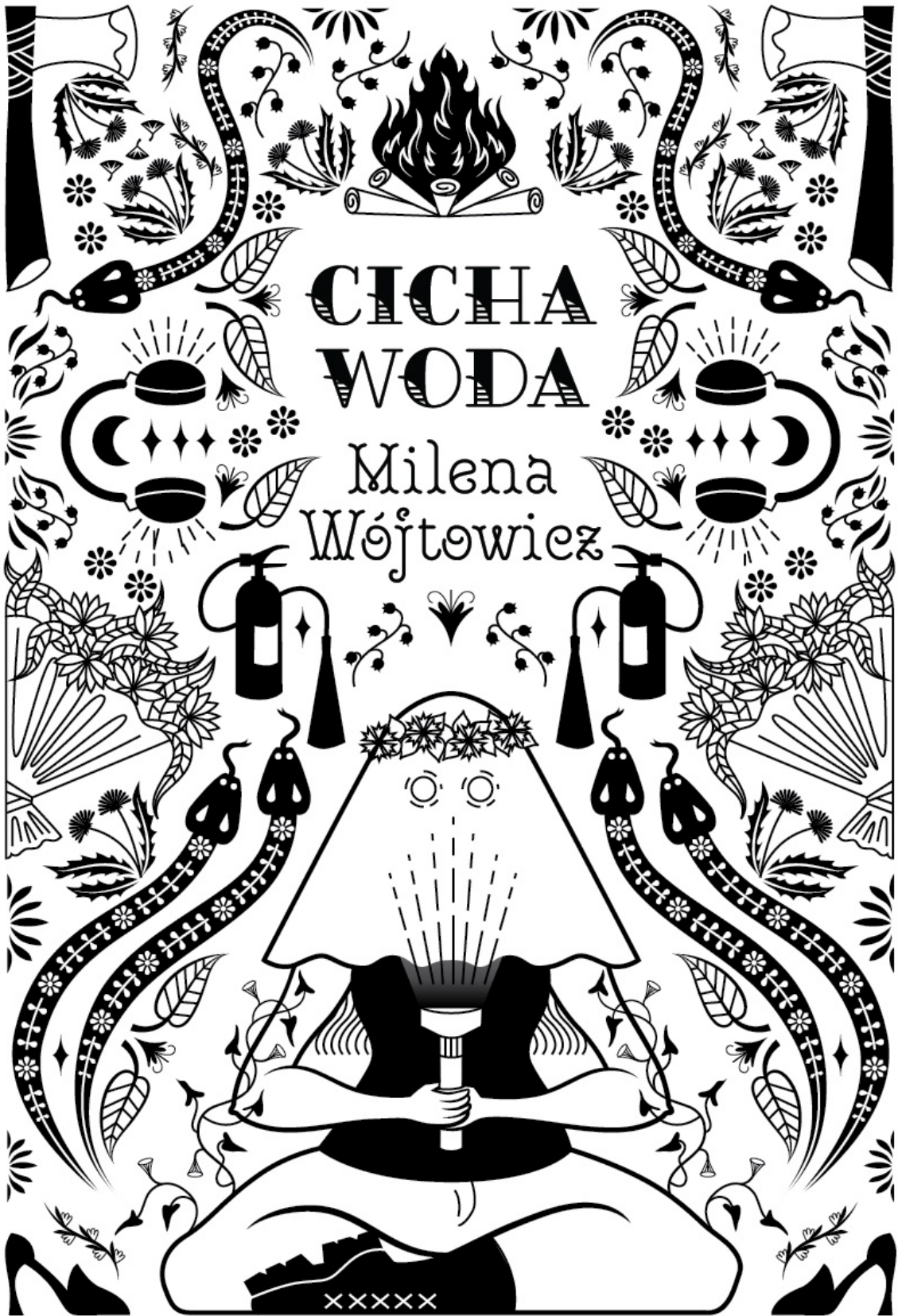
Wreszcie Marta Kisiel w iście szampańskim i sylwestrowym nastroju planuje hipotetyczny zgon. Hipotetyczny, by zapobiec innemu, również hipotetycznemu, ale już na serio. Całkiem nowa kompania bohaterek

i bohaterów, która, jak wieść niesie, przyjechała od razu z walizką pomysłów i rozgaszcza się w gabinecie Marty, nie przejmując się jej harmonogramem i planami. Są planszówki, są porady małżeńskie i, jak to u Kisiel, solidna dawka szajby.

Czy to przez nasze rozmowy o zbioru nasze głowy synchronicznie zaczęły nawiedzać słowiańskie (i nie tylko!) demony? Któż to wie? Jedno jest pewne – zyskały solidną reprezentację w naszych opowiadaniach.

Widać każda pora roku ma swoją magię, a każda bohaterka – swoje demony...

Aneta Jadowska



CICHA
WODA

Milena
Wójtowicz

TO BYŁ MAJ*

To miał być maj.

Miało być zielono, słonecznie, miały kwitnąć bzy i mleczce, a błękitne niebo odbijać się w tafli jeziora. Mieli stać na brzegu, pod drzewem, i przysięgać sobie miłość i wierność na zawsze: przed światem, urzędnikiem stanu cywilnego i gronem najbliższych. On ubrany w jasny garnitur i koszulę bez krawata, Ona – w prostą, długą sukienkę. Oboje boso. Wyszepotaliby do siebie całą swoją miłość, a wiatr poniósłby ich słowa hen, aż po kres świata.

Wieczorem bawiliby się przy ognisku, śmiali, tańczyli, a potem jedli kielbaski, siedząc na kocach. Iskry leciałyby w górę, niosąc świadectwo ich szczęścia hen, do nieba.

Byłoby idealnie.

*

Był marzec.

Zima niby odeszła, ociągając się, ale czuć było, że jeszcze została jedną nogą przed progiem niczym marudzący gość. Wiosna nie mogła się zdecydować, czy już przyjść, czy, jak to ostatnimi czasy bywało, odwlekać swoje nadejście jak długo się da, by potem tylko błysnąć przed nagłą eksplozją lata.

Trawa dopiero zaczynała się zielenić, pierwsze pąki lękliwie wychylały się z gałęzi, chowając się przed możliwymi przymrozkami, niebo było szare i szara była tafla Jeziora Turawskiego, jeszcze miejscami pokryta cienką warstwą topniejącego lodu.

Ale marzec miał w nazwie literkę „r”, a branie ślubu w miesiącu z literką „r”, zdaniem przyszłej teściowej Karoliny, wróżyło powodzenie w małżeństwie.

Zdaniem Karoliny Strugi – nie żeby ktoś o nie pytał – fakt, że jej własny, osobisty narzeczony najpierw entuzjastycznie planował wymarzoną ceremonię majową, w otoczeniu zieleni i błękitu, w ciepłym blasku słońca, a z każdą rozmową z mamusią coraz bardziej zaczynał słuchać jej życzeń,

zamiast realizować marzenie przyszłej żony, wróżył małżeństwu jak najgorzej.

Oczywiście istniały inne, ciepłe miesiące z literą „r” – ale w czerwcu siostra pana młodego miała egzaminy (*bardzo ważne, Karolinko, to medycyna!*), w sierpniu był już zaplanowany zjazd rodzinny w Czechach (*taka tradycja, Karolinko, musimy was wcześniej obżenić, żebyś też mogła wziąć udział!*), we wrześniu była sesja poprawkowa (*oczywiście, że wierzymy, że Zuzanna wszystko zda w terminie, ale sama rozumiesz, Karolinko, to medycyna, nie możemy jej obciążać dodatkowo, gdyby się okazało, że będzie musiała powtórzyć egzamin*), w październiku ojciec pana młodego miał jakieś szalenie ważne targi branżowe (*rozumiesz, Karolinko, to naprawdę ważny miesiąc, a on chciałby móc się całkowicie skoncentrować na ślubie syna*), a grudzień odpadał, bo *przecież chciałaś, Karolinko, ciepły miesiąc!* Organizatorka też była pomysłem przyszłej teściowej. Twierdziła, że Eva’s Events to była firma, z którą po prostu należało współpracować, jeśli chciało się zorganizować wydarzenie na odpowiednim poziomie. Karolina nie była pewna, jaki poziom był tym odpowiednim, ale podejrzewała, że ten dla niej niedostępny.

Każde kolejne spotkanie z Ewą Ewent utwierdzało ją w tym przekonaniu.

Oczywiście, mogła się pocieszać, że do poziomu prezentowanego przez organizatorkę nie dorastał zapewne nikt, łącznie z Marzeną Kłobucką.

Ewa była piękna niczym porcelanowa lalka, ubierała się w ciuchy zwodniczo proste, a w rzeczywistości tak stylowe, że księżna Kate wyglądałaby przy niej jak nieudolnie aspirująca do elegancji krewna bez gustu i smaku. Każdego dnia, przy każdym spotkaniu, Ewa Ewent prezentowała się idealnie, od stóp odzianych w markowe szpilki, przez kostiumy w eleganckich odcieniach szarości i błękitu, aż po misternie zaplecione w warkocz włosy tak jasne, że niemal białe.

Śluby i wesela przez nią organizowane też były idealne – tak mówili wszyscy, a Karolina nie miała powodu, by im nie wierzyć. Ewa ogarniała całość – od koloru serwetek przez kolejność piosenek na playliście aż po wycieraczkę, na wypadek gdyby goście mieli zabłocone buty. Chodziły plotki, że miała nawet ze sobą zapasową suknię w neutralnym kolorze, w razie gdyby któraś z pań poza panną młodą pojawiła się w bieli i trzeba ją było stanowczo nakłonić do zmiany stylizacji. Ewa niczego nie pozostawiała przypadkowi. Każdy jeden detal był dopracowany, na każdą ewentualność miała plan awaryjny.

Karolina mogła być pewna, że jej ślub i wesele będą perfekcyjne – Marzena Kłobucka przychyliłaby swoim dzieciom nieba i ściągnęła gwiazdkę z nieba, byle tylko były szczęśliwe.

Perfekcyjne – tylko nie takie, jak Karolina sobie wymarzyła. Ta świadomość była jak drzazga w sercu, okruch lodu, który sprawiał, że chociaż uśmiechała się, potakiwała, podziwiała, to tak naprawdę miała ochotę krzyczeć, uciekać, zostawić to wszystko za sobą.

Brakowało jej jednak pewności, czy jej narzeczony uciekłby razem z nią.

To bolało najbardziej, bardziej niż bukiet z róż (chciała gipsówkę, ale podobno była zbyt pospolita, a *przecież chcemy zrobić dobre wrażenie na gościach, prawda, Karolinko?*), niż serwetki i pokrowce na krzesła w kolorze figowym (chciała odcień „tancerz chmur”, ale *całość byłaby zbyt mdła, Karolinko, z twoją niewyrazistą urodą musimy postawić na mocniejsze akcenty*), niż kaczka w pomarańczach (*kielbaski z ogniska? Doprawdy, Karolinko, to poważne przyjęcie dla dorosłych ludzi przyzwyczajonych do pewnego poziomu*). Była pewna, że Darek ją kochał... ale czy aż tak?

Gdyby Karolina miała więcej odwagi, może tupnęłaby nogą, może przypomniałaby narzeczonemu, że to ich ślub, a nie przyjęcie dla jego matki, może nawet postawiłaby ultimatum. Ale już dawno pogodziła się z gorzką prawdą – była tchórzem. Bała się zostać sama. Bała się życia bez Darka. Bała się, że jej złudzenia, że jest dla niego najważniejsza, całkiem się rozwieją. Więc mówiła sobie, że to tylko jeden dzień. Że oczywiście, że chcą też sprawić przyjemność rodzinom (jego rodzinie – jej tacie było wszystko jedno, jaki będzie ślub, byleby Karolcia była szczęśliwa, a poza nim nikogo więcej nie miała). Że będzie idealnie i przecież o to właśnie chodzi – żeby ten dzień był perfekcyjny. A teraz nie wiedziała, czy ma płakać, czy może śmiać się histerycznie, bo był poranek dnia jej ślubu, a Karolina odkryła, że nagle to, że nic nie jest tak, jak to sobie wymarzyła, przestało mieć znaczenie.

I tak nic z tego nie zobaczy, bo w dniu swojego ślubu nie będzie ani szczęśliwa, ani nieszczęśliwa, tylko nieodwołalnie martwa.

WESELNY PYTON**

Karolina rzadko myślała o śmierci. Nie zastanawiała się, kiedy ją czeka i jaka będzie, gdy już przyjdzie. Ale gdyby kiedykolwiek przyszło jej zgadywać, jak opuści ten świat, to powiedziała by, że umrze ze starości. Może na raka. Może, jeśli będzie miała naprawdę straszliwego pecha, napotka kiedyś na swojej drodze łowcę.

Przenigdy nie przyszło jej do głowy, że śmierć dopadnie ją w dniu ślubu i że jej zgubą będzie wielki beznogi gad.

A tymczasem wąż pełzł ku Karolinie i zaraz wszystko miało się skończyć.

Był ogromny, niczym anakonda z horroru. Mógłby bez problemu owinać się wokół niej i ją zgnieść albo otworzyć tę swoją ogromną paszczę i połknąć ją w całości.

I po prostu wiedziała, że ten potwór właśnie to zamierza zrobić.

Powinna była uciekać, krzyczeć, robić cokolwiek, ale stała jak sparalizowana, nie mogąc odnaleźć głosu, patrząc na straszliwe żółte ślepia i czekając na śmierć. Czuła, że po policzkach spływają jej łzy żalu. Może za tym, że wszystko się skończy, może za tym, że nie nazwie Darka mężem, może dlatego, że nie uciekła z tego gniazda żmij, gdy tylko zobaczyła pierwsze mignięcie łusek na szyi przyszłej teściowej.

Głupia, głupia, myślała, że w tym świecie ludzi to może i lepiej, że znaleźli się nawzajem, ona rusałka, on wij. Może żadne nie powiedziało tego głośno, ale mieli cichą umowę, że dalej pójną przez życie razem, inni, ale podobni. Oboje wszak wywodzili się z bagien, oboje mogli nosić miano potworów.

Ale nie, wije nie chciały wśród swoich wodnej panny. Albo po prostu nie chciały jej – mdłej, ugodowej Karoliny. I czekały do ostatniej chwili, by uderzyć.

Żmij był już tak, tak blisko.

Nagle otworzyły się drzwi i stanęła w nich organizatorka. Mimo wczesnej pory i panującej na zewnątrz wilgoci prezentowała się, jakby dopiero co wyszła z salonu fryzjerskiego – każdy jeden jasny włos był na swoim miejscu. Makijaż miała absolutnie nienaganny, a na nogawkach szarych spodni nie było nawet jednej plamki błota – prawdziwy wyczyn w takim miejscu jak ośrodek wędkarski, gdzie część dróg była niby ubita, ale w rzeczywistości ziemia rozmiękła od topiącego się śniegu.

Wąż odwrócił łeb ku Ewie, a Karolina poczuła, jakby niewidzialne kajdany, które trzymały ją w miejscu, nagle puściły. Mogła się ruszać,

mogła mówić – ale teraz, gdy nie paraliżowała jej moc wija, pętał ją strach.

Pisnęła, przerażona. Umrą tu teraz razem, ona, niedoszła, niedoskonała panna młoda i piękna, zawsze poukładana organizatorka jej wesela. A potem ten potwór je pożre i ani po jednej, ani po drugiej nie zostanie nawet ślad.

– Nie – oznajmiła zimno Ewa Ewent, zupełnie jakby czytała jej w myślach.

Jej głos wyrwał Karolinę z transu. Spojrzała na jasnowłosą kobietę, szukając sensu jej słów. Żmij zasyczał.

– Nie – powtórzyła Ewa. – Na moich ślubach panny młode nie giną przed ceremonią. To potem źle wygląda w portfolio.

Cofnęła się, zupełnie obojętna na hipnotyzujący wzrok gada. Karolina widziała przez otwarte drzwi, jak organizatorka podchodzi do pieńka przed domkiem, tam, gdzie jeszcze wczoraj dla żartu kuzyni Darka robili konkurs rąbania drewna. Ewa chwyciła siekierę w dłoń i z wdziękiem, jakby szła po wybiegu, a nie po rozmokłej trawie, wróciła do domku letniskowego. Wąż i panna młoda patrzyli, jak wchodzi przez otwarte drzwi, oboje jakby zaczarowani, a może tylko zaskoczeni. Organizatorka zupełnie nie zwracała uwagi na ich stupor. Płynnie, nie zwalniając kroku, wzięła zamach siekierą i jednym precyzyjnym ciosem odrąbała gadowi łeb.

Krew prysnęła na podłogę, na ściany, na ciemnoszary garnitur Ewy, na szlafrok Karoliny i na pokrowiec, w którym była suknia ślubna. Wszystko, wszystko w małym domku było zbryzgane posoką, a kałuża czerwieni wylewała się z bezgłowego cielska, wsiąkała pomiędzy deski podłogi i pewnie kapała z nich na ziemię, wsiąkając razem ze śniegiem głęboko, głęboko...

– Spokojnie, jest nieprzepuszczalny.

Karolina zamrugła. Krew wija była jak jego oczy, zahipnotyzowała ją na chwilę, zauroczyła i oderwała od świata. A może to nie była krew, tylko panika, strach wzbierający falami i porywający ze sobą, teraz, kiedy zdała sobie sprawę, co właśnie się stało, co stać się mogło. Słowa Ewent gwałtownie przywróciły ją do rzeczywistości, wypchnęły ją z morza lęku na stały ląd.

– Co? – wydusiła z siebie.

– Pokrowiec. Nic nie przepuści, sukni nic się nie stało.

Fale paniki wróciły i przyniosły ze sobą histeryczny śmiech. Wszystko było w porządku, sukni nic się nie stało! Pal licha martwego wija, pal licha

czerwone ściany, to, że pannę młodą właśnie próbował zamordować ktoś z rodziny pana młodego, a organizatorka wesela ucięła mu łeb. Grunt, że suknia dalej była biała!

Struga zgłębiała się w pół, wyrzucając z siebie ten dziwny ni to jęk, ni to szloch. Długie włosy niemal zamoczyła w rozlewającej się na podłodze krwi. Dopiero w ostatniej chwili zauważyła, co jej grozi, i wyprostowała się gwałtownie.

– Histeryzuj, ale bez płaczu. Jak spuchniesz, to będzie dużo roboty z szykowaniem twarzy pod makijaż, a czas nam się właśnie skurczył, trzeba się go jeszcze będzie pozbyć. – Organizatorka szturchnęła truchło czubkiem pantofla.

– Co? – powtórzyła Karolina. – Ale... on... prawie... a potem ty... i jeszcze suknia?

– Sukni nic nie jest – przypomniała Ewa. – A ja mam jasno ustalone priorytety. Na czele listy jest udany ślub i udane wesele. Twoje, dziś, tutaj. Byłoby to trudne do zrealizowania, jakby pyton zeżarł pannę młodą...

– To wij – wyrwało się Karolinie. Nie powinna takich rzeczy ludziom mówić, ale Ewent powinna chyba wiedzieć, że zabiła istotę może nie ludzką, ale też niebędącą zwierzęciem. – Jestem prawie pewna, że to kuzyn matki Darka – powiedziała. – Ten z wąsem. Bogusław... Bogdan! Taki mi się śliski wydał, jak nas sobie przedstawili, ślepił na mnie tak, że się nieprzyjemnie zrobiło, ale nie myślałam...

– Zero uważności sytuacyjnej – skarciła ją organizatorka. – Myślałaś, że jesteś jedyną nienormalną na tym weselu?

– Nie! Ale...

Struga uświadomiła sobie, co Ewa właśnie powiedziała. Czy to oznaczało, że organizatorka jej wesela też nie była człowiekiem? Może była latawcem, a może południcą? Dola, pilnującą, by młodym ułożyła się nowa droga życia? Wietrzycą, niosącą ze sobą chłód i zamieć, niczym prawdziwa królowa śniegu? A może topielicą, zwabioną na wesela obecnością młodych mężczyzn? Karolina ze wszystkich sił próbowała przypomnieć sobie, jakie stworzenie mogło być takie właśnie jak jasnowłosa: zimne, niewzruszone, piękne i perfekcyjne.

– Jesteś... potworem? – zapytała ostrożnie, szukając odpowiedniego słowa.

Organizatorka, wciąż z zakrwawioną siekierą opartą na ramieniu, zamarła na chwilę i rozważyła to zagadnienie.

– Tak – zdecydowała wreszcie. – Myślę, że tak mnie można określić.

WSZYSTKO Z SIEBIE DAMY DO UTRATY TCHU***

Karolinie ta odpowiedź tak naprawdę niewiele wyjaśniła. Wciąż nie wiedziała, czym jest Ewa. Ale jednocześnie odczuła nagle ogromną, obezwładniającą ulgę. Wystarczyła świadomość, że nie jest w tej chwili sama, że ma obok siebie kogoś, kto tak jak ona wie, jak to jest się chować, milczeć i zapominać, kim się jest, nosić maskę i udawać człowieka, a tak naprawdę, w głębi duszy, tęsknić za falą, marzyć o pogłaskaniu rzeki i przytulać strumień wody z kranu w zamkniętej od środka łazience.

Coś takiego nie zdarzyło jej się wcześniej ani razu. Z Darkiem, krążąc wokół tematu, nie dopowiadając niczego i przemilczając wszystko, prawie wyznali sobie, kim są – a teraz zaczynała mieć wątpliwości, czy wtedy naprawdę dobrze się zrozumieli. Czy jej narzeczony myślał, że ona też jest wijem? Czy stąd to wszystko? Może faktycznie powinni się byli lepiej komunikować, zanim jeszcze stanęli na ślubnym kobiercu...

– Trzeba go będzie stąd usunąć – orzekła organizatorka. Przyglądała się krytycznie bezgłowemu wijowi, jakby próbując go zmierzyć i zważyć wzrokiem.

– Jak? Co?

– Trup krewnego fatalnie wpływa na jakość wesela. Na szczęście miał miejsce przy jednym z dalszych stolików, puste krzesło nie powinno się rzucać w oczy... Lepiej by wyglądało, jakbym je w ogóle wywaliła z planu, ale po co nam ekstra podejrzenia... Fotografą uprzedziłam, że ma takie kiksy omijać, więc spokojnie, na zdjęciach nic nie będzie widać.

– Na zdjęciach? – powtórzyła nieco histerycznie Karolina.

Na jakich zdjęciach? Rodzina pana młodego właśnie próbowała ją zamordować, zdjęcia nie miały żadnego znaczenia! Żadnego! Karolina zamierzała odwrócić się na pięcie i uciekać, zdążyć, jeszcze zanim przyjedzie jej ojciec, zatrzymać go, by przypadkiem nie wszedł w to gniazdo wijów i nie padł ich ofiarą. A potem wyprowadzić się. Może na Mazury? Tam, gdzie są jeziora, tam, gdzie będzie mogła się ukryć.

Ewa w ogóle nie zwracała na nią uwagi, oglądała wnętrze domku, aktualnie artystycznie spryskane krwią.

– Tego od ręki się nie da posprzątać, będziesz się przebierać w drugim domku...

W drugim domku, tuż obok, rezydowały Zuzanna, siostra pana młodego, i jego kuzynka Blanka. Karolina w ogóle nie miała ochoty ich teraz widzieć, zresztą, o czym ona w ogóle myślała, przecież miała uciekać!

– Nigdzie się nie będę przebierać!

– Tak do ślubu nie pójdziesz – poinformowała ją organizatorka, wskazując na szlafrok panny młodej, puchaty, turkusowy i zachlapany krwią. – Gdybyśmy jeszcze robili tematyczne, to mogłoby ująć, ale jest klimat klasyczo-rustykalny, a nie gore horror pizama party.

– W ogóle do ślubu nie pójde! On mnie chciał zabić, rozumiesz, zabić, to są wije, co mi w ogóle do głowy strzeliło, że się z jednym zadałam, oni to żmije, a ja jestem rusalką. Przy nich jestem nic, kompletne nic, nie przetrwam tego wesela, do ślubu nie dożyję! Zaraz mój tata przyjedzie, to człowiek jest, on nic nie wie, ja go muszę ratować! Uciekniemy stąd i ty też uciekaj, zanim ich tu więcej spełnie!

Rzuciła się do drzwi, nie zważając w ogóle na to, co ma na sobie. Ciuchy nie były ważne, gdy ratowało się własne życie.

Organizatorka zastąpiła jej drogę. To był bardzo wymowny ruch, bo wciąż trzymała w ręku siekiere.

– Oczywiście, że pójdziesz do ślubu – powiedziała spokojnie.

Karolina cofnęła się o krok. Nagle do niej dotarło, że piękna Ewa, zbryzgana krwią od szarych szpilek aż po jasne jak słoma w słońcu włosy, z ostrym narzędziem wspartym o ramię, była o wiele gorsza od wija, który ją przed chwilą próbował zaatakować.

– Pozwól mi uciec – poprosiła żałośnie. – Proszę.

– Osobiście nic do ciebie nie mam... – zaczęła organizatorka. – Nie, wróć, inaczej: ty jako osoba jesteś mi obojętna. Ale jesteś panną młodą na weselu, które ja organizuję. A moje wesela są idealne.

To nie będzie idealne! Bo ja będę trupem!

– Mówiłam, martwe panny młode fatalnie wyglądają w portfolio – przypomniała spokojnie Ewa. – Nic ci się nie stanie ani przed imprezą, ani w trakcie. Na moich weselach nikt nie morduje najważniejszych osób.

Karolina otworzyła usta, żeby zaprotestować. Zaraz je zamknęła, bo brakowało jej słów, które mogłyby trafić do Ewent. Bezradnie wskazała obiema dłońmi na cielsko wija, bez słów pytając „jak to nikt nie morduje?”.

– Nikt nie morduje najważniejszych osób – powtórzyła organizatorka wręcz z politowaniem. – Ty jesteś najważniejszą osobą i żyjesz. On miał miejsce gdzieś z tyłu i do tego próbował zepsuć ślub. Tak się nie robi.

– Czy ty mi chcesz powiedzieć, że zabiłaś wujka Bogdana i wykończysz kogo jeszcze trzeba, byle nikt nie zepsuł imprezy, którą organizujesz?

– Wydarzenia – poprawiła Ewa. – Moje imprezy to są Wydarzenia. Przez wielkie „W”.

– I często musisz tak dbać o ich bezproblemowy przebieg?

Organizatorka zacisnęła wargi.

– Powiedzmy, że to nie będzie pierwszy raz.

Przez chwilę rusalka kompletnie nie wiedziała, co robić. Wszystko w niej krzyczało, żeby uciekała, już teraz, jak najdalej od ślubu i wijów. Ale gdyby spróbowała uciec, to jej dotychczasowa sojuszniczka, osoba z najwyraźniej zwichniętą psychiką, a przynajmniej mocno dziwnie ustawioną listą priorytetów, mogłaby stać się jej kolejnym wrogiem. A wrogów Karolina miała potencjalnie w nadmiarze, samych Kłobuckich było zaproszonych ze trzydzieści żmij z przyległościami!

Z drugiej strony, jeśliby została, to przynajmniej w towarzystwie nader skutecznej ochroniarki. Mogła zatem uciekać sama, ścigana przez wszystkich, albo zostać tu, gdzie chroniła ją Ewa i jej siekiera.

– A co teraz? – zapytała, trochę z ciekawości, trochę żeby zyskać na czasie. – Wuj tu leży... Jeśli go ktoś znajdzie...

Organizatorka cmoknęła z niezadowoleniem.

– Trzeba go będzie na razie gdzieś usunąć. Do ślubu jeszcze trochę, będzie zawadzał. Najprościej byłoby do jeziora, ale nie wiem, jakie tu są warunki i czy nie wypłynie... Oczywiście, jakieś obciążenie się znajdzie, ale ceremonia jest przy brzegu... Zresztą, nawet jakby nie wypłynął albo byśmy go zakopały, to wcześniej czy później ktoś go znajdzie. I wtedy dopiero będzie, już widzę te nagłówki. „Anakonda w Jeziorze Turawskim”, „Węże giganty pod Opolem”, „Komu uciekł pyton”... Nie, nie ma opcji, wuj musi zniknąć.

Odstawiła siekiere pod ścianę, wytarła dłonie o niezakrwawiony kawałek firanki, sięgnęła do kieszeni po komórkę i wybrała numer.

– Jestem nad Jeziorem Turawskim, mam martwego wija i ślub za pięć godzin – powiedziała krótko. – Pinezkę ci wyślę, przejmiesz go i wrzucisz u mnie w domu do wanny, tej w piwnicy. I weź ze sobą coś do usuwania krwi.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź.

– Po co do wanny? – zainteresowała się nieśmiało Smuga.

– Żeby się rozpuścić.

– W wodzie?

– Nie, w kwasie. Woda nie rozpuszcza zwłok, chyba jako rusałka powinnaś to wiedzieć!

– Zwykle nie mam do czynienia ze zwłokami! – jęknęła Karolina. – A poza tym kto ma w piwnicy wannę z kwasem?

Ewa spojrzała na nią z politowaniem, jak na jakąś głupią i niekumatą.

– Ja. I każdy rozsądny człowiek. Oczywiście taki, który ma też dyskretną piwnicę.

Z tym stwierdzeniem nie tak było... wszystko. Ale rusałce najbardziej w uszach zadźwięczało jedno.

– Człowiek? Mówiłaś, że jesteś taka jak ja!

– Mówiłam, że jestem potworem. Nienormalny nie mają na to monopolu, nadążaj! – Organizatorka wywróciła oczami, jakby nie mogła się nadziwić głupocie Karoliny. – A teraz pomóż mi go spakować. W szafie jest zapasowy pokrowiec na suknię, jak go zwiniemy, to się zmieści.

POWIOZĄ MNIE WINDA****

Pakowanie wielkich węzowych zwłok do nieprzemakalnego pokrowca było tak przerażające, że Struga zwyczajnie przestała się bać. Po prostu nie mogła być już bardziej przestraszona, więc nagle poczuła, jak dryfuje w nirwanie podejrzanego spokoju i lekkiego oderwania od rzeczywistości. W końcu spędzanie poranka przed własnym ślubem na usuwaniu śladów zbrodni było tak nierzeczywiste, że nie miała się sobie co dziwić.

Ewa docisnęła pokryte łuskami cielsko kolanem i z lekkim trudem zasunęła suwak. Domek dalej wyglądał jak rzeźnia, ale przynajmniej trup nie rzucał się już tak mocno w oczy.

– I co teraz?

– Zabierzemy go na drogę, akurat Sabina przyjedzie, to go przejmie.

– Nie mogłaby podjechać pod domek? – zaproponowała Struga.

Droga, porządna, asfaltowa, przechodziła tuż za domkami wczasowymi, skręcała w głąb ośrodka i prowadziła aż do przystani.

– Didżej już przyjechał i testuje playlistę. Sabina nie może być w pobliżu, hity weselne jej szkodzą.

Karolina lekko osłupiała. Można nie przepadać za przebojami, disco polo też nie każdemu leżało, ale żeby aż tak ostentacyjnie unikać...

– Na co jej szkodzą?

– Na poziom agresji – wyjaśniła krótko Ewa. – Łap wuja, przeniesiemy go raz dwa.

Rusałka nie podzielała jej entuzjazmu. Nie uśmiechało jej się taszczenie wielkiego cielska.

– Tak mamy iść? – Wskazała na swój upstrzony krwią kostium. – Ty też masz krew na marynarce.

Ewa zerknęła na swój kostium. Cały był w małe czerwone plamki. A na ramieniu miała plamę w miejscu, gdzie oparła siekiere.

– Mam zapasowe ciuchy. Nie ma co się teraz przebierać, możemy się jeszcze ubabrać przy transporcie.

– Zimno jest.

– Będiesz targać zwłoki, to się raz-dwa rozgrzejesz.

Organizatorka miała rację. Ledwo wyszły z domku Karoliny, niosąc wypchany pokrowiec, a rusałce już przestało przeszkadzać zimno. Ba, zanim obeszły budynek i dostały się na asfaltówkę prowadzącą z cypelku na brzeg jeziora, była już spocona. Przemknęło jej przez myśl, że dobrze, że jeszcze nie ma na twarzy ślubnego makijażu, spłynąłby jak nic...

Bała się trochę, że zaraz ktoś je znajdzie, ale o tej godzinie ośrodek był jeszcze pusty. W domkach nocowali tylko młodzi i drużbowie, pozostali, czyli cały klan Kłobuckich z przyległościami, ojciec Karoliny oraz znajomi jej i Darka mieli dojechać dopiero na ceremonię. Goście z daleka nocowali w hotelu w Opolu, w warunkach, które matka Darka uznała za wystarczająco godne... I wijowy wuj też powinien tam być!

Całe szczęście, że jej tato nie nocował w tym gnieździe żmij, tylko we własnym domu. Zresztą on nawet nie wiedział, czym są jego przyszły zięć i wszyscy Kłobuccy. Nie wiedział nawet, czym jest jego własna córka, bo matka Karoliny aż do śmierci zachowała swoją tajemnicę i córce przykazała to samo. Ludziom nie wolno było ufać, ludzie tylko czekali, by wyciągnąć widły.

Karolina zawsze wierzyła, że jej tato byłby inny. Że dla niego nie miałyby to znaczenia. Wierzyła... ale milczała. I chyba dlatego spotkanie

z Darkiem wydawało jej się darem wody. Ona i on, oboje niezwyčajni, znaleźli siebie nawzajem w tym zwyczajnym świecie...

– Skup się – syknęła Ewa. – Marzyć na jawie możesz sobie w trakcie makijażu albo zdjęć, teraz niesiemy zwłoki!

Karolina zacisnęła zęby. Teraz nie był czas na rozmyślenia! Żadna z nich nie potrafiła podnieść trupa, ciągnęły więc za sobą ten ciężki, nieforemny kształt. Ewent miała rację, pokrowiec był szczelny i nie przepuścił na drogę ani kropli krwi. Zostawił za sobą tylko nieforemną koleinę w błocie, przez które ciągnęły go na drogę.

Organizatorka była całkowicie skupiona na zadaniu, ale Karolina rozglądała się niepewnie wokoło, obawiając się, że któraś ze żmij Kłobuckich jednak przyjechała wcześniej, może razem z Bogdanem, i zaraz wyskoczy z krzaków, by dokończyć dzieła. Nie wszystkie były takie wielkie jak wuj, któraś mogła być całkiem mała, drobna, gotowa ukąsić i umknąć, nim ofiara w ogóle poczuje ból.

Znad jeziora unosiła się mgła, a rusalka po raz pierwszy czuła się obco, otoczona przez parę wodną, niby muskającą ją pieszczotliwie po policzkach, ale też kryjącą w sobie jej wrogów.

Jakby przyzwana jej myślami, zza sąsiedniego domku wyszła Blanka Kłobucka, kuzynka Darka. Ona i Zuzanna miały być druhami.

Blanka na widok dwóch kobiet na drodze znieruchomiała niemal jak posąg i tylko jej oczy wydawały się lśnić we mgle niczym ogniki.

Karolina poczuła, że zaczyna ją chwytać znajomy paraliż. Pokrowiec już zaczął jej uciekać ze zdrętwiałych palców, kiedy organizatorka boleśnie nadepnęła obcasem na stopę rusalki. Struga miała na nogach niskie śniegowce z futerkiem, które chroniły przed chłodem i wilgocią, ale nie przed szpilkami.

– Utop ją – syknęła Ewa.

– Co?

– Jesteś rusalką czy nie? Woda cię słucha, utop tę żmiję.

– Ale... ja nigdy...

– Kobieto, ogarnij się! Wokół masz pełno wijów i już drugi chce cię zabić. Jeśli nie zaczniesz się odgryzać, to cię wykończą. Widzisz, że ręce mam zajęte, a siekiera została w domku! Załatw ją, zanim się zorientuje, że utylizujemy jej wujka!

Karolina nie potrafiła określić, co ją bardziej zmobilizowało: możliwość, że Blanka odkryje zwłoki żmija, czy wizja organizatorki gnającej niczym

walkiria z siekierą na druhnę. Skupiła się. Nie umiała, nie potrafiła nakazać wodzie odebrać życia, skazać ją i siebie śmiercią, ale mogła odepchnąć kuzynkę Kłobucką do brzegu. Ogromna fala powstała z niczego, rzuciła się na łąd, obmywając piasek, skraj domków, koleinę wyżłobioną przez zwłoki, i odeszła, unosząc ze sobą żmiję, hen, na drugi koniec jeziora.

– O kurczę – wyrwało się rusałce. Sama zaczęła siebie trochę przerażać, ale nie było jej dane trwać w tym nieprzyjemnym stanie.

– Rusz się – ponagliła Ewa. – Binka zaraz tu będzie, ona szybko jeździ.

Dociągnęły pokrowiec na wał otaczający jezioro. Droga skręcała tu w prawo i łagodnie schodziła w dół, przechodząc z asfaltu w bruk, a potem w gruntówkę. Prowadziła aż na znajdujący się po drugiej stronie wału parking z ubitej ziemi, z którego można było zjechać już na drogę prowadzącą do Turawy i dalej, do Opoła.

Na parking można też było zejść schodami. Ewa zatrzymała się na ich szczycie, a Karolina już-już miała protestować i proponować, że jeśli mają znosić zwłoki po stopniach, to równie dobrze można je po prostu zepchnąć w dół, po zboczku wału, ale nie zdążyła.

– Sabina już tu jest.

I TAŃCZY DLA MNIE*****

Na dole, na parkingu, tuż przy wyjeździe na trasę do Turawy, stało czarne BMW, a na jego masce siedziała młoda kobieta. Na pierwszy rzut oka była całkowitym przeciwieństwem Ewy – z prostymi czarnymi włosami, w solidnych, ubłoconych buciorach, dżinsach i żółtej kurtce przeciwdeszczowej. Na szyi, niczym naszyjnik, miała wielkie słuchawki, też żółte. Wyglądała jak uosobienie praktycznego, przyziemnego półmroku, podczas gdy Ewent była jasnym, oślepiająco idealnym blaskiem słońca.

Sabina, jeśli to była ona, na ich widok zeskoczyła prosto w pokrywające dziki parking błoto, rozpryskując je na boki. Otworzyła bagażnik, wyciągnęła z niego dużą, sportową torbę i stanęła z zadartą głową, czekając, aż zjedą do niej na dół.

– Nie stój tak, rusz się i pomóż – syknęła w jej stronę Ewa.

Rusałka była przekonana, że z tej odległości nieznajoma nic nie usłyszy, ale mimo wszystko... Energicznym krokiem przeszła przez parking, niemal w podskokach pokonała schody i zatrzymała się tuż przy nich. Dopiero

kiedy była blisko, Karolina zorientowała się, że słuchawki na jej szyi nie służą do słuchania muzyki – przypominały te, które noszą robotnicy pracujący przy głośnych maszynach.

Czarnowłosa, przekręcając głowę w bok niczym sowa, przyjrzała się ich ciężarowi. Z ukosa zerknęła na błoto, oceniając ślad, jaki zostawiły, aż wreszcie pochyliła się nad pokrowcem i niuchnęła.

– Sprytne – oceniła z entuzjastycznym podziwem w głosie. – I praktyczne z tym suwakiem, nie trzeba zawijać, kleić ani wiązać. Można recyklingować na następny raz.

Rusałka musiała przyjąć do wiadomości, że nie była tą samą osobą co godzinę temu – była stałą, skałą i przykładem na to, że co nas nie zabije, to nas wzmocni, bo komentarz o ponownym użyciu pokrowca na zwłoki spłynął po niej jak roztopiony śnieg po burozielonych źdźbłach trawy. Tak samo jak radość Sabiny z takiej możliwości.

– Możesz go sobie zatrzymać – pozwoliła łaskawie Ewa. – Sukni w to i tak już nie wsadzimy, za dużo czyszczenia...

– Super! W sumie nie powinnam, ale wiesz, tak na wszelki wypadek... – ucieszyła się Sabina.

– Jesteś z tajnej organizacji usuwającej ślady zbrodni? – odważyła się w końcu zapytać Karolina.

Widziała takie, co prawda, tylko w filmach, ale wszystko pasowało... Utylizacja zwłok, ten entuzjazm w stosunku do sposobu ich zapakowania...

Nowo przybyła dopiero teraz zwróciła na nią uwagę. Zmierzyła rusałkę badawczym spojrzeniem, od którego Strugę przeszedł dreszcz. Ewa mogła sobie być potworem-człowiekiem, ale jej znajoma była... czymś więcej. Źrenice miała odrobinę inne, usta aż rwały się do tego, by stać się paszczą, a szczupłe dłonie, Karolina była tego pewna, w jednej chwili mogły zmienić się w szpony. Pod żółtą kurtką i wytartymi džinsami kryła się bestia, która wyjrzała tylko na chwilę, zlustrowała potencjalne zagrożenie, i zniknęła pod maską udawanego człowieczeństwa.

– Nie, jestem z BHP – powiedziała Sabina pogodnie i beztrąsko, zupełnie jakby przed chwilą wcale nie oceniała, jak szybko potrafiłaby wykończyć Karolinę.

– Skąd?

– Nie skąd, od czego – poprawiła Ewa. – Binka jest od bezpieczeństwa i higieny pracy. I od paru innych rzeczy.

Czarnowłosa pokiwała energicznie głową.

– Robimy też coaching, psychoterapie i ochronę środowiska. – Wyciągnęła z kieszeni wizytówkę i wręczyła oszołomionej Karolinie.

Rusałka odruchowo ją przyjęła i tak zamarła, z kartonikiem w dłoniach i osłupieniem na twarzy. Na białym papierze literami czerwonymi jak krew wypisane było „Sabina Piechota, BHP” i adres w Brzegu.

Ewa cmoknęła z niezadowoleniem.

– Nie wiem, czy powinnaś zostawiać wizytówki, kiedy pomagasz się pozbyć zwłok...

– Nie zwłokom daję, tylko żywym – zauważyła Sabina. – Ale właściwie to jemu też powinnam... – Przyjrzała się krytycznie owiniętemu materiałem truchłu. – Myślisz, że będzie chciał iść pośmiertnie na terapię? Piotruś pewnie znowu będzie nawijał o konflikcie interesów i etyce, ale kto inny go przyjmie *post mortem*?

– Możesz zapytać, jak będziesz go wrzucać do wanny – zgodziła się organizatorka. – Ale na razie zabierz trupa i schowaj do bagażnika. Zmieści ci się chyba? I lepiej jeszcze nie odjeżdżaj. Do ślubu parę godzin, mogę cię potrzebować. Już dwa razy mi pannę młodą napadli. – Wskazała na Karolinę, wciąż otuloną w pokrwawiony, puchaty szlafrok.

Sabina zmarszczyła brwi.

– Może listę gości trzeba by trochę dostosować...

– Cała rodzina pana młodego to żmije – prychnęła Ewa. – Nie wiem, ilu będzie chciało ją wykończyć...

Behapówka zamrugała kilka razy i przygryzła wargi, wyraźnie przetrawiając otrzymane informacje. Karolina czekała na tę chwilę, kiedy w głowie nieznanym zapali się żaróweczka, taka czerwona, z napisem „alarm”, i skłoni ją do zawinięcia się znad jeziora raz-dwa. Może niebezpieczna i drapieżna, ale była jedna, a Kłobuckich mrowie. Gdyby Piechota postanowiła się zmyć, to może ruszałaby się z nią zabrać.

– Zadzwoń do pani Ludmiły – oznajmiła pogodnie. – Może coś poradzi albo przyjedzie...

– Żadnego przyjeżdżania – zastrzegła natomiast Ewa. – Wiesz, co robi łowca na nienormalnym ślubie? Psuje go!

– Pani Ludmiła by nie... – zaczęła Sabina i urwała. Zmarszczyła brwi. – Pani Ludmiła raczej by nie – skorygowała. – Ale fakt, jeszcze goście by wpadli w panikę czy coś. Tylko się z nią skonsultuj.

Podowała Ewie torbę.

– Wzięłam ci na wszelki wypadek zestaw wszechstronny. Zmywacz na bazie sody, eko i nadaje się do ścian, rękawice, szmatki, worek na odpady niebezpieczne, latarka dwadzieścia pięć tysięcy lumenów i trzy puszki sprayu mrozącego – wyrecytowała. – Wije mają wrażliwy wzrok i nie lubią zimna, więc tak na szybko to najlepsze środki bezpieczeństwa. Jak coś, to najpierw latarką po oczach, potem sprayem w twarz albo w łeb, a na koniec, jak chcesz, to najlepiej faktycznie siekierą. Worek się od zwłok urwie, tam pakujecie zużyte szmaty i rękawice.

– Skąd... skąd wiesz, jak zneutralizować wija? – zapytała oszołomiona rusałka.

– To jak pisać ocenę ryzyka zawodowego, tylko na odwrót – wyjaśniła Piechota. – Zamiast szacować, jakie jest ryzyko tego, że coś się stanie, trzeba wymyślić, jak doprowadzić do tego, żeby się stało. Takie ćwiczonko intelektualne!

Rozpromieniła się, zaszurała butami w błocie i zaczęła bujać się na piętach niczym zadowolone z siebie dziecko. Zupełnie jej nie przeszkadzało, że Ewent najprawdopodobniej przerobi jej teorię na praktykę.

– I nie przejmujesz się tym, że tu są wije, całe stado wijów?! – upewniła się nieco histerycznie Karolina. – Nie boisz się? Powinnaś się bać!

Sabina wzruszyła ramionami.

– Wijów? Iiii tam. Nie bój zmija. Bój strzygi.

Puściła do rusałki oko, mrugając wszystkimi trzema powiekami, po czym odniosła bez wysiłku pakunek, chociaż był większy od niej i rusałka z Ewą ledwie dały radę go nie tyle przenieść, ile przetoczyć z cypla na wał.

WRACAM DO DOMU PO CIĘŻKIEJ NOCY*****

– I co teraz?

Karolina prawie całkiem przestała czuć strach. Była zmęczona, zrezygnowana i dziwnie pewna, że pozostaje jej tylko płynąć z prądem wydarzeń. W sumie dobrze, z pływaniem radziła sobie doskonale, co prawda zwykle w wodzie, a nie w odmętach szaleństwa, ale jak się nie ma, co się lubi...

Był dzień jej ślubu. Co najmniej dwie osoby z rodziny pana młodego chciały ją zabić. Jej suknia ślubna uchowała się cała i nieoplamiona krwią.

Organizatorka imprezy była szalona, psychopatyczna, w stu procentach ludzka, a w dwustu skuteczna. Na parkingu na wezwanie czekała strzyga hobbystycznie, a może zawodowo, usuwająca ślady zbrodni i najwyraźniej mogąca w pół godziny wyciągnąć z kapelusza sprzęt do neutralizacji dowolnego nienormatywnego.

Był dzień ślubu Karoliny i wszystko wskazywało na to, że ten ślub się odbędzie.

– Zorganizuję ci nowe miejsce na wyszykowanie się. Sprawdzę, jaki jest stan cateringu, czy didżej wszystko podłączył, czy ustawienie stołów jest odpowiednie. Będę musiała trochę zmienić plan usadzenia, Blanka siedziała z przodu... Zobaczę, czy wasi rodzice są zakwaterowani. Zastanawiam się jeszcze, co z palnikami, które miały ogrzewać namiot bankietowy. Brak ogrzewania o tej porze roku jest absolutnie niedopuszczalny, ale skoro Binka mówi, że zimno jest dla wijów niewskazane, to może należałoby Kłobuckich wyziębnić... Odłączę je może albo postaram się o awarię... Jeszcze nie wiem, brak ogrzewania na takiej imprezie wygląda fatalnie, ale potencjalna próba morderstwa w trakcie ceremonii jeszcze gorzej... A, i przebiorę się – wyliczyła bez namysłu Ewa.

Rusałka spodziewała się ogólnika w stylu „a teraz wyjdiesz za mąż” albo gadki motywacyjnej typu „nie umrzesz, bo jesteś panną młodą”. Szczegółowa lista trochę ją oszołomiła, ale tylko na chwilę. Przypomniała sobie ciemnowłosą strzygę i torbę, którą przekazała Ewie.

– Ta Sabina to twoja koleżanka? – zapytała.

– Najlepsza przyjaciółka.

– Tak, to akurat rozumiem... – mruknęła Karolina.

– Akurat co? – Ewent zmrużyła oczy, nagle bardzo podobna do atakującego żmija, gotowa do obrony przyjaciółki przed potencjalnymi potwarzami.

– Akurat to, że obie jesteście takie rzeczowe i praktyczne – wyjaśniła pośpiesznie rusalka. Nie zaryzykowała dodania, że zorientowana na cel psychopatka i niestabilna z natury strzyga to była para dobrana w niebie albo w piekle, zależnie od punktu widzenia. – Wiesz, podobne przyciąga podobne...

– Nie wiem – odpowiedziała uprzejmie Ewa. – I ty chyba też nie, biorąc pod uwagę, za kogo wychodzisz za mąż.

W pierwszej chwili Karolinę zatchnęło z oburzenia, ale zaraz spuściła w dół głowę i ramiona.

– To nie tak... Myślałam, że właśnie jesteśmy podobni. Oboje nienormalni, w tym świecie pełnym ludzi...

– I to ma niby wystarczyć? – prychnęła Ewa. – Dam ci zniżkę na organizację twojego następnego ślubu. Mam specjalny pakiet: „Małżeństwo nam nie wyszło, ale co to był za ślub”, dla tych, którzy chcą powtórzyć to niezapomniane wydarzenie z nową osobą i, rzecz jasna, ponownie ze mną.

– Nie masz problemów z pewnością siebie, co?

– Żadnych. Znam swoje możliwości, znam swoje kompetencje i mam solidnie oraz realistycznie uzasadnione poczucie własnej wartości.

Rusałka nawet nie była zaskoczona taką odpowiedzią. Organizatorka jej przekłętego ślubu była naprawdę idealna... tak w dziewięćdziesięciu procentach. W dziesięciu była chyba psychopatką, ale wszystko wskazywało, że właśnie kogoś takiego Karolina teraz potrzebowała.

– O cholera – wymknęło się rusałce.

Były już obok domków, tego, w którym miała się szykować panna młoda, i tego przydzielonego jej druhom. Wokół obu budynków krążyła niewysoka, odrobinę przygarbiona postać w staromodnej garsonce i w kapelusiku z broszką. Rusałka rozpoznała ją bez trudu – stryjeczna babcia Wiesława była jedną z bardziej charakterystycznych osób w klanie Kłobuckich.

Starsza pani krążyła wokół domku, poruszając się w dziwny, jakby szarpiący sposób, wystawiając co chwila język, długi, cienki i rozdwojony, i smakując nim powietrze. Skupiała się na zabudowaniach i jak na razie nie dotarło do niej, że nie jest sama.

– Co ona robi? – zainteresowała się Ewa.

– Węszy chyba... Musiała wyczuć krew wuja w domku...

– My jesteśmy całe w krwi wuja – zauważyła sucho organizatorka.

Płynnym ruchem odsunęła suwak torby, którą dostała od Sabiny. Wiesława, może zaalarmowana hałasem, a może zwabiona odorem krwi, odwróciła się nagle w ich stronę. Twarz miała straszną, ze skórą ściągniętą wokół ogromnych, żółtych ślepi i nabrzmiąłych, pokrytych zgniłozielonkawą łuską warg. Zasyczała wściekle, wysuwając w ich stronę rozdwojony język.

Ewa wyciągnęła z torby latarkę, wycelowała nią prosto w twarz staruszki i włączyła. Promień światła faktycznie oślepił. Robił wrażenie, jakby nagle w szary poranek zstąpił blask. Karolina musiała zmrużyć oczy, bo

zaczynały jej przed nimi latać mroczki. Otworzyła je dopiero, gdy usłyszała kliknięcie wyłącznika.

Organizatorka rzuciła torbę na ziemię, wsadziła do niej z powrotem latarkę, za to wyjęła butelkę sprayu chłodzącego i zaczęła nią potrząsać. Wiesława tymczasem wciąż stała w tym samym miejscu, kiwając się lekko to w jedną, to w drugą stronę, jakby do rytmu delikatnych podmuchów wiatru. Oczy miała wielkie, jeszcze większe niż wcześniej, ale całkiem puste i pozbawione wyrazu. Nie były już nawet żółte – przybrały zgaszony, beżowy kolor. Język zwisał jej bezwładnie z ust.

– O kurczę... – wyrwało się Karolinie. – To faktycznie działa.

– Oczywiście. Sabina jest profesjonalistką.

Ewa, wciąż potrząsając puszką, podeszła do staruszki i bez wahania prysnęła jej sprayem w twarz. Z gardła Wiesławy wydobył się jakby gulgot i wija przestała się kołysać. Znieruchomiała całkiem. Ewent zajrzała jej w twarz, wciąż trzymając puszkę w ręku.

– Całkowity nokaut – oceniła. – Podaj siekiere.

– Co?

– Siekiere podaj. Jest w domku.

– Ale... to starsza pani jest! – zaprotestowała niepewnie Karolina. – Nie mogę przed ślubem wykończyć całej rodziny Darka!

– Dlaczego? – zdziwiła się Ewa. – Przecież oni chcą wykończyć ciebie. Sami zaczęli. Mogli siedzieć cicho i zatruć cię na spokojnie jadem tydzień po ślubie, ale nie, uparli się zepsuć mój ślub.

– Mój.

– Co?

– Mój ślub.

– Detale.

– No raczej chyba nie! To jest mój ślub, moje wesele, moje życie i MOI GOŚCIE!

ZAMÓWIŁAM POGODĘ NA TEN DZIĘŃ,
A I TAK PADAŁ DESZCZ*****

Karolina wzięła głęboki oddech. Powietrze smakowało wilgocią i chłodem. Czowała w nim mijającą zimę – szarą, rozmokłą, mieszającą śnieg z błotem –

i nadchodzącą wiosnę – bladą, niewiele różniącą się od swojej poprzedniczki, obfitującą w mżawki i pluchę.

Obie pory roku były wypełnione wodą – zima twardym lodem i skrzypiącym śniegiem, a wiosna roztopami – a rusałka po raz pierwszy od dawna zaciągnęła się nią głęboko, nie próbując się ograniczać ani ukrywać. Wypełniła się nią cała. Jezioro Turawskie, dotąd spokojne, nagle wezbrało i wzburzyło się, a ogromne, spienione fale uderzyły o brzeg półwyspu i sięgnęły w głąb, aż do stóp organizatorki.

Ewa ani drgnęła.

– Z zasady przyznaję pannom młodym prawo do trzech scen – powiedziała. – Jeśli jest więcej hysterii, to grafik zaczyna się sypać. To jest twoja druga.

– Pierwsza nie powinna się liczyć, wielki morderczy wąż to jest solidny i realistyczny powód do nerwów! – oburzyła się natychmiast Karolina.

Przestała się koncentrować i uwolniona z jej mocy woda gwałtownie wróciła do jeziora. Nie zmyła nawet krwi z czubków butów Ewent, tylko je przemoczyła.

– Liczy się jak najbardziej, opóźniła i skomplikowała sprawy jak cholera. A teraz ty komplikujesz wszystko jeszcze bardziej!

– Jasne, bo stopniowe wykańczanie rodziny mojego przyszłego męża to wszystko uprości! Sama się upierasz, że mam wziąć ten ślub, no to dobra, wezmę, ale jeśli zaraz po będę musiała wyjaśnić, skąd tyle permanentnie pustych krzeseł na weselu, to będzie trochę słabe i na pewno nie wróży dobrze małżeństwu!

– Ustaliłyśmy, że to oni zaczęli – przypomniała organizatorka.

Karolina westchnęła głęboko.

– Może to wszystko jedno wielkie nieporozumienie. Przynajmniej mam nadzieję, że tak jest. Wiesz, potem wszyscy wyskoczą z takim „Niespodzianka!”...

– A wiesz, że w tym coś może być.... – zgodziła się po chwili namysłu Ewa. Wyciągnęła z kieszeni telefon i wybrała numer. – Dzwoniłaś do Ludmiły? Nie? To dzwoń. I wypytaj ją o zwyczaje ślubne wujów.

Rozłączyła się i przyjrzała krytycznie wciąż niemającej kontaktu z rzeczywistością stryjecznej babci.

– Dobra, jeśli jej nie dekapitujemy, to i tak trzeba ją usunąć z widoku.

– Gdzie?

Karolina rozejrzała się wokoło. Na półwyspie było kilka zabudowań – domki turystyczne, smażalnia, biuro wypożyczalni sprzętu wodnego... ale aktualnie wszystkie wynajęte pod jej ślub i wesele. W smażalni zaraz mieli zacząć się uwijać ludzie z cateringu, a biura zostały zaanektowane na pomieszczenia organizacyjne.

– Do twojego domku. Zamkniemy ją tam. I tak nie będziesz z niego korzystała, za dużo krwi. Tylko suknię ślubną musimy zabrać.

– Chcesz zamknąć starszą panią w pokoju z krwią na ścianach i na siekierze?

– Siekierę też zabierzemy – przypomniała sobie Ewa. – Możemy jej za to zostawić te środki czyszczące od Sabiny. Będzie chciała, to sobie krew zmyje. Właściwie to byłoby nawet optymalne wykorzystanie czasu... Masz lepszy pomysł? – zapytała sarkastycznie rusałkę, która właśnie przymierała się do rwania włosów z głowy. – Ani się waż! Za chwilę będzie tu fryzjerka! Jak się dorobisz łysych placków, to pójdziesz do ślubu w peruce!

Pytanie o to, czy perukę Ewent też miała na wszelki wypadek przygotowaną, zamarło Karolinie na ustach. Domyślała się odpowiedzi.

– Łap starszą panią pod drugie ramię – poleciła organizatorka.

Stryjeczna babcia na szczęście była drobnej budowy i ważyła niewiele. Wspólnymi siłami wpół zaniósł, wpół zawlekły ją do domku Karoliny. Ewent kolanem pchnęła drzwi, otwierając je na oścież. Wciągnęły Wiesławę do środka i spróbowały postawić. Nogi się pod nią uginały, więc ostrożnie usadziły ją na fotelu.

– Zabieraj, co potrzebujesz, ja wezmę suknię, buty i welon. A babunię zamkniemy od zewnątrz.

Rusałka nie dyskutowała. Pośpiesznie zabrała swój plecak, sportową torbę i płaszcz. Starła się trzymać te rzeczy w wyciągniętych rękach, jak najdalej od siebie, żeby przypadkiem nie pobrudzić ich jeszcze bardziej krwią. Ewa nie miała takich problemów – ślubna kreacja Karoliny była wszak zapakowana w szczelne, nieprzemakalne pokrowce, na wypadek gdyby trafiły w środek ulewy albo krwawej rzezi. Ba, organizatorka miała jeszcze wolną rękę i mogła zabrać stojącą pod ścianą siekierę.

Kiedy wyszły z domku, Ewent nogą przetoczyła pod drzwi pień, w który wcześniej była wbita siekiera.

– Nie jest to najlepsze rozwiązanie, ale młotka i gwoździ nie mam – stwierdziła.

Karolina miała nadzieję, że stryjeczna babcia jest stosownie do wieku słabowita i nie da rady sama wyważyć drzwi ani wydostać się przez okno.

JEST BIAŁY WELON, A W NIM DZIEWCZYNA*****

Domek, w którym szykowały się Zuzanna i Blanka, był identyczny jak ten, który przypadł Karolinie. Bardziej przypominał barak na prowizorycznych nóżkach z cegieł niż prawdziwy budynek. Liczył sobie co najmniej kilkanaście lat i robił wrażenie prowizorki, która ostała się na długo. W końcu skoro się sprawdzała, to po co było coś zmieniać?

Ewa energicznie zapukała do drzwi. Uchyliły się zaraz i wyjrzała przez nie młodsza siostra Darka.

Zuzanna, tak jak brat, miała ciemnoblonde włosy, symetryczną, okrągłą twarz i mocno zarysowane kości policzkowe. Jeśli ktoś wiedział, czego szukać, z łatwością mógł znaleźć w jej rysach ślady węża. Karolina nigdy nie widziała jej w żmijowej formie, ale zawsze wyobrażała sobie, że Zuza musiała przypominać jednego z tych pięknych kolorowych grzechotników – może tych z zieloną skórą, młodsza Kłobucka cudownie wyglądała w zieleni.

– Dzień dobry – przywitała się organizatorka. – Mała wymianka. Pani przynosi się do domku swojej matki, a tu robimy apartament panny młodej.

– Co...? – Zuzanna chyba dopiero teraz obejrzała sobie je całe i dostrzegła znaczący nadmiar czerwieni na ich ubraniach.

– Mały wypadek – wyjaśniła spokojnie Ewa, stanowczo popychając drzwi i wchodząc do środka. – Proszę uważać na siekiere.

Kłobucka odskoczyła, unikając kontaktu z ostrzem.

– Wypadek?

Ewent powiesiła na szafie pokrowiec z suknią i welonem i rzuciła obok pudełko z butami. Siekiere dalej trzymała w ręce.

– To z pewnością tragiczne nieporozumienie. Karolino, proszę, wejdź do środka. Pani Zuzanno, proszę wziąć swoje rzeczy. Czas nas goni, zaraz będzie pora na fryzurę i makijaż.

Kłobucka już-już otwierała usta, żeby zapytać, może o krew, może o siekiere, ale zrezygnowała. Zerkając wielkimi, zielonymi oczami to na

rusalkę, to na człowieka, pośpiesznie zaczęła się pakować. Zatrzymała się dopiero przy wiszących przy drzwiach pokrowcach z sukniami dla druchen.

– Blanka...

– Niestety, odwołała udział – oznajmiła spokojnie Ewa. – Trudno, będziemy mieli trochę niesymetryczne ustawienie.

Rusalka nie odzywała się ani słowem, spoglądała tylko trochę niepewnie na swoją szwagierkę. Zuzka chyba by jej nie... Może się nie przyjaźniły, ale przecież było między nimi okej, ba, siostra Darka wydawała się autentycznie cieszyć ze szczęścia brata i jego ślubu. Ale gdyby ktoś Karolinę zapytał z rana, jakie uczucia żywi wobec niej rodzina przysłego męża, to by przysięgała, że może nie entuzjastyczne, ale pozytywne. Może nie pasowała do Kłobuckich – ale Darek ją kochał i chciał się z nią ożenić. A szczęście Darka było dla jego bliskich najważniejsze.

Po słowach organizatorki o Blance oczy Zuzanny zrobił się wielkie jak spodki. Zebrała swoje rzeczy i pośpiesznie wyszła z domku. Zatrzymała się dopiero za progiem i odwróciła do Karoliny.

Uśmiechnęła się niepewnie, jakby lękliwie, ale też zaskakująco życzliwie.

– Do zobaczenia na ślubie – powiedziała i umknęła.

– Ona chyba nie chce mnie zabić – odezwała się po kilku minutach ciszy Karolina.

– Teoretycznie jest to możliwe – zgodziła się Ewa, zajęta przesuwaniami bagaży Blanki, żeby zrobić miejsce dla Karoliny. – Ale nie będziemy ryzykować. Zmyj z siebie tę krew, zostawiłyśmy za domkiem torbę od Sabiny, mam nadzieję, że żaden z tych węży nie był na tyle głupi, żeby ją zabrać...

Wyszła z domku, zostawiając rusalkę samą. Zaraz wróciła, ale czekanie na nią to były chyba najdłuższe trzy minuty w życiu rusalki. Zerknęła lękliwie to na otwarte drzwi, to na okna, wyglądając, czy któryś ze żmijów nie skorzysta z okazji.

Kiedy Ewa wróciła i zamknęła za sobą drzwi, Karolina odetchnęła głęboko, z ulgą.

– Jeszcze się za siebie nie zabrałaś? – oburzyła się organizatorka. – Dziewczyno, masz krew we włosach, a zaraz tu będzie fryzjerka! Idź się umyć!

– Też masz krew we włosach – odgryzła się odruchowo rusalka.

– Ale ja nie biorę zaraz ślubu! Chociaż fakt, muszę się przebrać...

Karolinę zmroziło.

– Nie zostawiaj mnie. – Złapała Ewent za rękę. – Nie będę robić scen, będę najgrzeczniejszą i najbardziej trzymającą się grafiku panną młodą, ale nie zostawiaj mnie samej z tymi zmijami!

Ewa zamknęła na chwilę oczy. Wyglądało, jakby liczyła w duchu do dziesięciu, raz, a potem drugi. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powoli powietrze.

– Dobrze. Nigdzie nie idę, ty się szykujesz, a ja tu wszystko zorganizuję.

Wyciągnęła z kieszeni telefon. Rusałka z lekkimi oporami puściła jej rękę i poszła do miniaturowej łazienki wziąć prysznic.

Domek był mały, a ściany miał prawie z tektury, więc gdy tylko zakręciła wodę, od razu usłyszała, że w pokoju jest ktoś poza Ewą.

– Po co wam była czerwona farba? – pytał ten ktoś.

– Błąd dostawcy, miało być konfetti – odpowiedziała spokojnie Ewa. – Dziękuję, że przyniosłeś mi ciuchy, wiem, że akurat wszystko sprawdzasz...

– Spoko, sprzęt działa – zapewnił ją nieznajomy. – Damy czadu, wiesz, jak tu się będzie pięknie dźwięk niósł?

Ach, to musiał być didżej. Karolina go poznała i była prawie pewna, że jest w stu procentach człowiekiem, irytująco ekstrawertycznym i przyjacielskim, ale raczej mało morderczym.

– Nastaw się, że będziemy musieli pójść w bardziej energetyczny repertuar. Nagrzewnice są zepsute, trzeba będzie rozgrzać atmosferę...

– Nie, spoko, Ewa, działają, przed chwilą przechodziłem, akurat je sprawdzali... – zapewnił ją radośnie didżej.

– Nagrzewnice będą zepsute – skorygowała organizatorka ze smutkiem w głosie. – To przykre, ale mam plan awaryjny. Zrobimy ognisko. Popraw playlistę na coś żwawego, żeby ludzie się ruszali... Dodaj jeszcze parę klasyków do ogniska, *Sokoły*, tylko nie *Irlandię*, to nie jest utwór na ślub...

– A właśnie... Matka pana młodego mnie zaczęła i chciała, żebym zagrał jakichś klasyków... – wyznał niepewnie didżej. – Wiesz, że bez uzgodnienia z tobą nic nie zmienię, dodajemy coś...?

Karolina zgrzytnęła zębami. Klasyków! Klasyków! Marzena Kłobucka sobie wyobrażała, że co, będą może poloneza tańczyć? Żeby było wystarczająco snobistycznie! Sięgnęła po ręcznik, żeby się nim owinąć i wparować do pokoju z protestem na ustach.

– Dołóż klasyków, dołóż – zezwoliła Ewa. – Krawczyka daj i może *Age of Aquarius*, będzie ładnie pasowało...

Rusałka, która była absolutnie pewna, że nie takich klasyków jej przyszła teściowa miała na myśli, znieruchomiała z dłonią na klamce. Era Wodnika mogła być, z dziką radością pokazałaby rodzinie pana młodego, na czym polega prawdziwa Era Wodnika...

Puściła klamkę jak oparzona. Jeszcze dziś rano się bała, chciała uciekać, umknąć razem z delikatną falą jeziora, a teraz co? Jakby coś w niej pękło, jakby puściła kra na rzece, jakby się roztopił lód i spłynął wodą, budząc w niej moc i może nawet trochę woli walki.

Nie czuła się na siłach walczyć sama, nie tak naprawdę, ale miała przy boku Ewę Ewent, zdeterminowaną, by ten ślub się odbył, i Karolina uświadomiła sobie, że chyba też tego chce. Chce im wszystkim pokazać, że nie dadzą rady wodnej pannie, nie odstraszy jej kilka kłów i trochę łuski...

Jedna tylko myśl uwierała ją jak drzazga – mogła stawić czoła rodzinie Darka, ale co o tym wszystkim myślał sam pan młody?

ZA RODZIN ŚWIĘTĄ RZECZ, NO I TEŚCIOWYCH TEŻ*****

Karolina poczekała, aż didżej, zapewniany przez Ewę, że naprawdę nie musi się angażować w szukanie zastępczych nagrzewnic, sytuacja jest pod kontrolą, w końcu wyjdzie, i dopiero wtedy dołączyła do organizatorki.

Ewent zdążyła wytrzeć twarz i poprawić włosy, czerwone ślady miała już tylko na ubraniu. Siedziała z tabletem w ręku i poprawiała coś, co wyglądało na plan usadzenia. No tak, pustych krzeseł przybywało...

– Mówiłaś, że bez nagrzewnic będzie kicha – przypomniała rusałka.

– Z nagrzewnicami będzie większa kicha, ogrzewają większy obszar. Jak widać po stryjecznej babci, zimno wujom faktycznie bardzo szkodzi, więc je wyziębimy, może się uspokoją. Spokojnie, nagrzewnic nie będzie, ale zrobimy ognisko.

– Ognisko? – Rusałka nie potrafiła powstrzymać ekscytacji. Tego właśnie chciała, kiedyś, w tym innym życiu, gdy dopiero co powiedziała „tak” i nie miała jeszcze pojęcia, ile komplikacji niesie ze sobą początek wspólnego życia. – Ale nic nie jest przygotowane...

– W ośrodku jest wydzielone miejsce, potrzebujemy tylko drewna. A tak się składa, że obok jest las, a Binka się nudzi i na pewno też ma siekiere.

– Tak można?

Ewent wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia. Może i nie, ale dopiero co przeszły wichury, wokół jest pewnie pełno połamanych gałęzi, stwarzających zagrożenie dla przypadkowych spacerowiczów. To będzie prawie jak dotacja na rzecz nadleśnictwa czy może Skarbu Państwa. A poza tym... kto strzydze zabroni?

Zamknęła plan usadzenia gości i otworzyła wideorozmowę. Twarz Sabiny pojawiła się na ekranie niemal natychmiast, Piechota chyba faktycznie nie miała co robić.

– Potrzebuję drwa na ognisko – powiedziała Ewa. – Nie masz ochoty przetrzebić trochę lasu?

– Tak! Tu jest tragicznie, serio, nie wiem, kto im robi BHP, tu przy parkingu to już przycięłam, szczerze mówiąc, ale im dalej w las... Rozpałkę też mam!

– Rozpałkę?

– Jest wilgotno, drewno się nie będzie chciało palić.

– Ja mogę je wysuszyć – wtrąciła Karolina. – To znaczy, wodę z niego zabrać. Posłucha mnie...

– Serio? – Sabina przechyliła głowę, jakby próbowała wyjrzeć z tabletu i spojrzeć na stojącą poza zasięgiem kamery rusalkę. – To jest fascynujące, logiczne właściwie, jak się zastanowić, ale moje źródła nie wspominają o takiej opcji i naprawdę bardzo bym chciała...

– Nie dziś – wpadła jej w słowo Ewa. – Karolina za parę godzin wychodzi za mąż, o ile oczywiście nam się ceremonia nie opóźni z przyczyn niezależnych...

Po tonie jej głosu wyraźnie dało się poznać, że o ile próba zamordowania panny młodej jest znacznym *faux pas*, o tyle czymś niewybaczalnym stanie się dopiero wtedy, gdy zakłóci święty grafik.

– Nie opóźni! – wykrzyknęła Piechota. – Ewcia, nic się nie może opóźnić, ale może się trochę pokomplikować. Właśnie z panią Ludmiłą skończyłam rozmawiać!

– I?

Tylko Ewent mogła zawrzeć tyle chłodu i nacisku w jednej samogłosce.

Sabina, zupełnie nieprzejęta niewypowiedzianą groźbą, zakołysała się niczym mała podekscytowana dziewczynka.

– Otóż wije są matriarchalne. Samice rządzą. Do tego są strasznie nastawione na rywalizację, na zasadzie, która matrona jest największą matroną... najsilniejszą właściwie.

– To będzie fatalnie wyglądało, jeśli będę musiała usunąć matkę pana młodego ze ślubu i wesela – westchnęła Ewa. – Może ją jednak czymś na czas ceremonii otumanić... Mamy latarkę i spray...

– Ślub i wesele to pójdą lajtowo, przynajmniej według tego, co mi Ludmiła mówiła – uspokoiła ją strzyga.

Organizatorka wymownie uniosła jedną wypielegnowaną brew. W bagażniku auta Sabiny spoczywały zdekapitowane zwłoki ciotecznej wuja Bogdana, kuzynkę Blankę fala poniosła na drugi brzeg jeziora, a oślepią i zamrożoną stryjeczna babcia Wiesława dochodziła do siebie w domku obok. Różnie można było tę sytuację określić, ale raczej nie jako lajtową.

– Serio, serio – zapewniła radośnie Piechota. – Ślub i wesele to są święte i nienaruszalne. Huzia na nowicjusza Józia... Józie właściwie... jest wcześniej. Ludmiła mówiła, że zgodnie z tradycją, kiedy nowa jednostka płci żeńskiej wchodzi do rodziny, wżenia się właściwie, to wchodzi też w hierarchię. W teorii jako synowa najsilniejszej matrony... to Karolina od razu wchodzi na trzecie miejsce w porządku dziobania, zaraz za swoją szwagierką. I zgodnie z tradycją od rana w dniu ślubu zaczyna się taki otwarty sezon, można polować, rzecz jasna tylko na pannę młodą, jej rodzina i inni goście są nietykalni. Dziwne tylko, że o tej porze roku robicie... Wije są zimnokrwiste, marzec to nie jest pora dla nich. W szczytowej formie są w maju albo w czerwcu, w marcu to wszyscy jak w reklamie, nie są do końca sobą i żaden batonik im nie pomoże. Tak że hej, panno młoda! Dobra robota, znacząco zwiększyłaś swoje szanse przeżycia tego cyrku!

Karolina z wrażenia aż usiadła. To nie ona, ona chciała maj... Ewent mówiła coś jeszcze do Sabiny, ale rusałka jej nie słuchała. Dlaczego Marzena Kłobucka tak się upierała przy wczesnej wiośnie?

Ze stuporu wyrwało ją pukanie do drzwi. Ewa skończyła rozmowę, wstała z kanapy i poszła otworzyć. Po drodze podniosła jeszcze stojącą pod ścianą siekiere.

Ze swojego miejsca na kanapie rusałka miała doskonały widok na drzwi i na stojącą na zewnątrz Marzenę Kłobucką. Jej przyszła teściowa wyglądała jak o dwadzieścia parę lat starsza wersja Zuzanny – wciąż piękna, elegancka, z wypielegnowaną twarzą i dłońmi, dająca stanowczy odpór czasowi i zmianom, które ze sobą przynosił.

Kłobucka zmierzyła wzrokiem Ewę, jej ubranie i siekierę, a potem zerknęła za plecy organizatorki, na Karolinę. Zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głowy, jakby oceniając, czy rusałka jest cała.

– Zajrzałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku i czy może czegoś nie potrzebujecie. Zuzanna wspomniała, że wystąpiły pewne okoliczności...

– Wszystko jest pod kontrolą – odpowiedziała jej spokojnie Ewent. – Wszystko przebiega zgodnie z planem.

Marzena uśmiechnęła się, a w jej oczach na jedną ulotną chwilę mignęła wężowa żółć.

– Tak właśnie myślałam. W końcu, pani Ewo, ma pani określoną opinię... Śluby i wesela przez panią organizowane zawsze dochodzą do skutku. Jestem pewna, że i my możemy na to liczyć.

Skinęła głową oszołomionej Karolinie i odeszła.

ALO, SALUT, SUNT EU, UN HAIDUC*****

– To chyba dobrze? – zapytała Sabina. Spoglądała na nie obie z ekranu opartego o pudełko z butami tabletu. – Wielka żmijowa matka chrzestna... teściowa chrzestna? No, główna żmija tego wesela jest po stronie rusałki...

– Mam na imię Karolina – wtrąciła Smuga.

– Po stronie Karoliny – skorygowała Piechota. – Trochę szkoda, bo już ci miałam proponować zniżkę na poślubną terapię rodzinną u mojego współnika, ale z twojego punktu widzenia to super. Oszczędzisz na terapii i na dzień dobry wiesz, że teściowa nie chce cię zabić i jeszcze na dodatek utrudnia to innym!

– Ale inni dalej chcą mnie zabić!

– Oj tam, dalsza rodzina, spotkasz ich raz na ślubie i nigdy więcej, nieważne, czy przeżyją, czy nie. Plus: moje źródła twierdzą, że jak już weźmiesz ślub, to nikt cię potem nie będzie chciał mordować! Uwierz mi, taki problem to pikuś.

– I skoro po ślubie przestaną się na mnie zasadzać, to mam przyjąć, że wszystko jest super, i po prostu przejść nad tym do porządku dziennego?

Sabina przygryzła wargi, wyraźnie coś sobie przemyślując.

– Różnice kulturowe – powiedziała wreszcie. – Macie różnice kulturowe. To ci jednak dam ten bon ze zniżką do Piotrusia, przepracujesz sobie...

– Może później – stwierdziła Karolina. – Na razie chciałabym dożyć do ślubu. I porozmawiać z Darkiem. Czy on w ogóle o tym wiedział?

Piechota wzruszyła ramionami.

– Obstawiałabym, że tak. Ale pani Ludmiła mówiła, że to totalny matriarchat, mężczyźni są na samym dole drabinki. Dlatego pewnie atak zaczął ten gość, którego mam w samochodzie, najpierw najślabi próbowali zawalczyć o pozycję. Twój przyszły mąż mógł wiedzieć i nie mieć nic do gadania.

– I nic mi nie powiedział?

– Nie rozmawialiście o tradycjach waszych rodzajów? – zainteresowała się Piechota. – Bo się kiedyś zastanawiałam, czy Piotrusia nie namówić na szkolenia komunikacji międzykulturowej, wiecie, takie podstawowe rozmówki z innymi nienormatywnymi: nie brzmisz strzydze, to się zamknij, daj czupakabrze kebsa, nie oczekuj, że wampir cokolwiek sam zrobi...

– W ogóle o tym nie rozmawialiśmy! – jęknęła rusałka.

– Jak to „w ogóle”?

– W ogóle! Temat nie istniał!

– To tak można? – zdziwiła się Sabina.

– Można – wtrąciła się Ewa. – Nie każdy jest tak przecoachowany z interakcji międzyludzkich jak ty. Obie wiemy, że gdyby nie Piotr, to komunikowałybyś się głównie przemocą fizyczną. Nie żeby było w tym coś złego. Teraz cię rozłączę, bo mi wpędzasz pannę młodą w histerię. Wracaj rąbać drwa i zostaw je na wale. Wyślę po nie kogoś.

Sabina zasalutowała jej żartobliwie i zniknęła z ekranu.

– Powinam z nim wcześniej porozmawiać – jęknęła Karolina.

Organizatorka wzięła tablet i zaczęła na nim coś sprawdzać.

– Powinam! – odpowiedziała sama sobie rusałka. – Ale się bałam, że jak powiem to na głos, to bajka się skończy. I wierzyłam, że się rozumiemy! Że wszystko jest między nami jasne bez słów! Chciałam po prostu mieć kogoś swojego – westchnęła Karolina.

– I myślałaś, że małżeństwo ci to załatwi?

– O to przecież w tym chodzi! Żeby mieć tę jedną osobę, drugą połówkę, na dobre i na złe...

Ewa wzruszyła ramionami.

– Nie będę na mit narzekać, bo w końcu na nim zarabiam, ale to jest właśnie mit. Nic i nikt ci nie zagwarantuje, że bajka będzie miała szczęśliwe zakończenie. Życiowe, oczywiście, bo szczęśliwe zakończenie tego dnia jest pewne. Słuchaj mnie teraz uważnie. Słuchasz?

Karolina pokiwała głową.

– Sabina mówiła, że postronnych nie ruszają. To znaczy, że nie możesz aż do ślubu zostać sama. Musisz mieć obok mnie albo kogoś normatywnego. Im więcej normatywnych, tym lepiej... Zaraz będzie fryzjerka, to człowiek. Makijażystka też. Zostawię cię z nimi, pod żadnym pozorem się od nich nie oddalaj i nie pozwól im odejść.

– A ty?

– Mam twój ślub i wesele do ogarnięcia, muszę sprawdzić catering, nową playlistę, upewnić się, że nie zapadniecie się w błocie w trakcie ceremonii, a te nagrzewnice się same nie zepsują! Wróć, zanim przyjdzie pora na zdjęcia. Potem już będę cię pilnować aż do ślubu.

– A jeśli ktoś czegoś spróbuje?

– Mimo publiczności? To ci powiem, że Kłobuccy są niespełna rozumu. To jest od lat terytorium Martinusów, mniejsze wpadki sprowadzały łowców.

– Łowców? – przestraszyła się Karolina.

– Nie masz się czego bać, Ludmiła jest na emeryturze, ale rodzinie pana młodego o tym nie wspominaj. Jeśli faktycznie się wśród nich trafi wyjątkowo głupi i ryzykancki egzemplarz, to mam latarkę i spray, a ty wodę.

– Możemy też krzyczeć, Sabina nas usłyszy!

Wizja strzygoniowej ochroniarki była jeszcze bardziej uspokajająca niż obecność psychopatycznej Ewy. Strzygi w porządku dziobania stały wysoko, oj, wysoko. Na pewno wyżej niż rusałki, wilkołaki czy nawet wije!

– Jak nas usłyszy? Będzie miała ochronniki na uszach!

– Dlaczego?

– Bo jest strzygą. Nie wpuszczasz strzygi w okolice polskiego wesela bez solidnych ochronników słuchu!

– Dlaczego? – powtórzyła Karolina.

– Bo białe dekoracje fatalnie wyglądają zbryzgane krwią! Pod jakim kamieniem w strumieniu siedziałaś, że nie wiesz, że strzygi mają specyficzną odmianę hiperakuzji...

– Hiperczego?

– Nadwrażliwości na dźwięki. Niektóre... i niektórzy ludzie, skoro już o tym mowa, im po prostu nie brzmią. Tylko jak ciebie denerwuje jakaś piosenka, to ją pomijasza na playliście albo wyłączasz radio, a strzyga wpada w szał. I to nie taki miły szał, podczas którego wykończy tych, których trzeba, tylko prawdziwy stuprocentowy amok. Jeśli wpuścimy Sabinę na półwysep, to z całego wydarzenia ostanę się tylko ja. I pełno sprzątaniam! Więc wybacza, ale będziesz musiała polegać na sobie i na mnie!

ALE ONA GO KOCHA I ONA TO ZMIENI*****

Według świętego i nienaruszalnego grafiku Ewy do przyjazdu fryzjerki zostało jeszcze piętnaście minut, akurat tyle, żeby Karolina zdążyła porozmawiać z Darkiem.

– Przez telefon – uparła się organizatorka.

– Ale ja muszę mu spojrzeć w oczy!

– Od tego masz rozmowę wideo. Nie wyjdiesz sama z tego domku, a jego tu z kolei profilaktycznie nie wpuszczę. Jeszcze się okaże, że będę go musiała unieszkodliwić i co? Wiesz, jak to skomplikuje ceremonię?

Rusałka poderwała się na równe nogi.

– Ani się waż...!

– Oczywiście, że się będę ważyła! Przecież łba mu nie utnę, najwyżej oberwie tym samym co starsza pani, a potem będę musiała go cucić, żeby oprzytomniał do ślubu.

– On by nie... On nie mógł wiedzieć... – Karolina błagalnie zacisnęła dłonie. – A ja go muszę zapytać, teraz, już, zanim makijażystka przyjdzie – dodała w przeblysku geniuszu. – Bo co, jeśli się rozplączę i mi się sztuczne rzęsy odkleją?!

– Ani się waż! – Teraz to Ewa się poirytowała. – Na ślubie można płakać tylko na ładnie, brzydki szloch nie wchodzi w rachubę, a rzęsy mają zostać na miejscu. Dzwon sobie do niego, przecież ci tego nie bronię, ale nie licza, że się stąd ruszę.

Karolina odpuściła sobie dalszą sprzeczkę. I tak nie miała szans wygrać, a czas mijał. Lada chwila miały się pojawić fryzjerka i makijażystka, a przy nich na pewno nie mogła rozmawiać z nikim na takie tematy.

Wyciągnęła z plecaka swój telefon. W skrzynce było kilka esemesów, głównie przedwczesne gratulacje od dalszych znajomych, potwierdzenie od taty, że już jest w Opolu i niedługo dotrze do Turawy, i kod promocyjny do sieci drogerii.

Karolina wzięła głęboki oddech i odpaliła aplikację do wideorozmów. Wybrała numer Darka.

Zdążyła doliczyć do siedmiu, zanim wreszcie odebrał. Na ekranie mignęła jej jego twarz pod wyjątkowo niekorzystnym kątem. Głównie widziała jego dokładnie ogolony podbródek, fragment dziurki w nosie i zaciśnięte powieki.

– Karo, przed ślubem to nie możemy się widzieć, bo to pech! – zawołał wesoło.

W tle słyszała pokrzykiwania jego друзbów, Tomka i Grześka. Też o pechu.

– Muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy – powiedziała. Ewy postanowiła nie liczyć, w końcu ona i tak wiedziała, o co chodzi.

– Karo...

– Musimy porozmawiać o twojej rodzinie – dodała z naciskiem. – Teraz. Koniecznie.

Darek spowaźniał trochę, obraz przez chwilę był rozmazany, a potem pojawiła się przed nią twarz jej męża, przystojna, przyjazna, otoczona krótkimi, złotymi kosmykami. W tle za nim były kafelki.

– W łazience jestem – powiedział. Jego słowa odbijały się echem od pomieszczenia, ale dało się je zrozumieć. – Co z moją rodziną?

Rusałka przez chwilę miała ochotę zakrzyknąć: „A co, kurczę, myślisz?“, ale powstrzymała się i uchwyciła podejrzenia, że może on nie wiedział, faktycznie nie wiedział...

– Wiesz, czym oni są... – zaczęła delikatnie.

Nigdy nie rozmawiali ze sobą wprost na ten temat i dlatego to było teraz takie trudne.

– Wiem, czym jesteśmy – odpowiedział natychmiast Darek. – Ty przecież też wiesz... prawda? – przestraszył się nagle.

– Wiem! – zapewniła go Karolina, ignorując Ewę, która właśnie wywracała oczami, na szczęście w ciszy. – A ty wiesz... czym ja jestem?

– Wiem! I to piękne, że się znaleźliśmy na tym świecie!

Rozpromienił się i spojrział na nią z taką miłością, że rusałce aż łyzy stanęły w oczach ze wzruszenia. Dotknęła palcami twarzy Darka na ekranie, a on odpowiedział jej tym samym. Trwali tak przez chwilę, aż organizatorka kopnęła ją w kostkę.

– Twoja rodzina ma trochę dziwne tradycje przedślubne... – zaczęła Karolina.

– Dziwne?

– Takie... mordercze.

Darek zamrugnął, wyraźnie czegoś nie łapiąc.

– Czeka... a twoja tak nie ma?

– Nie! Nikt tak nie ma!

– O... nie wiedziałem.

Mało brakowało, a rusałka wyrznęłaby głową w telefon albo walnęła się nim w czoło.

– Nie pomyślałeś, żeby mnie uprzedzić?

Jej przyszły mąż przypominał wężyka oszołomionego w świetle reflektorów.

– Niiieee... A powinienem?

– O tym, że twoja rodzina będzie chciała mnie zabić przed ślubem?! NO RACZEJ!

– Sorry, serce, jakoś nie pomyślałem – usprawiedliwił się, zupełnie jakby nie wyrzucił śmieci albo zapomniał załadować zmywarkę, a nie pominął mordercze zamiary bandy wijów. – Ale żyjesz, jest spoko!

– Do ślubu jeszcze dwie godziny! – syknęła Karolina.

– Mama mówiła, żebym się nie martwił, dasz sobie radę! – zapewnił ją Darek. – Nawet się założyłem z wujkiem Bogdanem o tysiąka!

Rusałka bardzo poważnie rozważyła uświadomienie mu, że ani tysiąka, ani wujka Bogdana już w tym życiu nie zobaczy, ale zrezygnowała. Jej przyszły mąż najwyraźniej pławił się w przedślubnych endorfinach i nie miała serca psuć mu tego stanu.

– Do zobaczenia na ślubie – powiedziała.

– Pa! – Darek siarczyście cmoknął ekran. – Nie daj się im, Karo!

Rozłączył się. W domku zapadła cisza.

NIE CHCE POCZEKAĆ, TYLKO PŁYNIE W DAL*****

– Nikt z rodziny pana młodego nie może ze mną zostać sam przed ślubem. Najlepiej, żeby mnie w ogóle nie oglądali – wyjaśniła Karolina Basi, makijażystce. – Oni są przeciw nam.

Fryzjerka Aneta kończyła właśnie układać jej włosy we fryzurę, która wyglądała zwodniczo naturalnie, a tak naprawdę kosztowała ponad godzinę pracy.

– To straszne – westchnęła Basia. – Spójrz w górę.

– Jak Romeo i Julia. To dopiero miłość i emocje – dodała Aneta.

O ile rusalka dobrze pamiętała, to dla Romea i Julii cała sprawa nie skończyła się dobrze. Liczyła na to, że sama będzie miała więcej szczęścia.

– Tak. Chcą mnie przekonać, że bym go zostawiła. Nawet teraz...

– Straszne, straszne – zgodziła się makijażystka. – Ale nie płakusiał, jeszcze nie dałam fiksera.

– Nie płakusiał – zgodziła się Aneta. – Wyglądaj pięknie i pójdz tak do ślubu i im pokaż!

Karolina zdążyła sobie rozważyć temat i jednak zdecydowanie wolała nikomu niczego nie pokazywać. Lepiej było te sprawy zostawić w kompetentnych rękach Ewy, która zdążyła z siebie zmyć krew i nałożyć kolejny garnitur, tym razem w praktycznym odcieniu granatu. Obok ślubnych pantofli rusalki stały czółenka organizatorki, która chwilowo zamieniła je na o wiele praktyczniejsze kalosze.

Z tego, co Karolinie udało się podsłuchać albo dowiedzieć bezpośrednio od Ewy, nagrzewnice nie działały, ale na szczęście nadleśnictwo prowadziło właśnie prace porządkowe w lasach, usuwając gałęzie i drzewa połamane przez wicher, i Ewent załatwiła od nich drewno. Stryjeczna babcia Wiesława wciąż jeszcze nie doszła do siebie i siedziała zamknięta w domku. Nikt nie palił się jej stamtąd wypuszczać, ale też nikt poza Ewą i Karoliną nie wiedział, że ona tam jest. Po Blance nie było ani śladu. O wuja Bogdana nikt rozsądnie nie pytał. Tata Karoliny przyjechał i aktualnie spacerował nad brzegiem jeziora, wzruszając się nadchodzącym ślubem. Wije go nie zaczepiały, a Ewent wręczyła mu parę kaloszy, żeby nie ubabrał sobie nogawek.

Wszystko szło zgodnie z grafikiem.

– Puk, puk! – Przez drzwi domku zajrzała ciotka Darka, Bożena. Miała starannie upięte w kok włosy, różowy kostiumik, a w dłoni bukiet lilii. – Jest i nasza Karolinka!

Wparowała do domku i ostentacyjnie ucałowała powietrze, jakieś piętnaście centymetrów od twarzy rusałki.

– Cudownie wyglądasz, cudownie. Ja cię, dziecko, muszę wyściskać, przywitać w rodzinie, no po prostu! Panie nas na minutkę zostawią, co? Chwila dla rodziny!

Aneta i Basia zamarły niepewnie. Zachowanie Bożeny w ogóle nie przystawało do historyjki, którą sprzedała im przed chwilą panna młoda.

– Nie mogą – powiedział rusałka. – Musimy kończyć, bo zaraz zdjęcia.

– Tak! – Pokiwała głową fryzjerka. – Nie możemy, ale przed zdjęciami będzie pewnie chwila.

– Albo w trakcie – dodała makijażystka. – Zawsze jest trochę ustawiania, przestawiania... Momencik się znajdzie.

– Ale ja muszę teraz!

Oczy Bożeny nagle urosły, źrenice się zwężyły, a tęczęwki zmieniły kolor.

– Panie nas na chwilę zostawią...

– Tak... – zgodziła się Aneta.

Karolina złapała odsuwającą się Basię za nadgarstek.

– Nie mamy czasu – powtórzyła desperacko. Starła się nie patrzeć ciotce w oczy i desperacko szukała czegoś, czego mogłaby użyć przeciw niej.

Złapała za stojący obok lakier do włosów, wielką, niemal litrową puszkę, i prysnęła nim w twarz Bożenie. Zaraz tego pożałowała, bo spray był tak duszący, że w małym domku natychmiast zabrakło powietrza. Rozkaszały się wszystkie.

– Co jest? – wycharczała makijażystka.

– Chciałam pani Bożenie fryzurę utrwalić – jęknęła przepraszająco Karolina. – Przepraszam, strasznie przepraszam, może pani na świeże powietrze wyjdzie...

Aneta rzuciła się otwierać okna, Basia pomogła zataczającej się Bożenie wyjść na zewnątrz. Ciotka niemal zderzyła się z idącą w stronę domku Ewą. Jej nagłe i gwałtowne wyjście zwróciło też uwagę obecnych już na miejscu gości – głównie rodziny Kłobuckich.

Organizatorka podniosła głowę znad swojego tabletu i zmierzyła Bożenę zimnym spojrzeniem. Rozejrzała się po gapiach. Miała w spojrzeniu coś takiego, że co najmniej jedna osoba zrobiła krok w tył. Ewa zastukała rysikiem w ekran. W panującej ciszy ten dźwięk natychmiast skupił na sobie uwagę wszystkich obecnych.

– Pani się dobrze czuje? Weźmie pani udział w ceremonii? – zapytała uprzejmie Bożenę. – Nie wiem, czy panią też uwzględnić, a będziemy musieli trochę zmienić plan usadzania gości. Wuj... Bogdan? – Spojrzała pytająco na stojącą w drzwiach domku pannę młodą.

Karolina skinęła głową.

– Wuj Bogdan niestety nie weźmie udziału w ceremonii. Stryjeczna babcia Wiesława jest na razie niedysponowana, ale może do wesela dojdzie do siebie... Kuzynkę Blankę też będziemy musieli skreślić... A z panią jak?

Pytanie było z pozoru niewinne, a organizatorka stała spokojnie naprzeciw Bożeny i przesuwiała rysikiem po tablecie, całkowicie skoncentrowana na pracy i pozornie w ogóle nieświadoma, że Kłobuccy patrzą na nią niczym zahipnotyzowane stado żmijów. Niektórym oczy błyskały żółcią, niczym lśniące węzowe ślepie, i mało brakowało, by z ust wyjrzały im kapiące jadem kły.

Ewent podniosła głowę znad tabletu. Cmoknęła potępiająco.

– Jak dzieci – mruknęła. – Najbliżsi łowcy są czterdzieści dwa kilometry stąd. Trochę rozsądku, proszę.

TULĄ SIĘ MOTYLE, TULĄ, TULĄ, A JA NIE*****

– Ta pani Ludmiła na sto procent jest na emeryturze? – upewniła się szeptem Karolina.

Fotograf ustawiał właśnie rodziców państwa młodych do zdjęć. Ewent uparła się, żeby portrety zrobić wcześniej, zanim rozmażą się makijaże, wymną suknie i wszyscy będą zajęci rzucaniem się sobie w ramiona i łkaniem ze szczęścia.

Szczerze mówiąc, Karolina nie przewidywała przesadnego rzucania i łkania... Owszem, zamierzała uściskać tatę i ucałować męża, ale buziaczki z taką Bożeną Kłobucką? W życiu!

Bożena zresztą też nie wyglądała na chętną do robienia misia. Razem z innymi członkami rodziny kręciła się wokół placu, na którym trwała sesja fotograficzna. Karolina cierpliwie odpracowała swoje solowe zdjęcia, a potem, zamiast schować się w domku, zadarła sukienkę i zaczęła niczym cień chodzić za organizatorką.

Ewa zupełnie to ignorowała. Krążyła po namiocie ze stolikami i przestawiała wizytówki. Dwie zabrała całkiem, kilka innych przesunęła na mniej widoczne miejsca z tyłu. Z tego, co rusałce udało się podejrzeć, były to wizytówki osób, które aktualnie najbardziej starały się ją zabić wzrokiem.

– Na sto procent – mruknęła Ewent. – Przestań się tak kręcić, ubłocisz suknię.

– Miałam się ciebie pilnować, to pilnuję! Nie mogę polegać na normatywnych, widziałas, co Bożena im zrobiła...

– Nie widziałam, ale się domyślam. Jak będzie na tyle głupia, żeby spróbować znowu, to ją potraktuję latarką. A potem zadzwonię do pani Marysi i ją przekonam, że romantyczny spacer nad Jeziorem Turawskim to jest dokładnie to, czego ona i Ludmiła w tej chwili potrzebują.

– Mówiłaś...

– Spacer to nie to samo co łowy. Ludmiła takich rzeczy już nie robi; jak trzeba będzie, to sama usunę problem.

– Będziesz odstawiała Kill Billa na moim weselu?

– Oczywiście, że nie. Raz, że fatalnie bym wyglądała w żółtych dresach, dwa, nigdy w życiu bym nie założyła dresów do pracy, trzy, miecze są szalenie niepraktyczne.

– Myślisz, że możesz nam zagrozić? Ty? – W wejściu do namiotu stała Helena, siostra Blanki. Twarz miała wykrzywioną złością.

Ewa zmierzyła ją od stóp do głów spojrzeniem, jakim otaksowałaby karalucha.

– Myślisz, że jaki gatunek wytrzebił nienormatywnych? – odparowała zimno. – Homo sapiens! Czy to fair? Nie. Czy mam jakieś opory przed tym, żeby kontynuować destrukcyjne dzieło ludzkości? Żadnych. To jest moje wydarzenie, a moje wydarzenia zapisują się innym w pamięci ze względu na to, że są wspaniałe, a nie pełne trupów!

– W tym wypadku chyba będziemy mieli obie opcje... – zauważyła Karolina.

Organizatorka odwróciła się do niej tak błyskawicznie, jakby sama była zmijem, i spojrzała tak, jakby jej wzrok mógł zabijać.

Panna młoda wzruszyła ramionami.

– No co, prawdę mówię. Ale patrz, na granatowym nie będzie tak plam widać. – Wskazała na kostium Ewy. – I spokojnie, na moją suknię nic nie polecisz, w razie czego schowam się za dekoracją. Na coś się te wielkie aranżacje kwiatowe przydadzą...

– Nie martw się moim garniturem, mam zapasowe ciuchy w aucie.

– Jeszcze jedno? Ile ty masz tych zapasowych kompletów?

– Tyle, ile potrzeba.

Ewa podeszła do stolika, na którym było zaplanowane miejsce dla Heleny, i podmieniła wizytówki. Tę z jej imieniem przeniosła na dalszy stół.

Żmija patrzyła na to w milczeniu, mrużąc wściekle ślepia.

– Takie puste miejsca z przodu źle wypadają na zdjęciach – uśmiechnęła się promiennie organizatorka. – A przecież chcemy, żeby wszystko było idealnie.

Helena wydała z siebie wściekły syk, odwróciła się na pięcie i odeszła.

– Mam nadzieję, że wpadnie w błoto – pozłorzeczyła jej na odchodne Karolina.

– Błoto to ziemia z wodą – rzuciła na pozór obojętnie Ewent. – Tak tylko mówię.

ZŁOTE OBRAŹKI I RÓŻE PŁONĄCE*****

Kuzynka Helena nie była osobą przewidującą i przygotowaną na różne pechowe wydarzenia. Nie przywiozła ze sobą zapasowego stroju, nie wychodziło jej też udawanie, że plamy z błota na jej jasnozielonej sukni to celowo umieszczony awangardowy wzór. Karolina była pewna, że jeszcze przed ceremonią uda się jej sprawić, że kuzynka zaryje w błoto nie tylko strojem, lecz także twarzą i koafiurą.

Upadek przyniósł ze sobą skutki nawet dramatyczniejsze, niż rusałka przewidywała, bo mimo typowego dla wczesnych marcowych weekendów chłodu Helena nie miała na sobie kurtki ani płaszcza. Prawie cała rodzina pana młodego pojawiła się na miejscu ceremonii w odzieży odświętnej, eleganckiej, ale niespecjalnie ciepłej. Niestety, nikt nie zdążył ich

poinformować o awarii nagrzewnic, ale Marzena Kłobucka, sama odziana w gustowny płaszcz, ozdobiony dodatkową broszką w kształcie róży w kolorze, a jakże, figowym, serdecznie ich przeprosiła za niespodziewaną awarię sprzętu i zapewniła, że zaraz zostanie rozpalone ognisko i wszyscy będą mogli się ogrzać.

Organizatorka trochę zgrzytała zębami – na jej weselach do takich wpadek nie powinno dochodzić – ale wybrani przez nią cateringowcy stanęli na wysokości zadania i właśnie szykowali wybór kiełbasek oraz szaszłyków mięsnych i warzywnych, a także wielki gar grzanego wina.

Marzena Kłobucka starała się tego nie zauważać. Ewa nie była do końca zachwycona, ale robiła, co się dało, żeby ślub i wesele były naprawdę WYDARZENIEM, a Karolinie było coraz lepiej na duszy.

Miała wokół siebie wodę, szarą i trochę zamarznąłą, ale wołającą do niej i grającą ukochaną melodię. Szare niebo i szare jezioro lśniły dla niej spokojem, a zaraz tuż nad brzegiem ona i Darek mieli złożyć przysięgę i rozpocząć wspólne życie. Już tylko minuty dzieliły ich od chwili, gdy wyszepczą sobie całą swoją miłość, a wiatr poniesie ich słowa hen, aż po kres świata.

Do tego nikt z Kłobuckich nie próbował jej już zabić – czy zniechęciło ich zimno, czy obecność normatywnych, czy może sposób, w jaki Ewa mrużyła oczy – nieważne. Grunt, że rusalka czuła się bezpieczna. Stała uśmiechnięta, czekając na najpiękniejszą chwilę swojego życia, i wzruszała się, widząc, jak jej tata ociera łzy.

Urzędnik był już na miejscu. Zza szarych chmur wyglądało słońce. Zaraz ona i Darek mieli wyjść na placyk, każde z innej strony, i spotkać się przed celebrantem. Nic nie mogło już tego zepsuć, nawet marcowy chłód, nawet siedząca w pierwszym rzędzie skrzywiona kuzynka w ubłoconej sukni.

Zaraz jednak okazało się, że odzieżowa wpadka Heleny jest niczym wobec stanu Blanki, która, doszczętnie przemoczona i ubłocona, w szlafroku upstrzonym wodorostami, wyczołgała się na brzeg dokładnie w miejscu, gdzie za piętnaście minut miała się zacząć ceremonia.

– Co ona tu robi? Miałaś ją utopić – oburzyła się szeptem Ewa.

Zuzanna, wystrojona, nienaganna i stojąca obok panny młodej, gotowa pełnić obowiązki druhny i świadkowej, wydała z siebie coś jakby parsknięcie.

– Ale nie utopiłam. Porwałam ją falą na drugi brzeg jeziora!

– No wiesz co!

– Nie umiem inaczej! Nie każdy ma tak jak ty! – syknęła Karolina.

– Jakby każdy miał jak ja, to społeczeństwo byłoby o wiele bardziej kompetentne i zorganizowane. Nie mogłaś mi powiedzieć, gdy zabierałam jej wizytówkę ze stołu? Teraz będę musiała jej na szybko szukać miejsca!

Wypełzająca z jeziora Blanka wzbudziła sensację, zwłaszcza wśród normatywnych gości. Zerkali niepewnie to na nią, to na pannę młodą, to na coraz bardziej zdenerwowaną rodzinę pana młodego. Tymczasem żmija, przemoczona i najwyraźniej wychłodzona, wspięła się ze skrawka plaży na plac, na którym miała odbyć się ceremonia.

Nikt nie rzucał się jej pomagać, być może dlatego, że była faktycznie straszliwie brudna i nie było szans, żeby kreacja pomocnika przetrwała ten dobry uczynek.

Sytuację uratowała, oczywiście, Ewent. Na jej znak jak spod ziemi wyrosły dwie osoby z obsługi z ciepłym kocem, opatulily nim Blanke i odprowadziły ją gdzieś na bok, zanim zdążyła do reszty oprzytomnieć.

– To jest oburzające! – wyrwało się ciotce Bożenie.

Poderwała się z miejsca i ruszyła na Ewę, a za nią, jak na komendę, część rodziny. Pozostała część, pod wodzą Marzeny, rzuciła się rozpraszać normatywnych.

Karolina nie była pewna, kto by wygrał to starcie, grupa żmijów czy niewzruszona Ewa Ewent. Nie miała szans się dowiedzieć, czym skończyłaby się szarża wijów na organizatorkę, bo na najbliższym brzegu jeziora, ledwie kilkadziesiąt metrów od skraju cypelka, na którym miał się odbyć ślub, coś szcęknęło, chrupnęło, zaświstało i huknęło.

Jedno z drzew runęło na wał z takim impetem, że aż zatrzęsała się ziemia.

Ewent odwróciła się gwałtownie na pięcie, zupełnie ignorując to, że pokazuje plecy nadchodzącym żmijom.

– SABINO! – ryknęła z potępieniem, aż echo poszło po jeziorze.

Spomiędzy drzew wyrzała Piechota. Gdzieś po drodze zgubiła czy zdjęła kurtkę. W wielkich buciorach, dzinsach i kraciastej koszuli wyglądała, jakby urwała się z sesji zdjęciowej dla emo drwali. Do tego w prawej ręce trzymała siekiere, a z jej lewą dłonią coś było nie tak – palce i paznokcie były nienaturalnie długie i wygięte, bardziej przypominały łapę ze szponami niż ludzką dłoń. Na głowie miała słuchawki ochronne w kolorze intensywnie żółtym, kontrastujące z jej czarnymi włosami. Wyglądała nierealnie i trochę upiornie. Karolina sama miała ochotę na jej

widok schować się za plecami Ewy, a przecież wiedziała, że strzyga jest po jej stronie.

Sabina wykonała gest, który w zamierzeniu miał być chyba uspokajający, a może przepraszający, ale ze względu na siekierę, którą miała w ręce, wypadł raczej złowrogo. A potem zorientowała się chyba, że zakłóca zbliżającą się ceremonię, bo zniknęła z powrotem w lesie.

– Co... – wyrwało się kuzynce chyba Honoracie. W jej głosie brzmiała bezbrzeżna zgroza kogoś, kto właśnie zorientował się, że zamiast na weselu wylądował w polskiej wersji slashera.

Reszta krewnych Kłobuckich spoglądała niepewnie to na siebie, to na drugi brzeg, to na Ewę.

Karolina co prawda wiedziała, że jedyne, co strzyga w lesie traktowała siekierą, to drzewa, ale w tej chwili sama była skłonna uwierzyć, że wokół jeziora grasuje potwór w morderczym szale.

– Spokojnie, to tylko Binka – powiedziała Ewa. – Moja przyjaciółka, czasem pomaga mi w pracy.

– Strzyga...? – wyrwało się ciotce Bożenie.

– Strzyga – przytaknęła Ewa, na tyle cicho, by słyszeli ją tylko stojący najbliżej. – Z siekierą strażacką.

– Dlaczego strażacką? – jęknął kuzyn chyba Stanisław, wpatrujący się w Ewę z wyrazem niezmierzonej grozy.

– Bo takie wykorzystuje na szkoleniach przeciwpożarowych. Mamy w planie ognisko, może szybkie szkolenie na temat zagrożenia pożarowego się przyda...

Organizatorka precyzyjnie się pomieszczyła między stłoczonymi na brzegu Kłobuckimi i wyszła na środek placu. Uśmiechnęła się serdecznie, promiennie i tak nienaturalnie, że Karolinę aż dreszcz przeszedł.

– Drodzy goście! Przepraszamy za zakłócenia. Jak sami widzieliście, nadleśnictwo właśnie walczy ze skutkami ostatnich wichur, a nasza droga druhna... Cóż, mogę was zapewnić, że świetnie się bawiła na wieczorze panieńskim i na pewno z pomocą naszej wspaniałej obsługi dojdzie do siebie. Za chwilę wzniesiemy toast za jej zdrowie, a teraz... Przywitajcie, proszę, państwa młodych!

W PORĘ RZEKLI MI DALEJ TO IDŹ DROGĄ

SWĄ*****

Był marzec.

Karolina Kłobucka stała nad brzegiem Jeziora Turawskiego, spoglądała na pozostałości zimy i czuła, że wraz z topniejącym śniegiem i lodem topnieje też coś w niej.

Może to była miłość, może ulga, a może to wspaniałe grzane wino, które okazało się hitem wesela.

Nagrzewnice cudownym zrzędzeniem losu zaczęły działać zaraz po tym, jak Karolina i Darek stali się oficjalnie państwem Kłobuckimi. Marzena próbowała w związku z tym odwołać ognisko, ale było już za późno – zebrani usłyszeli o kielbaskach i grzanym winie i chcieli właśnie kielbasek i grzanego wina. A, jak celnie zauważyła Ewa, przecież matka pana młodego nie chciała wywołać wrażeń, że na weselu jedyne gościom pożałowała.

Ledwie przebrzmiała przysięga małżeńska, a cała rodzina Kłobuckich nagle szczerze i radośnie powitała w swoim gronie rusałkę. Prym wiodła Bożena, która wyczuwała ją siarczyście w policzki i rozpływała się, jaka z niej jest zuch dziewczyna i zmyślna sztuka, i takiej to ze świecą szukać!

Tata Karoliny nie do końca rozumiał, czemu wszyscy Kłobuccy gratulują mu takiej córki! Tylko pozazdrościć!, ale zgadzał się z całego serca z ich oceną.

Ktoś wypuścił stryjeczną babcię Wiesławę z domku, dał jej do ręki kubek z grzańcem i posadził przy ognisku owiniętą w koc. Blanka, wciąż trochę otumaniona, ale już czysta i przebrana w suknię drużny, pojawiła się w połowie imprezy i natychmiast została jej gwiazdą i legendą – tak zaszaleć! Nawet Helena trochę się rozchmurzyła – zaczęła doceniać, że w ogóle nie musi się przejmować, że ubrudzi sobie kreację. Usiadła na pieńku przy ognisku i radośnie przypiekała swoją kielbaskę prawie na węgiel.

Sabina telefonicznie upewniła się, że zagrożenie zniknęło, i wróciła do Brzegu. Po godzinie przysłała esemesa, że zapomniała o zwłokach wuja, i czy ma się ich pozbyć, czy może w związku z nagłą naprawą stosunków rodzinnych lepiej z nimi wrócić.

Darek i jego drużbowie pracowicie wyśpiewywali, a raczej wyrykiwali nad taflą jeziora: Co to jest za dziewczyna? Co to jest za dziewczyna? MIÓD MALINA!!!

Wszystko było idealnie.

Ewa Ewent, nienaganna w swoim garniturze, z tabletem w dłoni i tym razem bez siekiery, kręciła się wokół gości. Upewniała się, że wszystko przebiega bezbłędnie, dyskretnie dawała wskazówki fotografowi i sygnalizowała didżejowi, że zagranie *Miód maliny* trzy razy z rzędu to już naprawdę dość i może by sprawdził, czy pan młody zna jeszcze inne teksty disco polo?

Jak się okazało, Darek nie radził sobie wokalnie z *Żoną moją*, ale braki w znajomości tekstu nadrabiał tańcem interpretacyjnym. Na szczęście wykonywał go solo i Karolina, zdecydowanie za trzeźwa na takie wygibasy, mogła ograniczyć się do posyłania mu buziaczków.

Ewa pojawiła się tuż obok i wsunęła jej do ręki torebkę strunową z Ikei.

– Na kaca, na ból głowy i na nieświeży oddech. Przyda się jutro.

Karolina z westchnieniem schowała pakunek do małej ślubnej torebeczki.

– Pewnie się przyda. Na ból głowy mnie na pewno... Co to był za dzień...

– Ślub – stwierdziła Ewent. – To zawsze jest wspaniałe, ale stresujące wydarzenie. Nawet bez... okoliczności towarzyszących.

– Taaaak – zgodziła się rusałka. – Czyli teraz, skoro wyszłam za syna głównej... Szefowej? Matrony? Żmii alfa? To wylądowałam w porządku dziobania na trzecim miejscu, zaraz za nią i za Zuzką?

– Tak mówiła Sabina. Mogła się mylić, ale to jej się raczej nie zdarza. Masz jej wizytówkę, zadzwoń za kilka dni. Jeśli jeszcze tego nie wie na sto procent, to na pewno to nadrobi. Binka lubi wiedzieć.

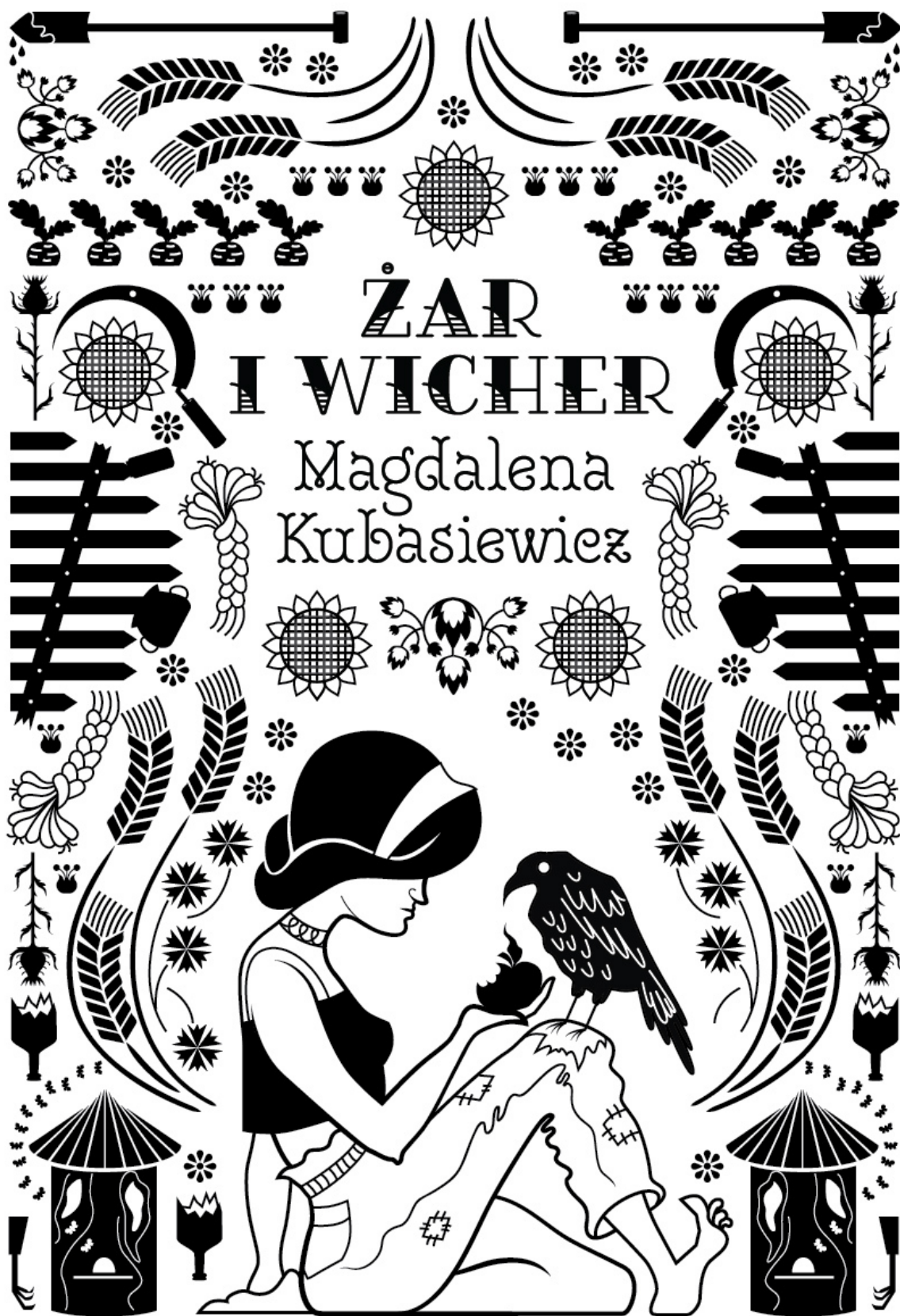
– Tak zrobię. Lepiej wiedzieć, na czym się stoi.

– Spokojnie, stoisz na bardzo pewnym fundamencie – powiedziała Ewa. Chyba po raz pierwszy uśmiechnęła się naprawdę szczerze. – Widziałas, jak im się odmieniło. I nie zapominaj, twoja teściowa przez cały czas była za tobą. Postarała się, żeby szanse były po twojej stronie.

Karolina upiła łyk wina. Było słodkie, ciepłe i budziło ją z zimowego snu, pokazując, jak cudownie jest mieć w żyłach gorącą krew.

– Jasne, ze ślubem w marcu najwyraźniej miała rację i dobre intencje, ale reszta? Kwiaty? Kolory? Menu? Reszta to wyłącznie jej chęć zrobienia wszystkiego po swojemu. – Skrzywiła się. – Ale wiesz co? Idzie wiosna. Śnieg i lód się topią i zostawiają wodę, pełno wody... A woda ze wszystkich Kłobuckich mnie kocha najbardziej.

Mrugnęła do Ewy, oddała jej pusty kubek i poszła tańczyć na swoim weselu.



Było ich dwoje: czarownica i latawiec, dziewczyna i czarny ptak. Związani z wiatrem, który gonił ich przez świat, jedno w wiecznej ucieczce, drugie w wiecznym poszukiwaniu.

Czarownica miała na imię Sara – choć było to tylko jedno z wielu imion, jakie nosiła, i używała go krótko, bo od dnia, gdy otrzymała je od latawca. Urodziła się przed czternastu laty, ale gdzieś w jej pamięci trwały wspomnienia innego życia i innego świata. Nie była dzieckiem i nie była dorosłą. Wędrowała tam, gdzie oczy poniosą, byle dalej od wszelkich więzów i ograniczeń, od miejsc, w których nie potrafiła się odnaleźć.

Latawiec zwał się Boreasz – bo tak nazwała go Sara. Zrodził się z ludzkich rodziców i umarł, nim zaczerpnął pierwszy oddech, a potem odrodził, nie człowiek i nie demon, lecz istota utkana z magii i wiatru: dwie dusze i dwie postacie, które nigdzie nie przynależały. Fruwał pod niebem i chodził po ziemi, szukając utraconej niegdyś rodziny.

Tak się złożyło, że gdy ich drogi się przecięły, postanowili iść dalej razem. Przemierzali lasy i łąki Polanii, odwiedzali miasta pełne elektrycznych świateł, szukali starej magii w górach i na wybrzeżach. Spędzili razem jesień, zimę i wiosnę, aż nadeszło lato, pogodne i upalne: bezwietrzne, pełne żaru.

*

– Kto z nas wymyślił, żeby iść na południe? – spytała Sara, kuląc się w cieniu drzewa.

Czarne włosy lepiły się do policzków, białych mimo miesięcy wędrówki i słonecznych dni. Czerwone wargi czarownicy były spękane, ubranie przesiąkło potem, a paski od plecaka, porzuconego teraz pośród krzewów wraz z butami, odcisnęły ślady na ramionach.

– Powinniśmy być nad morzem, a nie... tu – podjęła znowu, gdy nie padła odpowiedź.

Zdobyła się nawet na odrobinę wysiłku i uniosła rękę, machając nią ku polu, gdzie złote łany pszenicy ciągnęły się od lasu, na którego skraju odpoczywali, hen daleko, z jednej strony ku ledwo widocznym zabudowaniom wioski, z drugiej ku wzgórzom.

Gdy zaczęło się lato, ruszyli w drogę i nigdzie nie zatrzymywali się na dłużej. Niedawno zawędrowali na południowy wschód i zbliżali się już do granic Polanii. W pobliżu nie było dużych miast – parę miasteczek oraz mnóstwo wsi rozsianych pomiędzy polami. Warszawa, Kraków, Wrocław, to wszystko zdawało się teraz Sarze niemal innym światem. Mijając niektóre z wiosek i wędrując przez pola, wydawałoby się bezkresne, mogła prawie uwierzyć, że cofnęli się w czasie ze trzydzieści lat, że to nie końcówka lat dziewięćdziesiątych, tylko początek siedemdziesiątych.

– To ty nie chciałaś iść nad morze – przypomniał Boreasz.

Latawiec przysiadł na gałęzi: czarny ptak, z daleka mogący uchodzić za kruk, na takiego jednak zbyt duży, obdarzony zbyt ostrym dziobem i zbyt mądrym wejrzeniem.

– Racja – przyznała niechętnie.

Kochała morze, ale nad nim przyszła na świat, i kiedyś, dawno temu, zanim umarła i wróciła, i potem po raz drugi. Stamtąd odeszła, pewnej pogodnej nocy, niemal równy rok temu, magią zacierając ślady swego istnienia. Nie była gotowa tam wrócić. Nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie.

– Mazury. Mogłeś zaproponować: jedźmy na Mazury. Tam są jeziora. Woda. Chłód.

– Powiedziałaś, że byłaś już na Mazurach.

– Nie znoszę, kiedy jesteś taki... logiczny – mruknęła, obracając się ku niebu. Pomiedzy liśćmi spoglądała na fragmenty bezchmurnego nieba, tak jasnego, że zdawało się jej, iż nawet jego błękit wypala się w żarze, w bezlitosnych promieniach słońca.

Kręcili się po okolicy od trzech dni. Minęli dwie wioski, a potem spędzili dzień w lesie, odpoczywając nad stawem, gdy czarownica uznała, że nie zdoła iść dalej. Od trzech dni nie tylko nie zanosilo się na deszcz, lecz także nie zobaczyli choćby strzępka chmury i – mogłaby przysiąc – ani razu nie zawiął wiatr. Choć dopiero zbliżało się południe, temperatura na pewno już dawno przekroczyła trzydzieści stopni w cieniu. Sara nie pamiętała takich

upałów ani z tego, ani z poprzedniego lata. Po zaledwie godzinnym marszu od stawu do wsi była zgrzana i zmęczona, choć całą drogę szła pod drzewami i uważała się za dobrego piechura.

– A ja, gdyś tak marudna.

Burknęła coś pod nosem i przysłoniła oczy dłonią. Wiedziała, że zrzędzi i staje się coraz bardziej nieznośna, że miałby jej dość każdy poza tym czarnym ptakiem, zbyt samotnym, aby opuścić nawet najbardziej grymaśną towarzyszkę. Upał, wszechobecny pył, odciski, pragnienie oraz głód wykańczały ją bardziej niż zwykle i to był jeden z tych rzadkich momentów, gdy zaczynała mieć wszystkiego dość. Wiedziała jednak też, że to minie, gdy tylko odpocznie... lub gdy dostrzeże coś, co uzna za godne uwagi.

Problem polegał na tym, że w okolicy były jedynie pola i wsie, których mieszkańcy nie tylko nie zauważyli, że zbliża się dwudziesty pierwszy wiek, lecz także przegapili, że w ogóle zaczęły się lata dziewięćdziesiąte. Wątpiła, by coś tu mogło wzbudzić w niej ekscytację.

– Poszukasz jakiejś rzeki? – spytała w końcu z westchnieniem. Była pewna, że kąpiel i upranie ubrań sprawią, że poczuje się lepiej. Żałowała teraz okropnie, że rano ustąpiła poganiającemu ją Boreaszowi i nie wykąpała się w stawie.

– A ty?

– Ja tu zostanę i spróbuję nie roztopić się z gorąca. Nie mam w końcu nic innego do roboty.

– Nie jesteś z lodu, by się topić.

Kąćki ust Sary powędrowały w górę. Odsunęła dłoń, by spojrzeć na latawca.

– Naprawdę nie?

Wydał z siebie dźwięk przypominający krakanie, który już dawno nauczyła się odbierać jako śmiech. Jeżeli chciał coś powiedzieć, to nie było mu to dane. Wiatr poruszył liśćmi, zakołysał łanami pszenicy, zmierzwił włosy wiedźmy. Boreasz umilkł, a Sara usiadła powoli, spoglądając na pole. Wir powietrzny krążył w oddali, w pobliżu wzgórz. Latawiec poruszył skrzydłami, niespokojny. Czarownica uniosła dłoń, a powietrze zatańczyło wokół ręki, pieszczotliwie muskając palce.

Milczeli, póki wir nie znikł równie nagle, jak się pojawił. Pszenica znów zastygła, liście przestały szemrać.

Myliła się.

Coś tu mogło przyciągnąć jej uwagę.

– Może jednak znajdzie się tu coś do roboty dla czarownicy – powiedziała Sara, sięgając po buty.

Oboje byli powiązani z wiatrem. Latawce należały do wichrów, a każda czarownica miała swój żywioł – Sara pozostawała związana z powietrzem. Oboje czuli, jak podmuch wiatru niesie ze sobą obcą magię.

Złą magię.

– Chcesz zapolować?

– Być może. Jeśli będzie warto. Sprawdzisz...?

Nie musiała kończyć. Gdy ona zbierała rzeczy, Boreasz poderwał się do lotu.

*

Mężczyzna, niewiele starszy od niej, leżał niemal na skraju pola, ale skryty pośród pszenicy na tyle skutecznie, że gdyby Boreasz nie szukał z góry, Sara nie miałaby szans sama go dojrzeć. Spodziewała się, że będzie martwy: uduszony lub wykrwawiony od ran zadanych ostrym narzędziem. Ku jej zaskoczeniu żył jednak. Choć był nieprzytomny, a jego zaczerwieniona twarz płonęła od gorączki, nie miał żadnych obrażeń. Pojedyncze kłosa pszenicy leżały wokół, niedawno ścięte sierpem, tu i ówdzie lekko przypalone. Gdyby nie one i wir, Sara sądziłaby pewnie, że chłopak zemdlał od upału. Temperatura i jej dawała się we znaki, a choć dziewczyna chroniła głowę pod chustą, czuła, jak słońce przypieka policzki i ramiona, wysysając siły.

– Która godzina?

– Czy ja ci wyglądam na kościelny zegar? – oburzył się Boreasz, który przysiadł na jej plecaku, gdy przykucnęła przy mężczyźnie. – Chcesz mu pomóc?

Zawahała się. Nie uważała się za przesadnie litościwą, ale również nie za okrutną. Zazwyczaj po prostu pilnowała swoich spraw, nos wsadzając w cudze, kiedy się jej to opłacało lub coś ją zainteresowało. Chłopak był spory, na pewno ciężki, przetransportowanie go do wioski mogło okazać się kłopotliwe. Nie wiedziała też, jaki jest stosunek okolicznych mieszkańców do magii. Epoka polowań na czarownice przeminęła dawno temu, w miastach nauczano magii na uniwersytetach, a w miasteczkach zabijano się wręcz o absolwentów takich uczelni, gdy już któryś chciał osiąść „na

provincji”. Tu jednak, jeśli wparuje do wioski z ledwo żywym chłopem, równie dobrze mogli przywitać ją z radością i potencjalnymi zleceniami, jak z niechęcią albo z podejrzliwością – bo była w wieku, w którym magia zwykle dopiero się ujawniała i zaczynała kształtować, czemu zwykle towarzyszyły kłopoty. A Sara nie chciała zwracać na siebie nadmiernej uwagi.

Być może powinna go po prostu zostawić.

Z drugiej strony...

– Przydałby się prowiant i łóżko, tak dla odmiany – oceniła. – A może, jeśli miejscowi mają problem od jakiegoś czasu, trochę zarobimy.

Miała jeszcze nieco gotówki, tej uzyskanej za pozbycie się pewnego złośliwego ducha, i tej, którą po prostu podkrađa. Takie zapasy jednak szybko topniały podczas podróży, a nawet jeżeli nie trzeba ci wiele, to buty rozlecą się prędzej czy później oraz zdarzają się chwile, kiedy spanie pod gołym niebem staje się problematyczne, i takie, gdy nawiedza cię nieodparte pragnienie wzięcia prysznic zamiast kąpieli w niezbyt czystej rzece.

– Mam pomóc?

– Nie. Sprawdź tylko, proszę, gdzie są najbliżsi ludzie, ale się im nie pokazuj.

Delikatnie klepnęła mężczyznę w twarz, nie przebudził się jednak. Niewiele też pomogło otarcie mu czoła szmatką nasączoną wodą z butelki. Niestety, nie znała się na uzdrawianiu. Nie była też czarodziejką – to w ich repertuarze znajdowały się czary pozwalające przywrócić komuś przytomność. Podczas gdy czarodzieje dysponowali najszerszym arsenalem czarów, czarownice władały żywiołami i potrafiły niekiedy tkać dość specyficzne zaklęcia, ale żadne z tych, które mogłaby rzucić Sara, nie było przydatne w tej sytuacji. W końcu z westchnieniem wyszeptała parę słów do wiatru, a bezwładne ciało uniosło się i podryfowało wraz z nią przez pole. Zastanawiała się, co mężczyzna tu robił: nie pracował, bo nie dostrzegła nigdzie narzędzi, a otaczały ich tylko łąny nietknięte ludzką ręką. Zresztą nie było sensu zaczynać sianokosów w takim miejscu, najpierw przedzierając się od wioski przez dobry kilometr wysokich łąnów! Wracał ze wzgórz? Czegoś szukał? Pod wpływem słońca pomieszało mu się w głowie i poszedł w złą stronę?

– Tam, kawałek stąd. Wracają do pracy w polu – zameldował Boreasz po powrocie, zataczając wokół niej krąg.

Sara kiwnęła mu głową, a on wzleciał wyżej, by obserwować wszystko z bezpiecznej odległości.

Ludzie, nawet jeśli ufali czarownicom i czarodziejom, byli zwykle nieufni wobec latawców. I Sarze trudno było ich winić, bo choć były istotami raczej przyjaznymi lub neutralnymi, to utarło się uważać je za demony. Dysponowały zresztą czarem trudnym do odparcia i lubiły towarzystwo, więc w historiach o uwodzeniu dziewcząt i chłopców kryło się sporo prawdy.

Sara uwolniła magię i pozwoliła nieprzytomnemu opaść na ziemię, gdy zbliżyła się do miejsca, nad którym fruwał Boreasz. Niezbyt chętnie, bo przeciągnięcie go o własnych siłach nawet o parę metrów było problematyczne, ale gdyby wparowała między miejscowych, unosząc mężczyznę w powietrzu, łatwo przyszłoby im obwiniać ją o jego stan.

– Hej! – zawołała, wyciągając nieprzytomnego spomiędzy łąnów, nieznacznie tylko pomagając sobie przy tym magią.

Kawał pola najbliższej wioski był już obrobiony, a kilkadziesiąt metrów dalej pracowała grupa mężczyzn i kobiet. Gdzieś z oddali jej uszu doszły dźwięki odpalanego traktora albo innej maszyny.

– Pomocy! On zasłabł!

Twarze zwróciły się w jej stronę. Sara, zniecierpliwiona, zmęczona w tym upale nawet tak niewielkim wysiłkiem, wypuściła chłopaka i usiadła wprost na ziemi. Jedna z kobiet albo go rozpoznała, albo była trochę rozsądniejsza od reszty, bo podkasła spódnicę i rzuciła się biegiem w ich stronę.

– Na bogów, Edek! – krzyknęła, dopadając chłopaka, niecierpliwie dotykając jego twarzy i szyi, jakby chciała się upewnić, że żył.

– No, bogów to bym w to nie mieszała – mruknęła Sara niemrawo, ale została zignorowana.

Dwóch kolejnych mężczyzn podbiegło i próbowało cucić nieprzytomnego, bez powodzenia.

– Jak nic zmysły ma pomieszane – jęknęła dziewczyna, która przybiegła pierwsza.

– Jak dla mnie to po prostu zasłabł z gorąca i trzeba go zabrać do cienia – wtrąciła Sara prowokacyjnie. Wiedziała, że to nieprawda, była jednak ciekawa, czego świadomi są okoliczni mieszkańcy.

– Z gorąca! – prychnął jeden z mężczyzn, pierwszy raz na nią spoglądając. – Głupek, wyszedł w południe w pole, to go południca

dopadła! Ma szczęście, że żyje. Gdzie go znalazłaś?

Powstrzymała cisnący się na usta uśmiech. Takie wyjaśnienie pierwsze przychodziło na myśl jakieś dwieście lat temu, obecnie jednak większość ludzi zwałaby objawy na udar. To oznaczało, że w wiosce albo sami zauważyli oznaki bytności południcy, albo problem mieli od dawna i padło tu już parę ofiar. Wir powietrzny znikąd, nieprzytomny chłopak, pojedyncze kłosa, które padły w szczerym polu od ciosów sierpa, ślad wypalenia – to wszystko sprawiało, że i ona nie miała wątpliwości, z czym mają do czynienia.

Południca. Letni demon. Czy, jeśli trzymać się właściwej nomenklatury, półdemon, bo jakaś jej część była człowiekiem.

Sara spotkała już zmorę, nocnicę i wiele innych istot, zarówno półdemonicznych, jak i demonicznych, ale dotąd nie natknęła się na południcę i samo to wzbudzało w niej ciekawość.

– W polu. Nie wskażę dokładnie miejsca, bo tu dla mnie wszystko wygląda tak samo – skłamała znowu, nie chcąc dawać im powodu do zastanawiania się, jakim sposobem przeniosła go tak daleko. – Zresztą chyba lepiej tam nie iść, skoro grasuje tam południca?

– Och, dziecko, głupota to po polach samemu chodzić, jak żar się leje z nieba – mruknęła kobieta.

Przyglądała się jej długą chwilę. Sama była już zgrzana od upału i pracy, ale jej mina złagodniała, kiedy dostrzegła pył pokrywający Sarę, czerwone ślady przy paskach plecaka, pot zlepiający włosy.

– Trzeba Edka wziąć do domu. Chodź z nami, tam pogadamy.

*

Kobieta miała na imię Małgorzata, a Edek okazał się jej młodszym bratem. Dwóch mężczyzn pomogło zaciągnąć go do domu, gdzie matka – kobieta po pięćdziesiątce, której ręce lekko drżały, co prawdopodobnie znamionowało jakąś chorobę – wpadła w panikę, dowiedziawszy się, że południca omal nie wyduśliła życia z jej dziecka. Obie z Małgorzatą skakały wokół chłopaka dobre kilkadziesiąt minut. Sara w tym czasie czekała z nietypową dla siebie cierpliwością. Głównie dlatego, że gospodynie podstawily jej dzbanek z kompotem i misę z malinami, a ciemny, wyleniały kocur wskoczył jej na kolana, jak niemal wszystkie koty nieomylnie wyczuwając czarownicę. Drapała go pod brodą, przez okno spoglądając

przez okno na rosnące w ogrodzie jabłonie. Boreasz przysiadł na gałęzi jednej z nich i co jakiś czas machał skrzydłami, jakby chciał zademonstrować Sarze swoje niezadowolenie z jej zainteresowania innym stworzeniem.

Edek w końcu się obudził. Tylko na chwilę wprawdzie i mówił mało i nieskładnie, nim znowu zapadł w sen, ale to przebudzenie uspokoiło trochę Małgorzatę. Na tyle, że przypomniała sobie o gościu. Sara zdążyła zjeść maliny, wypić pół dzbanka kompotu i uznać, że ten w upale smakował na tyle dobrze, że warto było się fatygować do wsi choćby dla tego poczęstunku.

– Nie jesteś stąd, dziecko – powiedziała Małgorzata, siadając naprzeciwko niej.

Czarownica zżymała się trochę w duchu na to „dziecko”, bo gdyby podliczyć czas obu jej żyć, byłaby sporo starsza od tej kobiety, na oko mającej gdzieś góra ze dwadzieścia trzy lata. Nie dała tego po sobie jednak poznać. Ludzie wierzyli oczom, a wyglądała na nastolatkę i przecież nawet sama wciąż nie potrafiła powiedzieć, czy czuje się bardziej młodą dziewczyną, czy już starszą kobietą. Wspomnienia wracały powoli i początkowo były jedynie snami. Później umykały i wracały, mieszały się ze sobą, a wiele z nich było jak obrazy i dźwięki z filmu obejrzanego bardzo, bardzo dawno temu. Opuszczając dom, utkała zaś tak silne zaklęcie, że przy wymazywaniu pamięci nowej rodziny prawdopodobnie zatarła i część własnych wspomnień z tego drugiego życia.

Tak naprawdę nie miała ani piętnastu, ani dwudziestu trzech, ani trzydziestu ośmiu lat.

Czasem zdawało się jej prawie, że nigdy nie było Schnee z Avenburga, która lata temu umarła na stosie, i Weroniki z Lelkowa, o której pamiętała wyłącznie ona: że zawsze była tylko Sara, wędrująca z latawcem u boku. Że wszystko, co stało się wcześniej, przyśniło się jej pewnej bardzo długiej i bardzo męczącej nocy.

– Ano nie.

– To skąd?

– Przyjechałam z Wrocławia – oświadczyła czarownica. Po prawdzie była nawet we Wrocławiu, chociaż ładnych parę miesięcy temu, przez jakieś dwa tygodnie. Wybór takich półkłamstw ułatwiał później kolejne łgarstwa w razie, gdyby padły niewygodne pytania. – Na wakacje.

– Tutaj? Do kogo?

– Nie, nie tu. Do miasteczka w pobliżu. A że babkę nic nie obchodzi, co robię, bylebym nie przeszkadzała w obejściu, to sobie urządziłam długą pieszą wędrówkę.

– Jak masz na imię?

– Sara.

– Dziękuję, że pomogłaś mojemu bratu. Ale, Saro, nie powinnaś wędrować po okolicy. Nie latem, nie po polach, nie koło południa...

– ...bo grasuje tu południca?

Małgorzata spochmurniała i pokiwała głową.

– Możesz nie wierzyć. Miastowi zwykle nie wierzą w takie rzeczy. Ale i tak proszę, żebyś jutro z rana, jeszcze przed świtem, wracała do siebie. Trzymaj się głównych dróg i nie wchodź w pola, dobrze?

– Czemu miałabym nie wierzyć? – Sara wzruszyła ramionami, a kot przeciągnął się na jej kolanach. – W miastach nawet więcej magii niż tutaj. Są sklepy z latającymi miotłami i amuletami, na ulicach magiczne latarnie, studenci lubią się popisywać, pod Wawelem podobno mieszka najprawdziwszy smok, na plaży w Gdańsku widuje się syreny...

– Ale demonów nie ma – westchnęła Małgorzata.

Myliła się i miała rację jednocześnie, bo Sara wiedziała, że demony, owszem, czasem się zdarzały, często silniejsze i bardziej przebiegłe niż te, które kryły się po lasach, wsiach i rozdrożach, ale faktycznie, zdecydowanie nie bywały to południce. Te zresztą dość rzadko pojawiały się nawet we wsiach, bo do ich powstania wymagane były specjalne okoliczności. Podejrzewała, że niegdyś było o nie dużo łatwiej, ale obecnie wiejskie dziewczęta rzadziej ginęły okrutną, gwałtowną śmiercią niż jeszcze kilkadziesiąt lat temu. Po części to wyjątkowość tego przypadku tak ją zainteresowała.

– To ci powie jeden z drugim, że bzdura. Że zabobon... – podjęła Małgorzata.

– Kto wam tak powiedział?

– Burmistrz miasteczka, pewnie tego, gdzie pojechałaś, jak sprawę zgłaszaliśmy i chcieliśmy, żeby czarodzieja tu ściągnąć.

– Lepsza byłaby czarownica – podsunęła Sara.

Brwi Małgorzaty powędrowały w górę.

– Przecież czarodzieje silniejsi.

– A to już zależy od czarodzieja – stwierdziła dziewczyna, uśmiechając się półgębkiem, bo choć w poprzednim życiu może raz spotkała czarodzieja

silniejszego od niej, to w tym nie napotkała dotąd godnej konkurencji. – Ale to nie sprawa siły. Czarownice lepiej radzą sobie z demonami. I są powiązane z żywiołami, a południce należą do żaru i wichru.

Małgorzata poruszyła się niespokojnie, zerknęła na Sarę z nagłą podejrzliwością.

– Czarownica, czarodziej, nikt nie przyjedzie. Burmistrz ich nie ściągnie, wójt nie ma dość znajomości, żeby to załatwić, a nas tu nie stać, żeby kogoś z miasta sprowadzić.

– Może ja mogłabym pomóc.

Nie chciała ściągać na siebie uwagi, ale to było zlecenie dla niej wręcz wymarzone. Do najbliższego dużego miasta prawie dwie godziny podróży autem, wieś niezbyt duża, burmistrz albo głupi, albo niechętny czarodziejom. Mogła zrobić swoje, pobrać opłatę i zniknąć, nie zostawiając po sobie śladów. Miała też wrażenie, że namówienie miejscowych do zatrudnienia jej będzie łatwiejsze niż gdziekolwiek indziej. System Jednostek Bezpieczeństwa Magicznego w tej części Polanii dopiero raczkował; jeśli miejscowi nie znali czarownic lub nie współpracowali z okolicznymi notablami, nie mieli za wielu szans na ściągnięcie pomocy.

– Ty?! Ile ty masz lat?

– Szesnaście – skłamała Sara po raz kolejny, bo nieważne, jak liczyć, nie była to prawda. Ale „szesnaście” ludzie przyjmowali jakoś lepiej niż „czternaście”. Najchętniej mówiłaby „osiemnaście”, niestety, nie wyglądała ani na tyle, ani nawet na to nieszczęsne szesnaście. Za drobna, za blada, o twarzy, która pewnie jeszcze przez jakiś czas miała sugerować młodszy wiek i delikatność, choć czarownica nie miała jej w sobie choćby za grosz. – Od niedawna uczę się u jednej czarownicy. Tak się składa, że wiem trochę o południcach.

Małgorzata poruszyła ustami, nie wydobyło się z nich jednak ani jedno słowo. Odsunęła się od stołu, jakby niepewna, jak zareagować. Było w jej spojrzeniu sporo zdziwienia, trochę niedowierzania i trochę strachu – może dotąd nie widziała żadnej czarownicy i znała je tylko z opowieści: z bajek o złych wiedźmach i historii o potężnych magiczkach z dalekich miast. Ale ani baśnie, ani zdjęcia z gazet, jeżeli tu docierały, nie przygotowywały na widok nastolatki o nierówno ściętych włosach, w butach pokrytych pyłem i w przeupoconych ubraniach.

– Nawet jak tak, to jesteś za młoda! – oświadczyła Małgorzata, gdy już przetrawiła wieść o tym, że zaprosiła pod swój dach czarownicę. – Ona już

kilka osób zabiła, jak posyłać do niej taką dziewczynkę? Teraz się pilnujemy, przed południem wszyscy schodzą z pola, wracają po godzinie i zawsze w pole chodzimy w grupie, umawiamy się, u kogo pracujemy danego dnia. Tego lata... prawie spokój był, nikt nie zginął, a jak jesień przyjdzie, to ona znowu zniknie.

Pilnowali się, jasne. Sara ośmielała się w to powątpiewać, skoro Edek znalazł się w polu w południe. A nawet jeśli, prędzej czy później ktoś zapomni o niebezpieczeństwie, zgubi go nieostrożność albo wiara w to, że jego przecież nie może spotkać nic złego. Jesień, zima i wiosna to dość długo, aby zapomnieć o ofiarach ostatniego lata.

– Na jesieni zniknie, ale wróci, ledwo znowu zacznie się lato. Wiesz, że południce osobliwie lubią dzieci? Czy może raczej „nie lubią”. Czasem je porywają, żeby poznać się, zanim je zabiją. Może chodzi o to, że łatwiej je przenieść z dala od wioski niż dorosłego? Zawsze ich wszystkich upilnujecie? I twój brat jakoś w pole zawędrował. Gdybym go nie znalazła...

Kobieta zacisnęła szczękę, a Sara z trudem powstrzymała cisnący się na usta uśmiech. Gdy jej rozmówczyni zastanawiała się, co odpowiedzieć, czarownica podsunęła jej szklanekę, do niedawna pełną kompotu. Małgorzata opuściła na naczynie wzrok, po czym szerzej otworzyła oczy.

Szkoło pokryło się szronem, a pięć plamek lodu znaczyło miejsca, gdzie niedawno spoczywały palce Sary.

– Jestem młoda, ale nie słaba, a południce nie lubią zimna – stwierdziła z powagą. – Nie biorę tyle, co czarownice z miasta, a płatność odbieram, kiedy załatwię sprawę.

Małgorzata spojrzała na Sarę, potem znów na szklanekę.

– Muszę porozmawiać z matką... i z wójtem – powiedziała cicho, jakby niepewnie.

Sara pomyślała, że pewnie tamta nie ma pojęcia, czego się po niej spodziewać. Czasem prawie zapomniała, że nie wszyscy ludzie znali się na magii. Choć spore magiczne umiejętności różnego rodzaju miało ładnych pięć czy sześć procent mieszkańców Polanii, to niemal każdy, kto dysponował większym talentem, szukał okazji do lepszego życia w większych miastach. Zwłaszcza że aby zapanować nad magią czarodziejów czy czarowników, zwykle potrzeba było lat nauki.

– Poczekam – zgodziła się czarownica bez oporów. – Mnie się nigdzie nie spieszy. Południcy też nie. Na moje oko, będzie spacerować po tych

polach jak nic jeszcze przez miesiąc. Do końca lata daleko, a ona już zadba, żeby nie było tu za wiele wiatru i deszczu.

*

– Sądzisz, że dasz sobie z nią radę? – spytał Boreasz później, gdy zapadła już ciemność, skwar zelżał, a Sara wyszła do ogrodu i przysiadła na starej, zmurszałej ławce pod drzewem. Latawiec sfrunął z jabłoni i przysiadł jej na kolanie.

– Pewnie, że tak. To nawet nie... taki prawdziwy demon – mruknęła, unosząc głowę, by spojrzeć na gałęzie, i jeszcze wyżej, na ciemne niebo usiane gwiazdami. Tu były dużo lepiej widoczne niż w miastach. Na jedynej ulicy biegnącej przez wioskę nie zamontowano latarni i tylko w nielicznych oknach wciąż paliły się światła. Zastanawiała się, czy ludzie kładli się wcześniej, bo rano czekała ich praca, czy może jeszcze nie do wszystkich domów w okolicy dociągnięto prąd.

– Jak to? Najprawdziwszy!

– Kiedyś była człowiekiem – wymamrotała Sara. – To tych utkanych z pragnień, strachów i życzeń trzeba się obawiać.

Demony, czczone jako bogowie lub przeklinane jako diabły. Istoty z mroku, karmiące się wiarą i strachem. Potwory zawierające pakt, odbierające nie tylko życia, ale też dusze... południca przy nich nie wydawała się ani trochę straszna.

– Ją utkano z własnych zawiedzionych nadziei, lęku i nienawiści. Nie lekceważ jej, księżniczko, tylko dlatego, że zrodziła się z ludzkiej duszy – napomniał ją ptak.

Roześmiała się i pogłaskała go po czarnych piórach. Nie po raz pierwszy ganił czarownicę za nadmierną pewność siebie. Gdyby nie miała w sobie odrobiny pychy, joty pogardy wobec słabszych od siebie i sporo skłonności do lekceważenia niebezpieczeństwa, może nawet zdołałaby dostrzec, że się nie mylił.

– Lekceważę ją, bo zrodziła się też z ognia, który łatwo ugasić lodem, i z wichru, który posłucha mojej prośby. Ale to nie znaczy, że nie spodziewam się kłopotów.

– Co zrobisz, jak odmówią?

Zawahała się nad odpowiedzią. Chciałaby powiedzieć: odejdę, ale nie była pewna. Nie ze względu na mieszkańców, którzy – jeśli nie byłiby

gotowi wysupłać paru groszy za narażanie dla nich głowy – sami byliby sobie winni.

Chodziło o polowanie. Ono sprawiało, że czuła się żywa. Trochę też o ciekawość, bo nigdy dotąd nie napotkała południcy. W starym świecie pełnym magii żyła w kraju, w którym spotykało się inne istoty, a w Polanii, jeśli nawet takie półdemonice się pojawiły, zwykle usuwano je szybko i skutecznie.

Ptaka pierwszy usłyszał, że ktoś się zbliża. Sekundę po tym, jak poderwał się do lotu, zaskrzypiała furka. Małgorzata dostrzegła Sarę i przeszła przez podwórko, kierując się w jej stronę. Nie usiadła obok. Trzymała dystans i od chwili, w której czarownica zamroziła szklanę, co rusz podejrzliwie na nią zerknęła.

– Rozmawiałam z wójtem.

– I?

– Jak pozbędziesz się południcy, to się zgadzamy. Na nocleg i prowiant, i pieniądze. Ale jak dowód będzie, że padła!

Sara kiwnęła głową. Niczego innego się nie spodziewała. Była gotowa pracować za jedną dziesiątą stawki przeciętnej czarownicy, która zajmowała się takimi sprawami, a wypadek Edka musiał przypomnieć ludziom o zagrożeniu. Temu, że nie wierzyli jej na słowo, też się nie dziwiła. Nie wzbudzała zaufania.

– Będę potrzebowała informacji. Jeśli po prostu pójdę z nią walczyć, pozbyć się jej pozbędę, ale przyszłego lata może wrócić. A ja nie lubię partaczyć roboty.

– Jak ją zabijesz? – zdumiała się Małgorzata.

– Już raz ją zabili, a wróciła – uświadomiła ją Sara brutalnie. – Ona już jest martwa, a takich ciężko pozbyć się na stałe. Jeżeli jej złość i gorycz są dostatecznie silne, a tu trzyma ją ktoś lub coś, to tak, wróci.

Kobieta stała, niepewna. Wyłamywała sobie palce, jakby albo nie wiedziała, co powiedzieć, albo chciała o coś spytać i nie miała dość odwagi. Czarownica czekała cierpliwie, aż pytanie wreszcie padło.

– To prawda, co mówią? Że... południce... powstają, jak dziewczyna przed ślubem zemrze?

– Po części.

– Co to znaczy?

– Dziewczyna musi być młoda. Młode osoby mocniej trzymają się życia. Musi kogoś kochać. Musi umrzeć gwałtownie i w okrutny sposób. I przede

wszystkim musi nienawidzić zabójcy dostatecznie mocno, by chcieć poświęcić duszę. W zamian za powrót i szansę na zemstę.

Małgorzata wzdrygnęła się i cofnęła, jakby Sara ją uderzyła. Czarownica wstała, zmniejszając odległość między nimi.

– Wbrew wierzeniom demony nie powstają tylko dlatego, że panna nie zakosztowała szczęścia małżeńskiego – powiedziała Sara niemalże łagodnie. – Kto z okolicy pasuje do tego opisu, Małgorzato?

– Po co ci to wiedzieć?

– Bo, jak wspomniałam, jeśli użyję tylko brutalnej siły, południca może wrócić.

– Jej ciała już nie ma – westchnęła Małgorzata. Opadła na ławkę, zwolnioną przez Sarę, jakby nagle brakło jej sił. Pochyliła się do przodu, a twarz ukryła w dłoniach, i choć była starsza i mocniej zbudowana od czarownicy, można by pomyśleć, że to ona jest młodsza, bardziej delikatna.

W pewnym sensie tak było.

– Spaliliśmy je. Jak południca pojawiła się pierwszy raz – mruknęła kobieta. – Nikt nie wierzył, że to ona, bo ona muchy by nie skrzywdziła, ale na wszelki wypadek...

– Mądrze – pochwaliła Sara. – Ale, jak widać, to nie wystarczyło. Po prawdzie – rzadko wystarczy. Muszę się dowiedzieć o niej wszystkiego. Kim była, jak umarła, gdzie, i nade wszystko, co mogło spowodować przemianę.

– Joasia – powiedziała Małgorzata. Wciąż nie patrzyła na Sarę. – Zmarła rok temu, na początku lata. Ona... zabiła się sama. Przy wzgórzach, za polem.

– Miała brać ślub? – spytała czarownica wprost.

Wbrew niektórym opowieściom małżeństwo, planowane czy ledwo zawarte, nie było warunkiem zrodzenia się południcy. Przynajmniej tak twierdził Boreasz, a Sara była skłonna dać mu tu wiarę. Małgorzata pytała jednak o „dziewczyny, co przed ślubem zemrą”.

– Miała.

– Z kim? I komu to małżeństwo mogło być nie po myśli?

– Ze Stachem Paulińskim. I komu miałoby być nie po myśli?

Małgorzata wreszcie uniosła głowę, by spojrzeć na Sarę. Czarownica z trudem skryła zniecierpliwienie. Zastanawiało ją, czy kobieta jest tak głupia, że po prostu nie chce dopuścić do siebie pewnych myśli.

Czasem zapominała, że nie każdy był zaznajomiony z magią, a życie w małej wsi miało swoje prawa i ograniczenia.

Boreasz chyba wyczuł, że Sara zaraz powie coś, czego nie powinna, bo zakrakał głośno, jakby chciał ją upomnieć. Małgorzata drgnęła, szukając wzrokiem ptaka pomiędzy gałęziami. Sara w tym czasie pokazała mu język, pewna, że dostrzeże to mimo tego, że ciemność rozpraszały jedynie światło gwiazd i blask księżyca. Powściągnęła się jednak na tyle, by nie nazwać kobiety idiotką, a gdy się odezwała, w głosie prawie nie znać było irytacji. Latawiec miał rację, więcej osiągnie, udając miłą. A nawet jeżeli nie, to mogła zacząć od bycia sympatyczną, a do zastraszania i przymusu magicznego przejść później. W drugą stronę to już nie działało.

– Wiadomo, dlaczego się zabiła?

– Nie wiem – mruknęła Małgorzata. – Myślę...

To ci nowość, przeszło przez głowę Sary, ale powstrzymała się przed wypowiedzeniem tych słów na głos. Jeśli chciała dowiedzieć się więcej i dostać wynagrodzenie, nie mogła zrazić do siebie wszystkich we wsi.

– ...że może wcale za męża nie chciała iść i dlatego. Ale nic nikomu nie powiedziała. Myśmy się przyjaźniły jako dzieci, ale potem trochę mniej, a pod koniec... to wcale ze mną nie chciała rozmawiać. Unikała mnie.

– Dobrze, wracamy więc do poprzedniego pytania. Była z kimś skłócona? Stach mógł woleć inną dziewczynę? Albo inna dziewczyna mogła chcieć wyjść za Stacha?

Małgorzata znów spojrzała na Sarę i czarownica mogłaby przysiąc, że na jej twarzy maluje się pustka.

– Nie pojmuję.

– Dziewczyno – westchnęła, na moment zapominając, że Małgorzata jest, przynajmniej w teorii, starsza od niej o dobre siedem lat, i że ona sama powinna zachowywać się jak nastolatka. Z drugiej strony, skoro i tak już przyznała, że włada magią, i obiecała pozbyć się południcy, mogła przynajmniej częściowo odrzucić codzienną maskę. – Słuchałaś, jak opowiadałam o południcach? Żeby taka się zrodziła, śmierć musi być straszna i krwawa. Muszą towarzyszyć jej strach, nienawiść, pragnienie zemsty... i odrobina magii. Inaczej nie dojdzie do przemiany. Prawdopodobnie nie było żadnego samobójstwa, tylko ktoś ją na tym wzgórzu zabił. A nawet jeśli zabiłaby się sama, to nie dlatego, że źle jej było na świecie, tylko dlatego, że ktoś skrzywdził ją tak bardzo, że to przechodzi ludzkie pojęcie. I nie potrafiła z tym żyć.

Małgorzata milczała. Siedziała sztywno, w bezruchu. Dopiero po długiej chwili pokręciła głową.

– Bzdura – uparła się. – Nikt z naszych by jej nie skrzywdził! Może ty wcale się na tych południcach nie znasz? Skoro chcesz zapłaty... to pozbądź się tej maski i już.

Kobieta poderwała się i niemal wbiegła do domu. Sara z westchnieniem opadła na ławkę. Miała nocować dziś u nich i przeczuwała, że na zaoferowany jej tapczan, stojący w kuchni, powinna przyjść dopiero, kiedy Małgorzata zaśnie.

– Zraziłaś ją do siebie – poinformował Boreasz, lądując obok niej. – Nie jestem nawet człowiekiem, a radzę sobie z ludźmi lepiej niż ty.

Może tak było.

Może dlatego, że Boreasz tak naprawdę lubił ludzi, pragnął być jednym z nich i wciąż bolał w głębi ducha, że musi ich unikać. Mógł co najwyżej oczarować jakąś pannę lub chłopca na parę chwil, i to głównie wtedy, kiedy pragnęli wyrwać się na moment z okowów codzienności. Dla niej ludzie byli przypadkowymi przechodniami, osobami, które mijała i z którymi nie chciała mieć nic wspólnego.

– Głównie z kobietami – sprostowała, a na jej ustach zaigrał uśmiech, który szybko wygasł.

Przez mgnienie oka rozważała, czy nie posłać Boreasza do Małgorzaty, nie pozwolić, by wykorzystał na niej urok właściwy latawcom. Z powodu południcy jednak ludzie byli tu czujni, w pobliskim miasteczku pewnie pleban regularnie grzmiał z ambony na takich jak oni i dziewczyna mogłaby być na tyle ostrożna, że zdołałaby się oprzeć. A potem powiązać czarownicę z latawcem.

– Myślisz, że to mąż?

– Albo zazdrosna rywalka – przyznała Sara. – Chyba tak zwykle bywa z południcami?

– Jedną tylko spotkałem – powiedział Boreasz ostrożnie. – Byłem wtedy młody, ściągnęła mnie jej moc. Tak się zrodziła: zginęła z ręki mężczyzny, którego pragnęła poślubić.

– Drań.

– Różnie płaczą się ludzkie losy, Saro. Pragnęła go tak bardzo, że sama wcześniej odebrała życie kobiecie, którą kochał. Zostawiła ją martwą pośród krzewów.

– No proszę, prawie jak w Balladynie, tylko karę wymierzył ktoś inny – mruknęła, wydając z siebie westchnienie. Skoro tamta dziewczyna zabiła pierwsza, cena jej życia wydawała się Sarze całkiem uczciwa. – Zrozumiałam. Nie będę szukać prostych dróg, ale gdzieś muszę zacząć, a niedoszły mąż to dobry początek. Wiesz, co się z nią stało? Z tamtą południcą? Zatrudnili jakąś czarownicę, żeby się jej pozbyła?

– To było dawno – odparł wymijająco.

Pochyliła się ku niemu, spoglądając prosto w ciemne, paciorkowate oczy, niemal pewna, że Boreasz coś ukrywa. Nie wiedziała, ile miał lat, czy spotkał południcę przed pięciu czy pięćdziesięciu laty, ale pewna była jednego: on nie zapominał. Nie zapomniał nawet swej matki, a przecież widział ją przez sekundy, jako ludzkie dziecko, które zmarło, ledwo zaczerpnęło pierwszego oddechu.

– Nie chcesz o tym rozmawiać?

Nie chciała naciskać. Nie jego. Ale przyszło jej do głowy, że Boreasz nie chciał o tym mówić, bo ktoś rozprawił się z południcą, a jemu zrobiło się żal demonicy. Oboje byli kiedyś ludźmi, oboje byli powiązani z wichrem.

Jeśli było tak kiedyś, latawiec mógłby zdradzić ją i tym razem.

– Gdy dopadła paru miejscowych, wyprowadzili chłopaka w pole, w samo południe, by zabrała jego i zostawiła ich w spokoju.

– Ofiara? – syknęła.

– Nie – odparł, kręcąc łbem. – Na cóż składanie ofiar południcom? Kara i próba uratowania siebie.

– Podziałało? – spytała powoli, sama niepewna, co o tym myśleć.

Czy miałyby opory w podobnym przypadku? Musiała przyznać, że jeśli tak, to tylko dlatego, że chłopak miał mocne powody, by zabić. Nie złożyłyby nigdy ofiary prawdziwym demonom, ale doskonale rozumiała prawo do zemsty.

– Podpaliła pole. Zabiła jego i ich, nie zdołali umknąć. Ale i ona nie wyszła już z tego ognia. Dokonała pomsty i znikła.

– Cóż... – wymamrotała po chwili milczenia Sara, spoglądając ku domowi Małgorzaty i jej matki. – Miejmy nadzieję, że tym razem nie będę musiała mordować Stacha Paulińskiego, żeby pozbyć się południcy. Wyjaśnienie tego jego sąsiadom i późniejsze umykanie przed policją byłoby kłopotliwe.

Klara, matka Małgorzaty, okazała się bardziej rozmowna niż córka i mniej skora do unoszenia się na samą sugestię, że południca w istocie nie pojawiła się tu przypadkiem czy jako kara za złamanie boskich przykazań i popełnione samobójstwo. Myśl o tym, że omal nie straciła dziecka, czyniła ją więcej niż chętną do pomocy. Jej syn rankiem czuł się już lepiej, Małgorzata skoro świt ruszyła do pracy, Klara więc odpowiadała na wszystkie pytania: i te, które Sara zadawała, i te, których wcale zadawać nie chciała.

Dowiedziała się na przykład sporo o rychłym ślubie Małgorzaty, która miała wyjść za najprzystojniejszego chłopaka w okolicy – i że czas najwyższy, bo o wiele za długo już trwali w narzeczeństwie. Albo o tym, że właściwie Joanna zawsze prosiła się o nieszczęście, bo chłopakom w głowach zawracała. Czarownica uzyskała jednak także ważne informacje. O tym, że Joaśka była córką najuboższego gospodarza we wsi, że jej ojciec pił, że mieli co jeść tylko dzięki łasce sąsiadów i że miała mnóstwo szczęścia, bo Stach ją w ogóle zechciał. Pewnie przez to, że była z niej ładna panna, najładniejsza w okolicy. A także o tym, że Stach długo nie pozostał samotny, bo nawet rok żałoby nie minął, a poślubił Marylkę, młodszą siostrę Joanny.

Kiedy czarownica to usłyszała, pomyślała, że Boreasz mógł się mylić, gdy ostrzegał, że nie każda sprawa jest tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Wypytała jeszcze o poprzednie ofiary – okazało się, że w tym roku nikt nie zginął, tylko znaleźli ślady południcy, a jedna kobieta ją dostrzegła i zdołała uciec. Przed rokiem jednak zginęło dwóch mężczyzn pracujących w polu i dziewczyna, która szła do lasu. Podejrzewano też, że ofiarą południcy mogło paść jedno dziecko, ale nigdy nie znaleźli ciała, nie mieli więc pewności.

I że najczęściej pojawiała się przy wzgórzach. Tam nikt już nie chodził latem. Nikt oprócz Edka, najwyraźniej.

Latawiec fruwał teraz po wiosce i nad polem, wypatrując czegoś ciekawego i podsłuchując rozmowy mieszkańców. Wypadek Edka i zatrudnienie czarownicy na pewno były na ustach wszystkich i ktoś mógł powiedzieć coś, o czym nie wspomniała Klara. Sara po rozmowie z nią ruszyła do gospodarstwa Paulińskiego, ale nie zastała ani Stacha, ani jego żony. Korzystając z tego, że dzień dopiero się budził, i do najgorętszych, południowych godzin zostało sporo czasu, udała się więc w pole, i dalej, ku

wzgórzu: tam, gdzie wedle słów Małgorzaty Joanna popełniła samobójstwo.

Znaleziono ją ponoć u jego podnóża, pokrwawioną, trzymającą w rękę nóż, którym się przebiła. Już to, zdaniem Sary przynajmniej, powinno wzbudzić czujność miejscowych. To nie była prosta, czysta śmierć. Sama za bardzo kochała życie, by choćby myśleć o samobójstwie, odnosiła jednak niejasne wrażenie, że są na to lepsze sposoby niż pchnięcie się ostrzem – jak choćby rzucenie do rzeki, powieszenie czy podcięcie sobie żył.

Sara powędrowała więc przez pola. Zboża zakrywały ją niemal całą. Dochodziła dopiero dziewiąta, ale z nieba już zaczynał lać się żar i Sara zastanawiała się, czy, po pierwsze, może być to związane z demonią, a po drugie – jak bardzo musi się spieszyć. Wbrew pozorom południce nie pojawiały się tylko w samo południe, musiała więc skończyć, nim zapanuje prawdziwy gorąc, w przeciwnym razie istota mogła zastać ją nieprzygotowaną do walki.

Czarownica nie liczyła specjalnie, że znajdzie jakieś ślady. Gwałtowna śmierć pozostawiała po sobie odcisk, ale minął już rok, a dziewczyna, wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi, umarła bez udziału magii. Mimo to chciała się upewnić.

Pogratulowała sobie tego, gdy dotarła na miejsce. Ledwo weszła na wzgórze, pod drzewo – dąb o rozłożystych gałęziach, stary i powoli obumierający – wyczuła słabe magiczne echa. Kiedyś używano tu dość magii, aby zostawiła po sobie pamiątkę wyczuwalną nawet po wielu latach, i to mogło być jednym z powodów przemiany Joanny.

Sara wydobyla z plecaka sól i usypała krąg na pożółkłej trawie. Była to ochrona niewielka, ale czarownica uznała, że lepsza niż żadna. Bywała może nadmiernie brawurowa w swojej pewności siebie, zachowała jednak dość rozsądku, by nie chcieć zostać nagle zaskoczona przez południcę. Usiadła w końcu po turecku w cieniu drzewa. Uspokoiła oddech, skupiając się tylko na tym, co mogła wyczuć szóstym zmysłem. Wejście w trans przyszło jej z trudem: miała problem z odcięciem się od bodźców. Upał, ból nóg, pęcherze, myśli na temat Joanny i powodów jej śmierci, to wszystko utrudniało sprawę. Wzbudzało to dodatkowo irytację, również przeszkadzającą w skupieniu.

Bo przecież to powinno przychodzić łatwo.

Kiedyś przychodziło.

Może na pewne rzeczy wciąż było za wcześnie.

W końcu – nie była pewna, ile czasu minęło, ale mogłaby przysiąc, że całe wieki – zapomniała o żarze lejącym się z nieba, o źdźbłach trawy laskoczących ją w okolicy kostki, o kroplach potu na karku. Ciało stawało się cięższe, aż w końcu oddzieliła się i od niego: i były tylko umysł, magia i echa pozostałe po tym, co wydarzyło się tu wcześniej.

Kiedyś – dawno temu – była tu nie tyle magia, ile moce, obce i stare. Odeszły zbyt dawno, aby Sara mogła powiedzieć o nich coś więcej niż to, że tu były: że żyły pod wzgórzem lub na nim je czczono, wznoszono modlitwy, składano ofiary. Przelewano tu krew i to pozostawiło po sobie piętno.

Nie tego jednak szukała czarownica.

Próbowała chwycić cienie emocji związanych z tym miejscem. Nie było żadnej magii poza tą sprzed lat, może wieków, ale docierały do niej słabe echa uczuć. Niezbyt wiele: miejscowi musieli przychodzić tu rzadko i nieczęsto działy się tu wydarzenia, które naprawdę ich poruszały. Było trochę pożądania, trochę gniewu, troszkę szczęścia, pozostałości po pojedynczych schadzkach kochanków.

Szukała dalej. Głębiej.

Pochwyliła wreszcie blade wspomnienie, wypełnione wściekłością, rozczarowaniem, bólem i przerażeniem. Próbowała chwycić je mocniej, ucześcić się osoby, od której pochodziło. Przez ułamki sekund czuła to, co ona: strach, ból promieniujący z brzucha, tak straszny, że zdawał się nie do zniesienia. A potem nienawiść, gorącą niby płomień, i pragnienie zemsty.

Sara zerwała kontakt tak gwałtownie, że pochyliła się i zwymiotowała, wprost na sól. Kręciło się jej w głowie, ciało stało się bezwładne. Nagle uderzyła w nią świadomość upału. Cień drzewa się przesunął i teraz siedziała w pełnym słońcu.

Ta magia miała wiele ograniczeń i Sara nie zdołała zobaczyć całego wspomnienia. Nie patrzyła oczyma dziewczyny, mogła tylko czuć to, co ona: i to już było dość. Może nawet za wiele. Wiedziała, że przepełniały ją przerażenie, nienawiść i wściekłość, i że nie były to emocje kogoś, kto dobrowolnie odbierał sobie życie. Że był tam ktoś jeszcze – też zły i trochę przestraszony.

I Sara przez moment wcale nie była pewna, czy powinna pozbywać się południcy. Doskonale rozumiała tę potrzebę zemsty, sięgającą aż poza śmierć.

Powoli się wyprostowała, walcząc ze słabością w kończynach. Wypełzła z kręgu, ku cieniowi i porzuconemu pod pnem plecakowi. Ochłodziła butelkę, wypila kilka łyków, a potem wylała trochę wody na chustę, by ostudzić rozpalone czoło. Dłoń się jej trzęsła, dziwnie niezgrabna. Omal nie skończyła jak Edek, i to bez spotkania z południcą. Otworzenie się na magię i przeszłość kosztowało ją wiele sił i więcej czasu, niż początkowo zakładała. Gdy zadarła głowę i przyjrzała się położeniu słońca, odkryła, że wszystko zajęło około dwóch godzin.

Lekki powiew wiatru sprawił, że drgnęła niespokojnie. Nie zbliżała się jednak południca, lecz Boreasz, który wylądował na jej plecaku.

– Całaś, czarownico?

– Prawie – odparła, upijając kolejny łyk wody. Przegoniła ptaka, by wydobyć z torby stary, szary podkoszulek. – Co ty na to, żebyśmy wybrali się na Sybir? Miły, zimny Sybir. Albo do Norwegii.

Jej głos brzmiał trochę niewyraźnie i musiała robić przerwy między zdaniami, jakby zapomniała, jak się mówi.

– Za wiatrem północnym? – spytał Boreasz i w jego głosie zabrzmiała tęsknota. Zaraz jednak pokręcił łbem. – Tam nie znajdę rodziny, a ty swego spokoju.

– Nie szukam spokoju. Nie znoszę spokoju. Spokój jest... nudny – poinformowała, ściągając przez głowę koszulkę, wilgotną od potu.

Wciąż było jej słabo na samą myśl o drodze powrotnej do wioski, ale nie mogła siedzieć tu w upale. Jasną chustę, nadal mokrą, zawiązała sobie na głowie, zła na siebie, że nie zrobiła tego wcześniej. Nie sądziła, że spędzi w kręgu aż tyle czasu.

Zamarła w pół ruchu, spoglądając na pole.

– Saro?

– Tam.

Wskazała palcem na pszenicę. Z wysokości wzgórza oboje mogli dostrzec samotną postać poruszającą się pomiędzy złocistymi łanami. Srebrzysty sierp, unoszony raz po raz, odbijał promienie słońca. Dzieliło ich od niej dobre kilkadziesiąt metrów i z tej odległości Sara widziała tylko zarys sylwetki i długie włosy, rozwiewane przez wiatr. Jego podmuch dotarł aż do nich, ale nie niósł ukojenia, tylko jeszcze więcej gorąca.

– Chcesz z nią walczyć?

– Nie teraz – odparła po chwili wahania, oblizując spierzchnięte wargi.

Źle się czuła, unikając walki, bo nie lubiła przyznawać, że nie da sobie z czymś rady. Ale obawiała się nawet podnieść. Głowa wciąż ją bolała, słabo widziała na jedno oko, nogi miała odrętwiałe. Przynajmniej tyle dobrego, że dawała radę mówić i rozumiała, co mówił Boreasz. Pół godziny dłużej w transie i pewnie nie zdołałaby już wydobyć z siebie głosu. Pocięszyła się, że wcale nie ucieka, tylko sama wybiera miejsce i czas starcia.

– Obawiam się, że jestem... tak jakby na granicy udaru słonecznego. Południcy w to graj.

– Zabrać cię do wioski?

Znów się wahała, niechętna do przyjęcia pomocy, nawet od kogoś, kto od miesięcy był jej towarzyszem podróży. W końcu jednak westchnęła i przyciągnęła do siebie plecak. Musiała przyznać sama przed sobą, że nie miała ani siły, ani chęci na długi spacer czy użycie magii do lotu.

– Tylko kawałek. Tak w pół drogi. I bardzo proszę, niski lot, z dala od ludzi. Miejscowi na pewno nie zrozumieją.

Kształt ptaka rozmył się, a chwilę później ku Sarze sięgnęły ludzkie ramiona latawca.

*

Cała przygoda miała tę dobrą stronę, że gdy Sara dotarła z powrotem do domu Klary i Małgorzaty, chwając się na nogach, obie kobiety zrzuciły objawy na karb spotkania z południcą. Od razu dały wiarę, że czarownica nie tylko szuka rozwiązania problemu, lecz także z grubsza wie, co robi, skoro przeżyła i wróciła do wioski względnie cała i zdrowa. Sara potykała się, była rozpalona, a brak oparzeń słonecznych zawdzięczała tylko temu, że jej skóra nie opalała się nigdy, zawsze biała jak śnieg. Nie wyprowadziła ich z błędu. Wspomniała wymijająco, że natknęła się na południcę, że nie, ta dziś nikogo nie dopadła, i że dowiedziała się paru rzeczy. A potem spędziła kolejne dwie godziny, kryjąc się w domu. W środku też było gorąco, ale cień i okłady zanurzone w zimnej wodzie sprawiły, że przed wieczorem czuła się już dobrze.

Gdy słońce powoli się zniżało, malując niebo czerwienią i złotem, Sara ponownie udała się do gospodarstwa Paulińskiego. W głębi ducha była niemal pewna, że winny jest Stach albo jego niedawno poślubiona żona, chociaż wzięła sobie do serca słowa latawca i starała się nie odrzucać

innych możliwości. Największym problemem było wydobycie z nich informacji. W starych dobrych czasach – choć wtedy dziewczynie, którą była, nie przyszłyby do głowy takie metody – mogłaby wyciągnąć je siłą. Teraz mogła jedynie liczyć na to, że nieostrożnie powiedzą zbyt wiele.

– Marylka Paulińska? – spytała, przechylając się przez płot, gdy dostrzegła w obejściu kobietę zaganiającą kury do kurnika.

Ta niemal dosłownie podskoczyła i obróciła się, prawie się przy tym przewracając.

Nie kobieta jednak. Dziewczyna, niewiele od Sary starsza: nie mogła mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Jej wzrostu, anemicznie wręcz chuda, jakby nie dojadła – może i tak było, chociaż ponoć Stach był najbogatszym gospodarzem we wsi. Chudość była tym dziwniejsza, że brzuch dziewczyny był lekko zaokrąglony, jak nic początek ciąży. Na twarzy panny znaczyły się ślady albo po nieleczonym trądziku, albo paskudnym przypadku ospy.

Sarze przeszło przez głowę, że jeśli Pauliński zabił dla tej dziewczyny jej siostrę, „najładniejszą pannę we wsi”, to albo był szaleńczo zakochany, albo stojąca przed nią osoba charakteryzowała się niezwykłymi przymiotami ducha. Nie miała pieniędzy, nie miała urody, nie wyglądała na szczególnie robotną – raczej chorowitą.

Za to ta brzydsza młodsza siostra, której mniej się poszczęściło, próbująca mścić się na drugiej, była już klasyką. Od czasów pierwowzoru Kopciuszka, a może jeszcze wcześniej.

– T... tak – wymamrotała, spłoszona niby myszka na widok kota. Spuściła głowę i wbiła wzrok w chodaki.

Ktoś musiał ją uprzedzić, że wkrótce pojawi się czarownica. Szkoda: skoro miała czas się przygotować, łatwiej skryje strach lub wyrzuty sumienia.

– Możemy porozmawiać?

– Ja... nic nie wiem.

– Tak zupełnie nic? – zdumiała się Sara obłudnie. Może nie była to najlepsza droga, ale zdecydowała, że spróbuje bezpośredniego podejścia i sprawdzi, jak ta zareaguje. – Byłyście siostrami. Nie podejrzewasz, kto mógł ją zabić?

– Z... zabić? – zająknęła się Marylka, podrywając głowę i posyłając Sarze spłoszone spojrzenie. – Ona sama się...

– A skąd. Ktoś ją zabił. Ktoś bardzo jej bliski. Dziś sprawdzałam – wyjaśniła czarownica, obserwując dziewczynę niby drapieżnik czający się na ofiarę. – Dlatego zamieniła się w południcę.

Marylka zadrżała, choć – mimo późnej pory – wciąż było ciepło. Splotła ręce, nerwowym gestem wyłamując sobie palce. Zamrugła, a gdy powoli, jakby z wahaniem, postąpiła ku płotowi, czarownica dostrzegła w jej oczach łzy.

– To naprawdę Joasia? Ten potwór?

W głosie dziewczyny pobrzmiwała taka rozpacz, że nawet z natury niewrażliwa Sara poczuła się nieswojo. Była taka pewna, że to Marylka, a teraz dopadły ją wątpliwości. Z drugiej strony, nawet jeżeli zabiła siostrę, mogła przecież odczuwać wyrzuty sumienia, prawda?

– Jej... część – odparła z wahaniem, bo prawda była taka, że sama nie wiedziała. Nie na pewno. Południca zrodziła się wraz ze śmiercią Joanny, powołana do życia przez jej emocje, wspomnienia i echa pradawnej magii. Ale czy była nią? – Sama z siebie na pewno stąd nie odejdzie.

– Joasia nigdy by nikogo nie skrzywdziła.

Mogłabyś się zdziwić, pomyślała Sara, przypominając sobie nienawiść i pragnienie zemsty, jakie wyczuła na wzgórzu.

– To już nie jest osoba, którą znałaś. Ogień wypalił w niej miłość i radość, wichur pozbawił dobrych wspomnień. Zostały tylko złe.

– Czy ona... – zaczęła Marylka i urwała, znów spuszczać głowę.

– Czy ona?

– ...cierpi?

– Tak – stwierdziła Sara, tym razem z brutalną szczerością.

Marylka wzdrygnęła się.

– Powiesz mi, kto mógł chcieć ją skrzywdzić?

Była niemal pewna, że dziewczyna chciała coś powiedzieć. Zerknęła na nią znowu, najpierw niepewnie, ale potem na jej twarzy pojawiło się coś, co mogło być tylko determinacją. Nim jednak choćby rozchyliła usta, otworzyły się drzwi domu.

– Maryla! – zawołał mężczyzna, który stanął na progu. – Do domu! A ty tu czego szukasz?

Był niemłody, na pewno po sześćdziesiątce, a może nawet starszy, i Sara w pierwszej chwili założyła, że to ojciec lub teść dziewczyny.

Marylka odskoczyła od płotu niby spłoszony królik. Posłusznie czmychnęła do budynku. Była, a zaraz potem jej nie było, niemal jakby się

teleportowała.

– Mam pozbyć się południcy i chciałam...

– Moja żona i ja nie mamy z nią nic wspólnego! – warknął mężczyzna, cofnął się i zatrzasnął drzwi.

Czarownica wpatrywała się w nie, trochę oszołomiona. Na płocie tuż obok niej przysiadł tymczasem czarny ptak.

Boreasz nie odzywał się, pewnie świadom, że z okien innych domów mogą obserwować ich czujne oczy, spojrzął jednak na Sarę i przekrzywił łeb.

Mogłaby przysiąc, że ten gest oznaczał mniej więcej „a nie mówiłem?”.

– Spróbujesz ich podsłuchać? – mruknęła, przysłaniając usta dłonią.

Wciąż nie była skłonna odrzucić swojej teorii, bo Stach mógł woleć młodszą siostrę albo starszą czymś go zdenerwowała i ot, pozbył się jej, a potem znalazł kolejną chętną. Albo Marylka była bardzo zdesperowana, bo ojciec ją bił lub głodził.

Sara musiała jednak przyznać, że dokonywanie zabójstwa, by poślubić mężczyznę, który mógłby być twoim dziadkiem, nie miało za wiele sensu. Nie był milionerem, do diaska, ot, miał trochę większy dom niż inni i najwyraźniej zwierzaki, bo za domem znajdowało się coś, co wyglądało jak obora.

Boreasz odleciał, by opaść na ziemię tuż pod oknem.

Nawet jeżeli nie wykluczała Stacha Paulińskiego z grona podejrzanych, potrzebowała znaleźć też inny punkt zaczepienia.

*

Inne punkty zaczepienia były dokładnie trzy. Edek, którego południca zostawiła żywego, Małgorzata, która ponoć się z nią kolegowała i której może przeszła już złość na czarownicę, oraz sama demonica. Sarę trochę korciło, aby od razu zacząć od tej ostatniej. Jeśli jednak nawet ciągnęło ją do polowania, to jej zdobycz na pewno znikła już z pól i powróci dopiero koło południa.

Wróciła do domu Klary, zdecydowana wypytać jej córkę. Małgorzata siedziała jednak na ławce pod jabłonią u boku młodego mężczyzny, mniej więcej w jej wieku. Pochylali ku sobie głowy i rozmawiali cicho: widać to był ten Rysiek, najprzystojniejszy chłopak w okolicy, za którego miała niedługo wyjść za mąż. Czarownica zostawiła ich w spokoju. Nie

powodował nią takt, tylko przekonanie, że jeśli przerwie schadzki, po dobroci żadnych informacji nie wyciągnie, a chociaż dom Klary nie grzeszył luksusami, to gospodyni serwowała Sarze posiłki. Jeżeli naciskałaby za bardzo, wyrzuciłyby ją albo nawet przekonały wójta do wycofania się z umowy.

Dostępny był jeszcze tylko Edek.

Chłopak od wczoraj doszedł do siebie na tyle, że już nie leżał na tapczanie, tylko siedział. Wciąż był trochę skołowany i czasem zaciął się przy mówieniu, ale wyglądało na to, że za parę dni wydobrzeje. Matka skakała wokół niego jak wokół małego dziecka, podsuwając to wodę, to napar, to owoce. Gdy Sara oznajmiła, że chce porozmawiać z Edkiem, zerknęła na nią złym okiem, jakby czarownica, która ledwo co uratowała chłopaka, teraz planowała rzucić na niego jakiś urok. Dopiero niewinne kłamstwo – że południca może zechcieć znów dopaść ofiarę, która nie zmarła w polu, choć powinna – przekonało ją do zostawienia ich samych.

– Co się stało na polu? – spytała wprost, rozsiadając się na krześle.

– Napadła mnie południca – oświadczył. Patrzył jej prosto w oczy, z prawdziwą lub udawaną hardością.

– To wiem. Wir powietrzny był całkiem niezłą podpowiedzią – przyznała. – Ale jak to przebiegało? Widziałeś, jak się zbliża? Uderzyła cię? Nie widziałam ran, więc nie użyła sierpa? Powiedziała coś?

– Nie zauważyłem jej... Nagle wyszła spomiędzy łąnow... Ja... wykiłem się zagadką.

– Jaką? – spytała.

Moment wahania – o wiele zbyt długi na próbę przypomnienia sobie rymowanki, która jakoby uratowała mu życie raptem poprzedniego dnia – utwierdził ją w przekonaniu, że Edek kłamie.

Może było trochę prawdy w tych ludowych opowiastkach o tym, że południcę dało się przechytrzyć zagadką, ale przecież czarownica przebywała tuż obok. Południca przewinęła się wraz z gorącym wichrem i ogniem, a potem znikła, zostawiając chłopaka nie martwego, ale na pewno półżywego. Gdyby Sara go nie znalazła, prawdopodobnie palące słońce i tak by sprawiło, że wyzionąłby ducha.

– Kto się żywi wodą i wiatrem?

– Młyn albo młynarz – odparła. – Niezbyt skomplikowana. To wystarczyło? Południce rzadko wypuszczają swoje ofiary.

Wzruszył ramionami, jakby chcąc w ten sposób zademonstrować, że nie na jego rozum jest szukanie wyjaśnienia dla zachowania letnich demonów.

– Coś mówiła?

– Nic.

– Znałeś Joannę?

– Pewno. Tu wszyscy się znają, a ona od małego trzymała się z Gochą i... – zaczął bez namysłu.

Zaraz jednak przerwał, a wyraz jego twarzy się zmienił. W pierwszej chwili sądziła, że znów się zaciął, ale nie chodziło o to.

– To naprawdę ona?

Widać, podobnie jak siostra, niby słyszał opowieści, niby podejrzewał, ale co innego dostać potwierdzenie.

– Tak sądzę. Nie poznałeś jej?

– Ona... – Edek stracił rezon, opadł niżej na poduszce. – Nie poznałem. Ale kiedy tak mówisz... włosy też ma jasne, tylko tak strasznie się unoszą wokół twarzy, i była jej wzrostu...

– Czy Joanna cię lubiła?

– Co? – Pytanie go zdumiało, zamrugnął, zdezorientowany. – No tak. Czemu miałyby nie lubić?

– Tych, których zabiła, pewnie niezbyt lubiła. – Tym razem to Sara wzruszyła ramionami. – Jeśli byliście bardzo zaprzyjaźnieni, może dlatego cię zostawiła, ale to... bardzo rzadkie i wymaga mocnej więzi. Podejrzewałabym raczej, że coś ją spłoszyło.

Nie była pewna, czy południca oszczędziła chłopaka, wiedzona ostatnim ludzkim odruchem, czy chciała, by zmarł od gorąca, ale jeśli chodziło o to pierwsze, to mógł być powód. Przynajmniej była pewna, że to nie on skrzywdził ją na wzgórzu: w takim wypadku umierałby długo i boleśnie.

Edek poruszył się niespokojnie, odwrócił spojrzenie. Przez ułamek sekundy kusił ją, by trochę go poddusić i wyciągnąć odpowiedzi wraz z oddechem.

– Co tam robiłeś?

– Co?

– Nie co, tylko słucham – wyrwało się jej, bo zniecierpliwienie narastało. – Byłeś koło wzgórza, w południe, z dala od wioski. Nie wiedziałeś, że to niebezpieczne?

– Ostatnio nikt jej nie widział...

– Bo wszyscy od południa do drugiej pilnowali, żeby nie wejść w pole – syknęła. – Zdradzić ci sekret, Edwardzie?

– Aha...?

Pochyliła się ku niemu i szepnęła, jakby naprawdę dzieliła się z nim wielką tajemnicą. Pozwoliła, by powietrze wokół nich zadrgało, a jej oddech, który padł na jego policzek, niósł ze sobą powiew chłodu.

– Niektóre czarownice potrafią odgadnąć, kiedy ktoś kłamie. Nie zadałeś jej żadnej zagadki, prawda?

Odsunął się gwałtownie, omal nie wpadając na ścianę. Zaraz jednak wyprostował się, znów siadając. Najwyraźniej przypomniał sobie, że czarownica nie czarownica, ale to nadal młodsza i drobniejsza od niego dziewczyna.

– A jakie to ma znaczenie? Po prostu mnie zostawiła. Aśka by mnie nie skrzywdziła. Powiedziałem matce, że odpuściła mi przez zagadkę, bo jeszcze ludzie krzywo by się gapili...

Prawie mu uwierzyła. Prawie.

– Duże znaczenie, jeśli mam się jej pozbyć. Czy może ci pasuje, że chodzi po polach? Gośka wspominała, że południca zabiła trzech mężczyzn, jedną kobietę i jednego dzieciaka. Mogła cię tam też zostawić, ponieważ zachciało się jej sprawdzić, czy nie sześniesz w słońcu. Teraz będzie polować specjalnie na ciebie, bo jej umknąłeś.

Łgała jak z nut, odwołując się do tego samego wybiegu, który zastosowała wobec jego matki. Podziałało i na niego, bo mimo opalenizny zbladł. Jeżeli przyjrzał się południcy, na pewno nie miał ochoty na kolejne spotkanie.

– Może nawet pojawi się przed południem? Jeśli jest dostatecznie gorąco, to godziny wcale jej nie wiążą – dorzuciła.

– No dobra, dobra – mruknął Edek niechętnie. – Ot, spotykałem się z dziewczuchą. Wołała mnie, jak ta mnie dopadła. Może gdy usłyszała, że ktoś idzie, to sobie poszła...

– Prędzej poszłaby dopaść hałaśliwą dziewczkę... – mruknęła Sara z namysłem.

Edek, choć nie wydawało się to możliwe, poblinął jeszcze bardziej.

– Ale... ale nie słyhać, żeby kogoś dopadła?

– Jeśli jest z tej wioski, to chyba nie. Kto to? Może widziała południcę. Może dziewczyna przed nią uciekła, skoro cię tam zostawiła.

– Ona by mnie nie zostawiła – zaprotestował chłopak żarliwie.

Oj, zdziwiłbyś się, przemknęło jej przez myśl. Wystarczyłby błysk sierpa, spojrzenie w oczy wypełnione ogniem i pewnie nawet te co bardziej zakochane zaraz rzuciłyby się do ucieczki.

– Ale pewnie myślała, że nie przyszedłem, skoro nie odpowiedziałem na wołanie.

– Pewnie – zgodziła się fałszywie. – To kto tam był?

– Nie powiem.

– Słuchaj, ja naprawdę nie mam zamiaru donosić twojej matce ani lokalnemu plebanowi, że chodzicie na schadzki – zirytowała się Sara. – Próbuję się upewnić, że gdy ją zabiję, to coś nie przyciągnie jej z powrotem.

– Nie powiem – powtórzył uparcie. – I te sztuczki nic nie zmienią!

Drgnęła, w pierwszej chwili niepewna, jakie to sztuczki miał na myśli. Dopiero po sekundzie zorientowała się, że podłogę przy jej stopach pokrył szybko topniejący szron, a powietrze w pomieszczeniu drga, wprawiane w ruch przez magię. Tym razem nie przywołała wiatru i chłodu, by przypomnieć Edkowi, że nie ma do czynienia z przypadkową nastolatką – nie zapanowała nad sobą pod wpływem złości.

Nie miałyby nic przeciwko, gdyby to podziałało. Niestety, wyglądało na to, że musiałyby naprawdę zrobić mu krzywdę, by poszedł po rozum do głowy.

– Nie martwi cię, że dziewczyna wybierze się na kolejne spotkanie z tobą i południca ją dopadnie? – spróbowała z innej strony.

Edek gwałtownie pokręcił głową.

– Więcej tam nie pójdziemy, a jeśli południca to Aśka, to by jej nie skrzywdziła.

– A Aśka, którą znałeś, skrzywdziłaby dziecko...?

Pytanie zawisło pomiędzy nimi. Chłopak spuścił wzrok, wyraźnie znękany.

– Ona cierpi – powiedziała Sara niemalże miękko, przypominając sobie słowa Marylki. – Chcę uwolnić i was, i ją.

– Moje spotkanie naprawdę nie ma z tym nic wspólnego – mruknął, choć wydawało się, że te słowa poruszyły nim bardziej niż cokolwiek, co powiedziała wcześniej. – Jakbym mógł pomóc, to bym pomógł. Ale tak to tylko dziewczusze kłopotów narobię.

– Niech będzie – ustąpiła niechętnie. Na razie. – Wiesz, kto mógłby chcieć skrzywdzić Joannę? Jej narzeczony? Ojciec?

– Pauliński nie mógł się doczekać, aż ją do wyra zaciągnie – parsknął Edek, choć w jego głosie pobrzmiwała gorycz. – A ojciec tylko czekał, żeby ją pchnąć do ołtarza, bo mu zięć, co starszy od niego, obiecał za nią świnię i bimber.

– Co dostał za Maryłę?

Edek wzdrygnął się.

– Nic – burknął. – Kurę i parę flaszek. Stach powiedział, że łaskę robi, że ją bierze. Aśka... zdrowsza była zawsze, silniejsza, to w gospodarstwie więcej mogła robić niż Marylka.

– I ponoć ładniejsza.

– A bo ja wiem? Zależy, kogo spytać.

– Czy siostra mogła chcieć się jej pozbyć? – spytała Sara. – Żeby wyjść za Stacha?

– No co ty! – zachnął się i poruszył tak, jakby chciał poderwać się z łóżka. – Marylka?! Gdzie! To najlepsza dziewczyna pod słońcem!

– Dobrze, dobrze – powiedziała, unosząc dłonie w geście poddania się. – Z kimś miała na pieńku? Może z kimś się pokłóciła? Spotykała?

– A o to lepiej Gochy pytać. Ja Aśkę lubiłem, kręciły się tu od zawsze, ale ona mi się nie zwierzała. Chociaż... – Zamyślił się na chwilę, jakby próbował sobie coś przypomnieć. – To ładna dziewczyna była. Chłopaki sobie za nią oczy wypatrywali. Po prawdzie to raz słyszałem, jak ktoś mówił, że ją nocą widział, jak gdzieś biegła i jak nic na schadzkę. Ale z kim... to ja już nie wiem.

*

Słońce znikło już za horyzontem, a niebo ciemniało, kiedy Sara wyszła na zewnątrz. Na szczęście Małgośka i jej absztyfikant właśnie się żegnali przy furtce. Pożegnanie było czułe, ale ledwo chłopak zerknął ponad ramieniem narzeczonej i dojrzał Sarę, nieomal uciekł.

W takich chwilach nawiedzała ją niemalże nostalgia. Teraz w miastach, miasteczkach i nawet niektórych wsiach ludzie niezbyt się bali magii. Za wiele mieli z nią do czynienia na co dzień.

– Rozmawiałam z Paulińskimi i Edkiem – powiedziała czarownica, podchodząc do Małgorzaty. – I... sprawdziłam parę rzeczy na wzgórzu.

Małgorzata drgnęła niespokojnie: zapatrzona w ślad za chłopakiem nie dostrzegła, że czarownica się zbliża. Dziewczyna spojrzała na nią

z niechęcią wręcz wypisaną na twarzy. Sarze to nie przeszkadzało. Nie lubiła tej młodej kobiety, nie starała się być dla niej szczególnie miła, nie oczekiwała więc sympatii. Wystarczy minimum współpracy w celu wspólnego rozwiązania problemu.

– Gdy umarła na wzgórzu, nie była sama – oświadczyła Sara. – I chodziły plotki, że faktycznie nie była zbyt szczęśliwa z powodu rychłego małżeństwa. Że... spotykała się z kimś innym.

Małgorzata milczała. Nie wydawała się zaskoczona. Może nie wierzyła w rewelacje czarownicy, a może wręcz przeciwnie, doskonale wiedziała, że przyjaciółka wdała się w romans. I głęboko w środku podejrzewała, że tamtego dnia niekoniecznie zginęła z własnej ręki.

– Nie mogę cię zmusić do mówienia. Ale ja stąd odejdę, a ty i twoi bliscy zostaniecie. Jeśli nie pozbędę się południcy skutecznie, może polować jeszcze na twoje wnuki.

– Nie wiem, z kim się spotykała – powiedziała w końcu Małgorzata. – Ona... oddaliła się ode mnie. Nie wiem dlaczego. Mniej więcej wtedy, kiedy ojciec powiedział jej, że albo wyjdzie za Paulińskiego, albo ma się wynosić z jego domu.

– Nie myślałaś, żeby wziąć ją do siebie? Nie jesteście chyba biedniejsi od Paulińskiego.

Małgorzata tylko się uśmiechnęła. To był smutny, wymuszony uśmiech.

– Mama nigdy by się nie zgodziła. Nie podobało się jej, że się przyjaźnimy. Mówiła zawsze, że Aśka i Marylka mnie wykorzystują. I że Aśka tylko patrzy, jak by uwieść mi brata... Ale to nie Edek! Chyba nie sądzisz, że to on? – zaniepokoiła się nagle.

Sara pokręciła głową.

– Nie. Tego jestem pewna. Gdyby to był on, nie zostawiłaby go żywego.

Kobieta odetchnęła z ulgą, ba, nawet podparła się o furtkę, jakby nagle zrobiło się jej słabo z tej radości, i czarownica pomyślała, że chyba właśnie dlatego Małgorzata wcześniej o niczym nie wspomniała. Brała pod uwagę, że to jej brat mógł się spotykać z Aśką. Ba! Może nawet sądziła, że to on ją zabił?

– Był ktoś inny, prawda?

– Jestem prawie pewna – przyznała Małgorzata. – Wymykała się. Raz, gdy przyszedłam pod okno Aśki późnym wieczorem, to jej nie było, jak spytałam, gdzie była, to kłamała w żywe oczy, że nigdzie. A potem nagle

wcale dla mnie czasu nie miała. Nikomu nie mówiłam, bo... bo tylko by szargali jej pamięć. A ja jej obwiniać nie mogę. Nie ze Stachem!

Sara kiwnęła tylko głową. Nie miała więcej pytań, albo inaczej: miała ich mnóstwo. Wyglądało jednak na to, że ani Edek, ani Małgorzata nie zdołają na nie odpowiedzieć.

Musiała znaleźć sposób na to, by rozmówić się z Marylką.

*

Nocą, gdy Klara, Małgorzata i Edek zasnęli, Sara wymknęła się z domu. Przeszła przez wieś, cichą i ciemną. Raz jej obecność zaalarmowała czujnego psa, który zaszczekał zza płotu, ale nie obudziło to gospodarzy.

Boreasz sfrunął do niej z dachu Paulińskich.

– Wynudziłem się, Saro – zamarudził. – Cóż za nudni ludzie. Prawie nie rozmawiali, tylko on wyrzekał albo ją czasem poganiał.

– Na co wyrzekał?

– Na nią, na plebana, na południcę, na ciebie... – wyliczył latawiec.

– A jak ją zawołał do środka, nie rozmawiali?

– Niewiele. Tylko tyle rzekł, że ma z tobą nie rozmawiać, bo jeszcze przekleństwo magii na dzieci spadnie. I że jakbyś naprawdę potrafiła z południcą sobie poradzić, to już byś to zrobiła, więc pewnie z ciebie oszustka.

Sara skrzywiła się. Ktoś mógłby pomyśleć, że skoro sama nie jest zbyt przyjemnym człowiekiem, nie powinni przeszkadzać jej inni niezbyt przyjemni ludzie. Tu jednak, po pierwsze, nie działała zasada „ciągnie swój do swego”, po drugie, miała przecucie graniczące z pewnością, że Pauliński jest znacznie paskudniejszą osobą niż ona.

– Jakby magią dało się zarazić, to ludzie ustawialiby się w kolejkach – mruknęła. – Zastanawiam się, czy niechęć tutejszych do magicznych nie jest związana z tym wzgórzem. Kiedyś pewnie działały się tam niedobre rzeczy.

– Pewno tak. A ta letnia panna to nie jest jedyny demon w okolicy.

– Nie?

Sara spojrzała na niego z nową czujnością, a Boreasz obrócił łeppek, jakby uznał, że powiedział za wiele.

– W domu Klary jest domowik, tylko się przed tobą chowa. Prawie pewien jestem, że kiedyś był tu jakiś latawiec, ale dawno pofrunął dalej.

A kiedy tu szliśmy, to mijaliśmy staw, tam topielica mieszka. Stara.

– Boreaszu – westchnęła czarownica, raczej ze zmęczeniem niż zdenerwowaniem. – Rozmawialiśmy o tym. To że latawce nie są złe, nie znaczy, że tak jest z każdą taką istotą...

...a włosy topielicy były sporo warte. Dość, aby było warto wywabiać ją ze stawu, nawet jeśli nikt za to nie płacił.

– Siedzi w stawie w głębi lasu, nikomu nie wadzi, miejscowi tam nie chodzą, chyba nawet o niej nie pamiętają, nic nie powiedzieli, że ktoś ostatnio utonął albo zaginął – zamarudził Boreasz.

Pod tym względem Sara nigdy nie umiała go zrozumieć. Z jednej strony pogardzał istotami takimi jak południca, mordującymi ludzi, i uważał je za swoje przeciwieństwo. Gdy dwa czy trzy razy się takich pozbywała, nie zgłaszał pretensji. Z drugiej, póki nie miał całkowitej pewności, że te istoty faktycznie krzywdzą innych, trzymał się uparcie podejścia „niewinny, póki nie udowodnisz mu winy”. Nawet jeśli chodziło o topielice, z samej swej natury mordercze i obdarzone tylko taką drobiną inteligencji, która pozwalała im polować na ofiary. Miał skłonność do zakładania, że wszystkie stworzenia półdemoniczne, zrodzone z ludzkich dusz, mogą być dobre.

– Najpierw skupimy się na południcy – zdecydowała, nie chcąc teraz się kłócić. – W każdym razie wychodzi na to, że okoliczni mieszkańcy ginący gwałtowną śmiercią mają większe szanse się przemienić.

– Zrobisz coś z tym?

– Chyba nie potrafię – przyznała niechętnie. – Mogę odprawić rytuał oczyszczający na wzgórzu i nawet to zrobię, ale czy podziała? Jeśli ślad jest nadal po jakichś siedmiuset latach, to potrzeba by więcej niż jednej czarownicy, żeby się go pozbyć. Cud, że ta wioska jeszcze istnieje, skoro tak łatwo stać się tu istotą na wpół demoniczną.

– Może kiedyś mieli tutaj czarownicę albo przynajmniej jakąś znachorkę, co temu zapobiegała.

– Może – westchnęła. – Śpią razem?

– Flaszkę pociągnął i padł przy stole, przed tym diabelskim urządzeniem, telewizorem, pijany jak bela. Ona w sypialni, okno otwarte. Śpi, a przed snem płakała.

– Wreszcie coś idzie po mojej myśli – skwitowała Sara, pokonując płot jednym susem, dzięki magii nienaturalnie wysokim.

Okno rzeczywiście było szeroko otwarte, by wpuścić do nagrzanego przez dzień wnętrza odrobinę nocnego chłodu. Sara podciągnęła się na parapet i wsunęła do pomieszczenia, starając się nie wpaść po ciemku na żadne sprzęty. Marylka spała na brzegu łóżka, zwinięta w kłębek, jakby chciała zająć sobą jak najmniej miejsca.

Gdyby czarownica sobie na to pozwoliła, może poczułaby współczucie. Dziewczyna miała ciężkie życie i nigdy ani odrobiny szansy na coś lepszego. Może i dwudziesty pierwszy wiek zbliżał się wielkimi krokami, ale ona pochodziła ze wsi, z biednej rodziny, prawdopodobnie nie znała się na niczym poza pracą w gospodarstwie, jej ojciec ewidentnie był okropnym człowiekiem i mogła właściwie tylko iść za męża za tego, kogo wskazał, albo skończyć gdzieś, żebrząc.

Sara w pierwszym i drugim życiu nauczyła się na pewno jednego. Nie każda kobieta była panią swego losu. Ją i wtedy, i teraz, uwolniła magia.

Podeszła do łóżka i jedną ręką zakryła usta Marylki, a drugą ją przytrzymała. Ta, gwałtownie przebudzona, szarpnęła się odruchowo.

– Ciii – poprosiła Sara, pochylając się nad nią. – Chcę tylko porozmawiać, dobrze? Puszczę cię, ale nie krzycz. Chyba nie chcesz obudzić męża?

Odczekała chwilę, upewniając się, że dziewczyna zrozumiała, a potem cofnęła dłoń. Marylka usiadła i odsunęła się, wpatrując w ciemną postać przy łóżku. Milczała.

– Chcę wiedzieć, z kim Joanna była na wzgórzu w dniu swojej śmierci.

– Nie wiem tego.

– Ale wiesz więcej, niż mówisz – powiedziała czarownica, siadając na łóżku.

Spodziewała się, że nocna wizyta przestraszy Paulińską, ale ta zdawała się zaskakująco spokojna. Siedziała sztywno wyprostowana, w jej głosie nie znać było strachu. Bardziej bała się wczoraj i Sara pomyślała, że może wcale nie lękała się złej wiedzy w ciele dziecka.

Może obawiała się tego, że mąż przyłapie je na rozmowie.

– Co zrobiłaś Stachowi?

– Nic. Śpi pijany, jeśli będziemy cicho, na pewno się nie obudzi.

W mroku nie mogła dobrze widzieć twarzy Marylki. Była jednak niemal pewna, że gdyby było inaczej, dojrzałyby na niej rozczarowanie.

– Asia zawsze tam uciekała. Na wzgórze – powiedziała dziewczyna beznamytnie. – Odkąd była mała. Nie wiem, z kim tam była. Jak ją

znaleźli... Myślałam, że sama. Że się zabiła.

– Bo nie kochała Stacha?

– Oczywiście, że nie kochała Stacha – syknęła Marylka. Pierwszy raz w jej głosie zabrzmiały jakieś emocje. – Jak mogłaby go kochać? Bez kochania za mąż by poszła, ale nie chciała za niego. Myśmy go znały.... od małego... przychodził do ojca. Zresztą ciebie to nic nie obchodzi. Po co pytasz?

– Bo jeśli... mam pozbyć się południcy, uwolnić ducha Joanny, to muszę wiedzieć jak najwięcej – powiedziała Sara powoli.

Zwykle brak umiejętności socjalnych zupełnie jej nie wadził. Relacje z ludźmi traktowała jak problem: coś, co trzeba uciąć jak najszybciej. W tej chwili bardzo chciałaby jednak wiedzieć, jak przekonać Marylkę. Bo potrzebowała jej pomocy i mimo wszystko trochę dziewczynie współczuła.

Tylko dlatego nie sięgnęła jeszcze po ostateczny argument, którym mogłaby pewnie wymusić na niej niemal wszystko. Broń, którą niechętny dał jej do ręki Edek.

– Joanna z kimś się spotykała – podjęła. – Prawda?

– Była zakochana – przyznała Marylka z oporami. – Ale on by jej nie wziął. Spotykał się z inną dziewczyną. Wiesz, lepszą niż córka miejscowego pijaka. Ze skończoną szkołą. Z własnym kawałkiem pola. Poza tym on chce dostać gospodarstwo po rodzicach, a jego matka Asi nie znosiła. Mówiłam Asi, że ją zwodzi, ale ona myślała, że razem uciekną... Potem raz przyszła cała we łzach i nic nie mówiła, ale wiedziałam, że jej odmówił. I miesiąc nie minął, a ona nie żyła. Myślałam, że się zabiła... nie dlatego, że Stacha nie kochała, tylko przez niego.

– Kto to był?

Zawahala się.

– On ją zabił?

– Prawie na pewno.

– Rysiek. Ryszard.

– Narzeczony Małgorzaty. Dlatego zaczęła jej unikać.

Marylka pokiwała głową.

Siedziały obie, milcząc, długą chwilę. W końcu Sara dźwignęła się z łóżka.

– Nie chodź więcej na pole – powiedziała, już stojąc przy oknie. – Kiedyś cię kochała, ale teraz jest bardziej demonem niż człowiekiem. Jej

pamięć jest... zawodna. Następnym razem może nie rozpoznać twojego głosu.

– Co teraz będzie? – spytała jeszcze Marylka.

Odpowiedziała jej tylko cisza.

*

Sara sama nie wiedziała, co teraz będzie.

Usadowiła się na dachu, u boku Boreasza. Słyszał każde wypowiedziane wcześniej słowo. Milczenie, które między nimi zapadło, było długie i ciężkie.

Bawiła się myślą, że mogłaby znaleźć dom Ryśka, zajrzeć do środka przez okno i udusić go we śnie. Nikt nigdy nie dowiedziałby się prawdy. Mogłaby też poczekać na dogodny moment, porwać go w pole i tam zostawić – a południca z pewnością wytropiłaby go bezbłędnie.

– Nie powinnaś wydawać osądu – mruknął w końcu ptak, jakby czytając jej w myślach.

Po raz kolejny już przyszło Sarze do głowy, że z nich dwojga to latawiec jest bardziej ludzki. I – to przerażało ją znacznie bardziej – poznał ją trochę za dobrze.

– Kto w takim razie go wyda? Kto wymierzy karę?

– Mógł ją zabić przypadkiem albo...

– ...albo?

– Dziewczyna mówiła, że tamta wróciła cała we łzach i zginęła dopiero potem. Odrzucił ją. Może ona nie dawała mu spokoju, może doprowadziła go na sam skraj... Też byś zabiła, mając powody.

– Robiłam to – przyznała, przymykając oczy. – Pewnie zagroziła, że powie o wszystkim przyjaciółce. Ale nie, Boreaszu, to nie jest dostateczny powód.

– Co w takim razie zrobisz?

Przygryzła wargę. Co zrobi? Co powinna zrobić?

Co zrobić chciała?

– Raz będę rozsądna – zdecydowała w końcu. – Pozbędę się południcy, spróbuję zabezpieczyć jej prochy, odprawię rytuał na wzgórzu. Jest duża szansa, że nie pojawi się z powrotem. Ale na wszelki wypadek powiem ludziom, że jeśli demonica wróci, to przez niego.

– Samosąd – burknął latawiec z niesmakiem.

– Mogę jeszcze sama go zamordować albo pogodzić się ze stratami, jeśli demonica wróci. To byłoby dostatecznie moralne? – odparła, a w jej głosie pobrzmiwała irytacja. – A może powinnam tutaj zamieszkać, by pilnować ich do końca swojego życia? Co, twoim zdaniem, mam zrobić? Masz lepszy pomysł? Jeśli tak, zamieniam się w słuch.

– Mógłbym...

– ...mógłbyś?

– Z nią porozmawiać.

Prychnęła tylko. Rozmawianie z południcą! Już miała mu wygarnąć, gdy przypomniała sobie, że – w gruncie rzeczy – on też był istotą półdemoniczną. Nie diabłem, bóstwem czy prawdziwym demonem spoza światów, ale czymś, co powstało dokładnie tak, jak południca.

Po prostu on należał do tych stworzeń, które lubiły ludzi i wciąż myślały racjonalnie.

– Jeśli masz ochotę – ustąpiła. – Ale to nic nie da. Nawet jeśli coś ci powie, jej umysł jest zaćmiony przez magię i nienawiść. To nie będzie prawda.

– Możesz spróbować porozmawiać z chłopakiem...

– ...który skłamię całkiem świadomie – dokończyła. – Ale niech ci będzie, Boreaszu. Porozmawiasz z południcą, a potem ja z jej ukochanym. Później jednak, niezależnie od tego, czego się dowiemy, pozbędę się tej panny. Zawarłam umowę. Muszę jej dotrzymać.

*

Kolejny dzień był równie ciepły jak poprzedni i Sara utwierdziła się w przekonaniu, że nawet jeśli południca nie pozabija wieśniaków, to prędzej czy później wykończą ich upały. Demoniczna panna może nie potrafiła w pełni kontrolować pogody, ale jej obecność musiała w jakiś sposób wpływać na temperaturę i wiatr. Czarownica, siedząc na skraju pola, miała okazję słyszeć narzekania osób, które przed południem wracały do wioski. Marudziły nie tylko z powodu nieznośnego skwaru, lecz także tego, że drugi rok z rzędu przez suszę będą słabe zbiory.

Na Sarę spoglądali ukradkiem, niektórzy ciekawie, niektórzy z obawą. Czarownica tkwiła w miejscu, w którym zboża już wykoszono, co rusz popijając wodę, a głowę chroniąc pod chustką. Uprzedziła wcześniej Małgorzatę, że dobrze byłoby, gdyby wszyscy schowali się w domach.

Pewnie rozpuściła wici i miejscowi wiedzieli już, że mała, ciemnowłosa czarowniczka szykuje się do starcia z południcą.

Na razie czekała na powrót Boreasza.

Cienie się skróciły, południe nadeszło i przeminęło, on zaś nie wracał. Za to łanami poruszył wiatr, gorący podmuch uderzył Sarę prosto w twarz. Wyczuwała magię, a gdy się podniosła, dostrzegła wir powietrza, tańczący w pobliżu wzgórza... Nie. Dwa wiry! I w nagłym przebłysku pojęła, że nawet jeśli Boreasz sądził inaczej, demoniczne istoty wiatru nie zawsze musiały się dogadać, i że przywiązała się do latawca bardziej, niż powinna. Bo wraz z myślą, czy ogień i wiatr mogły zabić latawce, które ginęły ponoć tylko od błyskawic, nawiedził ją strach, jakiego nie odczuwała od bardzo, bardzo dawna.

Wpadła w pole, depcząc kłosa. Parę metrów pokonała biegiem, ale potem odbiła się od ziemi i uniosła, lecąc ponad pszenicą. Gdzieś za sobą, od strony wsi, usłyszała czyjś krzyk, nie spojrziała jednak za siebie. Otoczył ją wir, niosący ze sobą chłód i śnieg. Szron osiadł na ubraniu i włosach Sary, zlepiał jej rzęsy, ale choć nie była odporna na gorąc, to zimno nie czyniło jej krzywdy.

Przy wzgórzu wiatr spotkał się z wiatrem, żar z mrozem, i przez chwilę zmagaly się ze sobą: czarownica związana z powietrzem i powietrzny demon. Kłosa padały na ziemię, niektóre nadpalone, inne skute lodem. Mogłoby to trwać długo, ale na miejscu był jeszcze Boreasz – i dwa wiry naciskały na trzeci, wygaszając ogień, tłumiąc gorąc, pokrywając ziemię szronem. Ten topniał szybko, zamieniając się w wodę, ale południca słabła i gdy wiatr wreszcie się uspokoił, Sara, zadyszana wprawdzie, stała na nogach, a demonica Joanna klęczała skulona, obejmując ramionami głowę. Tak pochylona, zwinięta w kłębek, niemal wyglądała jak człowiek – jak bezbronna dziewczyna, którą kiedyś była.

Latawiec opadł na ziemię. Przybrał ludzką postać. Zupełnie nagi, krwawił z rany zadanej sierpem, ciemne włosy miał nadpalone. Też opadł na kolana, zbyt zmęczony, by dalej walczyć.

Czarownica uniosła dłoń, a powietrze wokół południcy zaczęło gęstnieć. Ta poderwała się i już w niczym nie przypominała zwykłej kobiety. Jasne włosy wiły się wokół twarzy, wychudłej, nadmiernie kościstej, z której spoglądały puste oczodoły. Poszarpane białe gieżło znaczyły plamy zaschniętej krwi.

Jej kształty się rozmyły, gdy z nieludzką prędkością rzuciła się ku Sarze, a sierp błysnął w słońcu. Boreasz krzyknął, ale czarownica zdążyła odskoczyć w tył długim susem, wspomaganym magią. Gdy wyciągnęła rękę, sierp wyrwał się z ręki demonicy i wpadł gdzieś między łany. Ledwo sekundę później południca jednak znów skoczyła i tym razem zdołała dopaść Sarę, by obalić ją na ziemię.

Dotyk rąk, które zacisnęły się na ramionach czarownicy, parzył. Krzyknęła, wbijając palce w twarz Joanny, a spod jej paznokci spłynął lód. I znów południca poruszyła się szybciej niż wiatr, w jednej chwili leżąc na Sarze, w kolejnej już stojąc dwa metry od niej. Bose stopy stanęły w płomieniu, ogień zaczął pochłaniać zboże, zbliżać się do czarownicy. Ta usiadła, błyskawicznie go wygaszając. W jej duszy narastała złość. Była poparzona, poobijana i bardzo, bardzo wściekła.

Tym razem chlasnęła południcę nieukształtowaną magią. Celowała tam, gdzie znajdowała się rana, która zabiła jej ludzkie ciało. Szata rozdarła się, ujawniając brzuch, a kawałek gnijącej skóry odpadł pod wpływem uderzenia. Powiew gorąca uderzył Sarę prosto w twarz. Południca znów chciała ku niej skoczyć, ale czarownica zdołała ją zatrzymać, magią odrzucając w tył.

Z okazji skorzystał Boreasz.

Latawiec, o którym skupiona na walce Sara nieomal zapomniała, znalazł porzucony sierp demonicy. Wbił go teraz w jej plecy, tak głęboko i z taką siłą, że przeszedł na wylot. Skrwawione, srebrzyste ostrze wyłoniło się z klatki piersiowej. Południca wydała z siebie wysoki skrzek. Sara nie czekała na lepszą okazję: błyskawicznie znalazła się przy istocie. Umknęła przed ręką o nienaturalnie długich paznokciach i sięgnęła ku ranie, a gdy jej dotknęła, spod jej palców prysnął lód, pokrywając ciało.

Boreasz z niemałym trudem wyszarpał sierp, by kolejnym ciosem ściąć istocie głowę.

Jasne włosy, dotąd nieustannie się unoszące, jakby poruszane nieistniejącym wiatrem, wreszcie opadły. Sekundę później i głowa, i ciało zamieniły się w proch u stóp Sary. Po południcy pozostało tylko białe giezło i srebrzysty sierp w rękach latawca.

– Kurwa – podsumowała czarownica, opadając na ziemię. Podciągnęła nadpalony rękaw koszulki, ujawniając ślad po poparzeniu. Niezbyt poważnym, na szczęście, ale nie za bardzo znała się na uzdrawianiu

i wiedziała, że ból będzie towarzyszyć jej jeszcze parę dni. – Co jej powiedziałaś? Próbowaleś ją uwieść, że tak się wściekła?

– Nie pojmuję! – powiedział Boreasz. Mocno zaciskał dłonie na rękojeści sierpa, przypatrując się prochom. Jeszcze bledszy niż zwykle, ze ściągniętą twarzą. – Rozmawialiśmy, a nagle szął ją wziął.

– W którym momencie rozmowy?

– Wspomniałem... jej siostrę.

– Marylka? – zdziwiła się Sara, unosząc brwi. – Dałam się nabrać? Byłam pewna, że to nie ona. Ba, sądziłam, że tu była...

Boreasz posłał jej zdziwione spojrzenie.

– Na polu, z Edkiem – wyjaśniła.

Były to tylko domysły, ale tłumaczyłyby, czemu jej głos sprawił, że południca zostawiła mężczyznę. Także wybór miejsca i czasu spotkania – skoro wszyscy miejscowi o tej porze trzymali się z dala, nikt nie mógł ich zobaczyć i donieść mężowi. Pasowało to do upartego milczenia Edka, jego słów o Marylce, a nawet wyjaśniałoby, czemu dziewczyna wróciła do wioski. Nie zauważyła go, leżącego wśród pszenicy, czekać albo szukać się bała – i nie ze względu na demonicę, ale na to, że Stach mógłby zauważyć jej nieobecność.

– Szął ją wziął, jak powiedziałem, że Marylka wyszła za Stacha.

Sara zmarszczyła czoło. To zdawałoby się wskazywać na Marylkę: południca wściekła się, słysząc, że jej morderczyni zajęła miejsce na ślubnym kobiercu. Marylka mogła przecież okłamać czarownicę, że Joanna nie chciała iść za mąż. Aśka, może nawet kiedy zadawała się z Ryśkiem, to wiedziała, że ten się z nią nie ożeni, a widziała zalety w małżeństwie z bogatym gospodarzem? Może liczyła na to, że zostanie młodą wdową?

Tyle że Marylka zdawała się nienawidzić męża. Po co zabijałaby siostrę? Przecież nie po to, by go poślubić! I co powstrzymałoby ją w takim wypadku przed uduszeniem Paulińskiego poduszką, gdy się upił? Skoro umiała podnieść rękę na własne rodzeństwo?

– Saro?

– Czekał. Myślę – mruknęła, bo czuła, że coś jej umyka, umyka im obojgu. Próbowала poskładać wszystko w jedną całość i...

...nie zdążyła.

Echo mocy przetoczyło się po polach, w twarz Sary uderzyło gorąco. Gdzieś w oddali coś rozbłysło, jakby na moment nowe słońce wzeszło tuż

nad zbożem. Boreasz wzdrygnął się i rozejrzał, zdezorientowany. Sara poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła.

Chyba wiedziała już, co przegapiła.

*

Wróciła do wsi, niosąc srebrzysty sierp południcy, dowód na to, że wypełniła powierzone jej zadanie. Już z daleka słyszała głosy, a wkrótce potem, gdy wyszła spomiędzy łąnów, dostrzegła zbiegowisko na skraju pola. Ludzie przysłaniali widok, ale była niemal pewna, co tam zastanie.

Zaczęła się przepychać między miejscowymi. Ten i ów syknął na nią, ktoś jednak w końcu dostrzegł pokrwawiony sierp, nadpalone ubrania i ludzie sami zaczęli się rozsuwać. Była niemal pewna, że niektórzy przez to zaczną podejrzewać ją o dokonanie zbrodni, ale w tej chwili niewiele ją to obchodziło.

W centrum utworzonego przez gapiów kręgu klęczał Edek. W ramionach trzymał ciało Marylki. Krew plamiła jej sukienkę i jego ręce. Krew znajdowała się też pod paznokciami dziewczyny. Końcówka jasnego warkocza zamiatała ziemię.

– Południca ją dopadła – wymruczał ktoś, zerkając na Sarę krzywo. – Spóźniłaś się.

Zacisnęła szczękę, mocno, bo gdyby spróbowała otworzyć usta, nie wydobyłyby się z nich słowa, tylko krzyki i przekleństwa. Bo wiedziała, że nie, wcale się nie spóźniła. Złość szarpała jej trzewia. Walka z demonią i obawa o Boreasza wytrąciły ją z równowagi, a śmierć Marylki... gdyby dziewczyna po prostu umarła, ją by to pewnie niezbyt poruszyło.

To, co się stało, wzbudzało w niej jednak wściekłość. Może dlatego, że przywoływało stare wspomnienie.

– Nikt nic nie widział? – wydusiła w końcu z siebie.

Ktoś wzruszył ramionami, ktoś zaprzeczył, większość jednak po prostu ją zignorowała lub nie dosłyszała pytania. Z cichego szmeru rozmów wyłapała imię Stacha: nigdzie go nie ma, trzeba go znaleźć, trzeba mu powiedzieć...

Rozległ się krzyk. Małgorzata przedarła się między ludźmi, dopadła do brata i Marylki.

– Przynajmniej nikogo więcej nie zabije – powiedziała jakaś kobieta, wskazując na sierp trzymany przez Sarę. – Pozbyłaś się jej, prawda?

Roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać, śmiech sam się wydarł z ust, może zamiast przekleństw. Nie dbała o to, że niektórzy patrzą na nią jak na wariatkę. Cisnęła sierp na ziemię, spaloną przez słońce, w pobliże Edka. Chłopak zdawał się nie dostrzegać ani tego, ani zgromadzenia. Twarz ukrył w jasnych włosach Marylki, coś do niej szeptał. Obietnice i wyznania, które przyszły zbyt późno i nic nie mogły już zmienić.

– Pozbyłam. I co z tego?

Cofnęła się i zaczęła się przepychać, by odejść od ciała i tłumu. Nie była pewna, co chce zrobić. Po głowie chodziło jej kilka pomysłów, ale widok Ryśka, stojącego na uboczu – pewnie przyszedł tu z Małgorzatą – sprawił, że porzuciła je wszystkie. Błyskawicznie dopadła do chłopaka i chwyciła go za koszulę na klatce piersiowej, jakby bała się, że jej ucieknie. Gest mógł wyglądać śmiesznie: była od niego niższa, dużo drobniejsza. Jednocześnie jednak w potrzask schwyciła Ryszarda także magia czarownicy. Niespokojna, podobnie jak jej właścicielka. Tylko czekająca na uwolnienie.

– Idziesz ze mną – wycedziła. – Teraz. Mamy do pogadania.

Spróbował podnieść dłoń, by ją odepchnąć lub uderzyć. Nie zdołał. Powietrze zgęstniało, utrudniając mu ruchy i oddychanie. Wspięła się na palce, by kolejne słowa wyszeptać.

– Możesz ze mną porozmawiać, a wtedy zostawię cię w spokoju. Możesz też się stawiać, a wtedy albo cię uduszę, albo powiem Małgorzacie, że zaciągnąłeś na siano jej najlepszą przyjaciółkę. Jeszcze nie zdecydowałam.

Musiała zadzierać głowę, by spojrzeć mu w twarz. W jego oczach migwały gniew i strach.

– Jedno pytanie. Na osobności – dodała, puszczając go. Gdyby naciskała zbyt mocno, mógłby zacząć wzywać pomocy, a nie miała ochoty uciekać przed ludźmi, którzy goniliby ją z widłami i pochodniami. – To jak będzie? Kiwnij tylko głową.

Skinął, z niemałym trudem. Wycofała magię i Rysiek nabrał tchu, kilka razy, szybko, jak po wynurzeniu się z wody. Wskazała pomiędzy zabudowania. Chłopak obejrzał się w stronę, w którą odbiegła Małgorzata, ale ruszył za nią. Dobrze, bo inaczej Sarę pewnie trafiłby szlag i jednak by go przyduśiła.

– To bzdura, że zdradzam Gosię – oświadczył, kiedy oddalili się poza zasięg słuchu ludzi.

– To mnie nic nie obchodzi – odparła bez wahania, skrywając się w cieniu najbliższego domu. – Wiem, że sypiałeś z Joanną, wiem, że ją porzuciłeś, wiem, że byłeś z nią na wzgórzu w dniu, w którym umarła. Nie o to chcę pytać. Pytanie brzmi: czy Stach szedł za wami?

– Byłem dla Aśki miły, nic więcej – zastrzegł Rysiek, jakby z jakiegoś powodu udowodnienie Sarze, że nie zdradzał narzeczonej, było najistotniejszą sprawą na świecie.

Podsycalo to tylko płonąca w czarownicy złość. Nawet gdyby mówił prawdę, a przecież nie mówił, jakie to, do cholery, miało teraz znaczenie?

– Coś sobie ubzdurała. Chciała pogadać ostatni raz...

– Nie obchodzi mnie to – powtórzyła, przerywając mu. Pozorowany spokój przysł niby bańka mydlana. – Do jasnego cholery! Byłeś z nią na wzgórzu w dniu, w którym umarła! Czy mógł być tam ktoś jeszcze?

– Skoro się jej pozbyłaś, to jakie ma to znaczenie?

– Niech was wszystkich szlag trafi – warknęła, wycofując się.

Wściekłość i magia buzowały jej w żyłach. Przeczynała, że jeszcze chwila, a nie zdoła się powstrzymać przed zaatakowaniem chłopaka. Milczał. Milczał teraz, milczał wcześniej, chociaż pewnie musiał przynajmniej podejrzewać, że Joanna nie popełniła samobójstwa. Byleby nikt nie spytał, co robił z nią na wzgórzach...

– Południca nie zabiła Marylki. Za to kurewsko żałuję, że nie przyprowadziłam jej ciebie. Może to by wystarczyło, żeby odeszła na zawsze!

Ruszyła z powrotem. Przystanęła w pół drogi, bo ku wsi wędrował Edek, w ramionach niosąc ciało dziewczyny. Część miejscowych – może z ciekawości – szła za nim. Sara, dostrzegłszy Klarę, zastąpiła jej drogę.

– Moja zapłata.

– Teraz?!

Na twarzy kobiety zdumienie walczyło o pierwszeństwo z oburzeniem. Spróbowała wyminąć czarownicę, ta jednak też się przesunęła, nie pozwalając jej przejść dalej.

– Natychmiast. Biorę pieniądze i stąd odchodzę.

– Musisz poczekać – powiedziała Klara uparcie. Dotąd wobec młodej czarownicy uprzejma, nagle zmieniła front. Może z obawy o syna, bo co rusz próbowała zerknąć za nim ponad ramieniem Sary. – Poza tym Marylka zginęła. Może przez ciebie. Może rozzłościłaś południcę...

– Nie będę czekać – wycedziła Sara, już nawet nie próbując ukrywać złości.

Wiatr rozwiął ciemne włosy czarownicy, otaczając i ją i Klarę, podrywając poły spódnicy kobiety. Ta pisnęła, cofając się.

– Będę wdzięczna, jeśli zaprowadzisz mnie do wójta. I lepiej nie próbujcie mnie oszukać. Żadne z was nie umiało sobie poradzić z południcą. Skoro ja się jej pozbyłam, skąd myślisz, że poradzicie sobie ze mną?

*

Mogłaby tak to zostawić.

Zaoferowano jej zapłatę za pozbycie się południcy i gdy to uczyniła, próbowano oszukać. Pieniądze musiała niemal dosłownie wyrywać wójtowi z gardła i ostatecznie odeszła z nieco mniejszą sumą niż ta, jaką miała pierwotnie dostać. Nie awanturowała się głównie dlatego, że mężczyzna prawdopodobnie faktycznie więcej gotówki w domu nie miał, a ona zabrała ze sobą jeszcze sporo wart sierp południcy – wcześniej przerywając awanturę dwóch osób próbujących go sobie przywłaszczyć. To, że Joanna za jakiś czas może powrócić, nie powinno być jej zmartwieniem.

Dlaczego miałyby ją obchodzić to, że pola wcale nie stały się bezpieczne?

Nie chciała się zastanawiać nad tym, dlaczego została. Nie dla Klary i Małgorzaty przecież.

Gdyby to przemyślała, doszłaby pewnie do wniosku, że Stach Pauliński zasłużył sobie na karę. Może też trochę dlatego, że pamiętała, jak to jest uciekać przed kimś, kto jest od ciebie silniejszy, pełna obaw o własne życie. Może – bo nawet jeśli lubiła udawać przed sobą i Boreaszem, że jest inaczej, w jej duszy była odrobina miejsca na współczucie i czuła je wobec Marylki. Dziewczyny, która chyba jako jedyna bez oporów odpowiedziała na wszystkie pytania i nie zasługiwała ani na takie małżeństwo, ani na taką śmierć.

A Sara wtedy, na polu, nie odwróciła się, słysząc krzyki. Nie zmieniłaby tego, choćby mogła cofnąć czas, bo potrzebował jej Boreasz, w pewien pokrętny sposób była jednak coś dziewczynie winna.

Czarownica przeczekała resztę dnia i część nocy poza wioską, w pobliskim lesie. Spała niewiele, bo nie była pewna, jakie jeszcze mary

i dziwy mogły mieszkać w okolicy, przywołane do życia przez lata bliskością wzgórza. Na jakiś czas przed świtem wróciła między zabudowania, a gdy załatwiła swoje, w asyście Boreasza, któremu powierzyła pewien pakunek, udała się wprost na wzgórze.

Ptaka, który wciąż nie doszedł do siebie w pełni po walce, przysiadł pomiędzy liśćmi. Sara kryła się w cieniu, pomna na to, jak bardzo ucierpiała niedawno od słońca – poza tym południce w cieniu słabły, nawet w godzinach największego żaru. Na wszelki wypadek czarownica ponownie usypała krąg z soli, spory, jego centrum czyniąc drzewo. Czekala. Była pewna, że nie musi szukać letniego demona: w tym przypadku to ona zostanie znaleziona.

Nie myliła się. Postać wyłoniła się spomiędzy łąnów tuż po południu. Wiatr, który nie poruszał liśćmi drzew, szarpał poły podartej, pokrytej krwią sukni. Wprawiał w ruch długie jasne włosy. Końcówki kosmyków płonęły. Słońce odbijało się w sierpie, identycznym jak ten, który spoczywał u boku Sary. Zdawało się jednak, że wykonano go nie ze srebra, lecz srebrzystego światła.

Południca, zrodzona ze strachu, nienawiści, miłości, mocy spod wzgórza i ludzkiej wiary, powoli weszła po zboczu. Stopy, pozostawiające na ziemi ślady wypaleń, miała bose, kościste. Jej sylwetka była teraz bardziej wychudła niż za życia, podobnie jak twarz, wciąż jednak dało się rozpoznać jej rysy.

– Witaj, wiedźmo – powiedziała Marylka śpiewnym głosem, gdy Sara wstała.

Ledwo demonica się zbliżyła, powietrze stało się gorętsze, a oddychanie trudniejsze.

– Jestem czarownicą, nie wiedźmą – sprostowała, bo tym drugim mianem nazywano te z nich, które za bardzo zbliżyły się do ciemności. Splamiły się nie czynami, bo czarownica nie musiała być dobra, lecz czarną magią i służbą demonom.

Bezkrwiste usta południcy rozciągnęły się w uśmiechu i Sara pomyślała, że może nie tylko wzgórze odmieniło siostry. Może obie od początku niosły w sobie odrobinę magii. Gdyby ktoś zauważył to odpowiednio wcześniej, mogłoby to zmienić ich los. Jak mogła nie dostrzec od razu, że ma przed sobą niewyuczoną czarownicę?

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Przyszłaś mnie zabić, jak zabiłaś mą siostrę?

– Nie można zabić tego, co już umarło – odparła czarownica, wodząc spojrzeniem za Marylką.

Ta najpierw zerknęła na latawca, obserwującego ją z gałęzi, a potem przesunęła się powoli wzdłuż granicy kręgu, granicy cienia. Jakby sprawdzała, z której strony najlepiej zaatakować. Sara przeczuwała, że to byłaby trudna walka: gorsza niż ta z Joanną. Marylka była potężniejsza: silniejszego ducha, silniejszej magii, a może tylko przepełniona większą nienawiścią. Żar omiatał twarz czarownicy. Trawa czerniała tam, gdzie stanęła Marylka, a w pobliżu żółkła, jakby wypalona samą jej bliskością.

– To daje mi przewagę w tej walce.

– Być może – zgodziła się Sara, choć wciąż była pewna swego mimo całej siły południcy. – Tylko czy naprawdę musimy walczyć? Przyniosłam ci podarek.

Południca przesunęła się jeszcze dalej, aż przystanęła naprzeciwko Stacha Paulińskiego, spętanego liną i magią, podpartego o pień drzewa. Jej straszna twarz wykrzywiła się, ale gdy przemówiła, głos miała spokojny.

– Nie przynęte, więdźmo?

– Podarek – powtórzyła Sara, nie zwracając uwagi na dźwięk, jaki wydał z siebie Stach mimo wepchniętego w usta knebla.

Próbował krzyczeć, i to sporo: i wtedy, gdy przyszła do niego nocą, i później, gdy czekali na pojawienie się Marylki. Tłumiła jego wrzaski magią i chustą. Widok Marylki sprawił jednak, że nawet to nie wystarczało, aby siedział cicho. Szarpał się w więzach, oczy miał wybałuszone ze strachu, wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki. Napierał na pień plecami, jakby mógł wnikać w drzewo, uciec przed wzrokiem żony, swojej niedawnej ofiary.

– Dlaczego miałabyś cokolwiek mi darowywać?

– Jestem z natury wielkoduszna – odpowiedziała czarownica sarkastycznie, jej głos jednak zaraz spoważniał. – Poza tym czy nie o to chodzi w tak wielu opowieściach? Może w dzisiejszych czasach wiele mówi się o sile wybaczenia, ale stare historie są pod tym względem zgodne. Zbrodnia musi zostać ukarana.

Czarownica przyklękła przy Stachu, by niemal pieszczotliwym gestem dotknąć jego twarzy, obrócić ją w bok, eksponując pięć krwawych śladów na policzku, jakby ktoś niedawno rozorał je paznokciami.

Ostatecznie okazało się, że wcale nie miała więcej oporów niż ludzie z historii Boreasa. I to mimo tego, że nie musiała lękać się o własne życie.

– Nie cieszysz się, widząc żonę? – spytała Sara. – Znów was połączyłam.

– Jam twoja w życiu i śmierci. Czy nie tak mówiłeś? – powiedziała południca, a uśmiech znów zagościł na jej twarzy. – Jak to mówiłeś tam, na polu? Zanim mnie zabiłeś? Dziwki, dwie dziwki, co sprawiły sobie bękarty, co sądziły, że mogą odejść...

Dłoń Marylki powędrowała na brzuch. Teraz zupełnie płaski.

– Nie odeszłam, drogi mężu. Żadne z nas nie odeszło. Chodź, pójdz w me ramiona.

– Biegnij – szepnęła Sara do ucha mężczyzny, przecinając linę sierpem.

Posłuchał, skończony idiota, w przerażeniu nie uświadamiając sobie, że tym, co go uchroniło przed natychmiastowym atakiem, były cień, krąg i obecność czarownicy. Poderwał się i spróbował biec, choć nie uszedł daleko, bo nogi, niemłode już przecież, zawiodły go po długich godzinach siedzenia w jednej pozycji. Runął na ziemię tuż za kręgiem, a że nie zdążył pozbyć się knebla, ten stłumił jego krzyki, gdy dopadła go południca.

Czarownica objęła pień, podparła się o niego, ale nie odwróciła wzroku. Kusilo ją przez moment, by nie patrzeć, zamknąć oczy, zasłonić uszy, bo sierp unosił się raz za razem i krew pryskała na wszystkie strony, a choć Stach najpierw nie krzyczał przez knebel, a później dlatego, że już nie mógł, południca wrzeszczała przeraźliwie. Sara patrzyła jednak, bo ona go tu przywiodła i teraz nie mogła odwrócić się od konsekwencji własnych czynów.

A te były krwawe.

Boreasz niespokojnie poruszył skrzydłami. Sfrunął z gałęzi, tak że Sara puściła drzewo i pozwoliła, by wpadł jej w ramiona i przytulił łeb do ramienia. On nie chciał patrzeć, jak Marylka zamienia Stacha w strzęp człowieka. Trwało to długo, bo mimo całej swej wściekłości południca miarkowała ciosy, nie chcąc zbyt wczesnie skończyć zabawy. Wszelkie opory, jakie żywiła, i które powstrzymywały ją za życia przed uduszeniem męża, teraz znikły. Umarły wraz z jej ciałem, na polu, gdzie wbiegła w ucieczce za wściekłym mężem, który przyłapał ją, jak wymykała się na spotkanie z Edkiem.

– Dziękuję, sestro – powiedziała Marylka później, kiedy Stach już od dawna nie ruszał się i nie jęczał, a sukienkę południcy plamiła nie tylko jej własna krew.

– Nie nazywaj mnie tak. Może mogłybyśmy nimi zostać. W innym czasie, w innym życiu. Ale ty nie jesteś już nawet człowiekiem.

Marylka uśmiechnęła się tylko i przez ułamek sekundy prawie przypominała dawną siebie. Wypuściła z ręki okrwawiony sierp i obróciła się, zamiatając połamami sukienki pożółkłą trawę. Zrobiła kilka kroków, nim wicher ją otoczył, zawirował, na moment ukrywając postać przed cudzym wzrokiem, a potem rozbłysło światło i... już jej nie było.

Sara, wciąż tuląc do siebie Boreasza, czekała. Wypuściła go dopiero, gdy liśćmi dębu poruszył wiatr, tym razem nieniosący ze sobą żadnej magii, za to przynoszący odrobinę ochłody. Wciąż panował zaduch, słońce stało wysoko na niebie, ale czarownica wiedziała, że pola znów były bezpieczne, a mieszkańcy wsi doczekają się wkrótce wymarzonego deszczu. Była pewna, że Marylka nie wróci. I niemal pewna, że Joanna też.

Chyba że naprawdę tym, co ją tu trzymało, nie było pragnienie zemsty na mordercy.

– Jak w twojej opowieści, Boreaszu. Dokonała pomsty i znikła. Też podziałało. Nawet nie musiałam z nią walczyć.

Mogła tylko się cieszyć, że tym razem nie podpaliła okolicy. Może była mniej wściekła i mniej zła niż tamta południca. Albo swoje zrobiło to, że Sara przywlekła tutaj Stacha, kierowana zupełnie inną motywacją niż ludzie z opowieści latawca.

– Co teraz, czarownico? – spytał Boreasz.

– Nic, latawcu – powiedziała, sięgając po plecak. – Pozbędę się ciała. Może zrzucą wtedy jego zniknięcie na karb rozpaczki po śmierci żony. Potem na wszelki wypadek na jakiś czas opuścimy Polanię. Wiatr wieje dziś na wschód, ruszmy więc w tamtą stronę.

– Nie powinniśmy powiedzieć Małgorzacie?

– Po co? – wzruszyła ramionami. – Pewnie i tak by za niego wyszła. Jeśli nie zauważyła, co to za człowiek, to znaczy, że jest w nim ślepo zakochana. Nie będę się wtrącać w nieswoje sprawy.

– Nie powiesz tego?

– Czego?

– „Od początku miałam rację”.

Uśmiechnęła się blado, spoglądając na pola. Na kłosa poruszone wiatrem. „A nie mówiłam” – naprawdę lubiła wypowiadać te słowa. Lubiała mieć rację. Faktycznie, z początku dobrze obstawiła winnego, chociaż cała historia nie była do końca taka, jak oczekiwała. Tyle że...

– Nie tym razem, Boreaszu. Myślę, że tak naprawdę wcale jej nie miałam. Dałam się zwieść.

Ptaka milczał przez chwilę, jakby czekając na dalsze wyjaśnienia. Te jednak nie padały.

– Pomóc ci... z ciałem? – zapytał w końcu.

Skierował wzrok na trupa, niemal natychmiast jednak obrócił ptasi łeppek. Sara uważała, że było coś ironicznego w tym, jak bardzo ten półdemon nie lubił scen przemocy. Czarownica pokręciła głową.

– Lepiej przywitaj się z krewniakiem. Wyjaśnij mu parę rzeczy. Wiem, że masz ochotę. Ja tu posprzątam i później ruszam na wschód, bo nie mam ochoty zostawać w tym miejscu ani chwili dłużej. Znajdziesz mnie potem?

– Zawsze cię znajdę, Saro.

– O nie – odparła i omal się nie roześmiała, mimo paskudnej pracy, która na nią czekała. „Zawsze”. Ile razy słyszała „zawsze”, w tym i przeszłym życiu? Nie była pewna. Wiedziała tylko, że za każdym razem okazywało się kłamstwem. – „Zawsze” zawsze trwa krótko, Boreaszu. Wystarczy, jeśli znajdziesz mnie jeszcze tym razem.

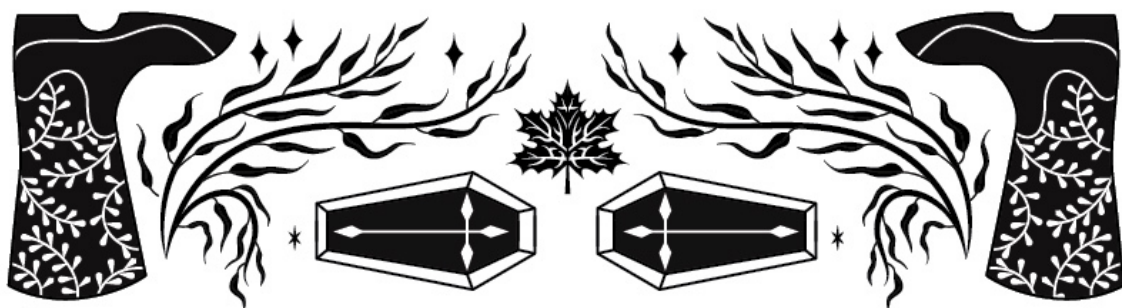
Latawiec zakrakał tylko w odpowiedzi, z wyraźną dezaprobatą wobec jej sceptycyzmu. Potem poderwał się do lotu. Po chwili nad kłosami, tańczącymi na wietrze, wirowały dwa czarne ptaki: jeden ogromny, drugi całkiem młody, wyglądający na ledwo opierzone pisklę podczas swego pierwszego lotu.

Wiatr zawiął w twarz Sary i choć nie niósł ze sobą jeszcze zimna, czarownica wyczuła w nim zapowiedź nadciągającego deszczu, a potem chłodniejszych dni i powolnej przemiany lata w jesień.

KRÓTKIE POSŁOWIE

Uniwersum Polanii jest światem alternatywnym wobec naszego – w którym zawsze istniała magia, a co za tym idzie, pewne rzeczy, także historia, wyglądają w nim inaczej niż u nas. Aby nie wprowadzać czytelników w błąd, chcę zaznaczyć, że chociaż część elementów Polanii została zainspirowana słowiańskimi wierzeniami (i przedstawienie południcy oraz latawca w dużej mierze odzwierciedla niektóre przekazy), to tekst nie jest i nie ma być materiałem historycznym.

Warto podkreślić to m.in. przy systemie magii – który jest autorski i nie ma nic wspólnego z historią. W Polanii mamy do czynienia z czarodziejkami i czarodziejami (korzystającymi z konkretnych zaklęć), czarownicami i czarownikami (związanymi z żywiołami i władającymi nieco dzikszą magią), magami (dysponującymi jednym, ograniczonym talentem) oraz wiedźmami i czarnoksiężnikami (używającymi demonicznej magii). W istocie pierwotnie w „naszym” świecie pojęcie *wiedźma* niekoniecznie kojarzono negatywnie (i często utożsamiano je raczej z wiedzą niż nadnaturalną mocą), a bardziej pejoratywnym określeniem była „czarownica”.



LISTOPADOWE DZIECI

Aneta
Jadowska



*Dla Marty, Magdy i Mileny, bo tylko z nimi ten projekt miał sens i był
czystą frajdą. I nigdy nie robiły mi wyrzutów, że moje imię nie zaczyna
się na M.*

18 listopada

Pewnie czułabym się lepiej, gdybym przytuliła do piersi gaśnicę, ale to byłoby nietaktowne i niewspierające. Bo występowałam w roli najbardziej entuzjastycznej cheerleaderki dopingującej córkę oraz dającej wsparcie narzeczonemu. Gaśnica byłaby jak transparent z napisem: „Kochani, nie mam do was zaufania i sądzę, że wam się nie uda”. Nie jestem pewna, czy bardziej uraziłabym dwunastolatkę, czy liczącego ponad trzysta lat diabła. Wiedziałam jedno: wytrącenie z równowagi salamandry albo pyra byłoby szaleństwem, więc gaśnica została w mieszkaniu, a ja trzęsłam się z zimna w niewielkim kręgu ochronnym.

Druga połowa listopada to czas na ciepłą kurtkę i szalik, ale moje jedyne grubsze okrycie źle zniosłoby kontakt z płomieniami, więc musiała mi wystarczyć bluza. Jeśli się zniszczy, zastąpię ją dużo łatwiej niż porządną, puchową alaskę, którą kupiłam w tym sezonie i która kosztowała znacznie więcej, niż nakazywałyby rozsądek. Przez lata nosiłam kurtkę z demobilu, ale wykończyły ją ghule. Spierałam z niej prawie wszystko, jednak unikalna mieszanka płynów ustrojowych, ektoplazmy i tłustej czerwonej gliny wżarła się w tkaninę na amen, pozostawiając na niej odór zgnilizny utrzymujący się mimo wielokrotnego prania. Dlatego wolałam nie ryzykować zniszczenia nowego nabytku. Najwyżej się przeziębę, pomyślałam, zaciskając zęby, zanim zaczęły podzwaniać, gdy zimne i mokre powietrze przeniknęło przez bawełnę.

Może powinnam poprosić Mirona, by wzmocnił krąg jakimś małym zaklęciem ogrzewającym? Dla pyra to byłby pikuś, prawda? W końcu to on kazał mi tu stanąć i upierał się, że po prostu muszę zobaczyć to, nad czym pracowali. Jego zdaniem ten krąg był zresztą zbędny, bo przecież wszystko mieli pod kontrolą. A jednak wyrysował go wokół mnie i zaplombował swoją magią, czyniąc ognioodpornym, a to sugerowało, że być może wcale nie jest taki pewny siebie i umiejętności Salci, jak twierdził.

Podwórko lśniło kałużami, powietrze pachniało zapowiedzią kolejnego deszczu, a gęste ołowiane chmury odcinały nas od słońca. Idealny dzień na testowanie zaklęcia ognia – gdy wszystko jest przesiąknięte wilgocią, ogień rozchodzi się dużo wolniej. Wystarczająco wolno, by Miron zdążył go zdusić. Przynajmniej w teorii.

– Dora, widzisz mnie? – zawołała Salcia, podskakując wewnątrz dużego kręgu treningowego, który Miron zbudował dla niej na podwórku.

Podwórko stanowiło dno typowej studni utworzonej przez otaczające je trzy- i czteropiętrowe kamienice. W większości okien nie paliło się światło. Niewielu sąsiadów tu zostało i byłam niemal pewna, że miało to coś wspólnego z treningami Mirona i Salci. Jeszcze kilka wyprawadek, a odwiedzi mnie Roman z pretensjami. Po waszej stronie bramy możecie narzekać na to, że płacicie czynsz wrednemu krwio pijcy, po mojej to była rzeczywistość. Lokalny książę wampirów miał upodobanie do nieruchomości, a co za tym idzie – całkiem spora rzesza obywateli Thornu przelewała mu co miesiąc czynsz za wynajem.

– Widzę, kochanie, dasz sobie radę! – zawołałam i uniosłam kciuki.

Mimo dwóch kręgów między nami poczułam, że zaczyna budować wokół siebie warstwy magii, szykując się do rzucenia zaklęcia. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu pewnie nie zwróciłabym na to uwagi, ale odkąd z nami zamieszkała, stałam się bardziej wyczulona. Salcia miała za sobą ciężkie dzieciństwo i często dręczyły ją koszmary, a wówczas zdarzało się jej sięgać nieświadomie po magię, co prowadziło zwykle do odpalenia czujników dymu albo do pożaru. Moja magia zrobiła się wrażliwsza na najmniejsze przejawy jej magii – wyłapywałam je nawet przez sen.

Salcia spojrzała na Mirona, jakby potrzebowała jego uśmiechu na zachętę. Kiwnął jej głową i uniosł wysoko ręce. Brakowało mu tylko pomponów.

Magia wokół mojej córki narastała... Było jej mnóstwo, zbyt dużo! Mój instynkt zawył niczym alarm przeciwpożarowy, całe ciało pokryła mi gęsia skórka. Choć może to tylko z powodu zimna? Salcia się uśmiechała, pewna siebie. Miron, stojący zaraz przy granicy jej kręgu treningowego, promieniował dumą. Pewnie przesadzam, pomyślałam, w końcu to nie ich pierwsze rodeo...

Powietrze wewnątrz kręgu zaczęło pełgać, gdy jego temperatura wzrastała, a z kocich łbów na podwórku gwałtownie odparowywały kałuże. Pierwsze płomyki prześlizgiwały się po ramionach i burzy rudych loków dziewczynki jak ruchliwe jaszczurki. Rosły, rozpełzały się, aż stworzyły wokół Salci ognistą kulę, powiększającą się niczym pompowany balon. Zza półprzejrystej płomiennej zasłony widziałam skupioną minę małej. Rozcapierzone palce Salci pokryły czerwone i złote łuski, po kilku sekundach kolory obejmowały każdy centymetr odsłoniętej skóry.

Dziewczynka znajdowała się teraz wewnątrz ognistego kokonu. Taki był sens ćwiczonego przez nich najsilniejszego zaklęcia ochronnego, jakim dysponowała magia jej rodzaju. Cel był jeden: otoczyć salamandrę bezpieczną kulą ognia, by nikt nie mógł jej zrobić krzywdy. Odkąd Salcia przeczytała o jego istnieniu, chciała się go nauczyć, a ja starałam się nie myśleć, że to przez jej przeszłość – była w niewoli u podłego człowieka, który wykorzystywał ją jak zapalniczkę do podpalania ludzkich domów.

Radziła sobie naprawdę dobrze! Ognista kula wypełniała już całutki krąg treningowy, lśniła, wibrująca i żywa. Teraz sztuka polegała na tym, by Salcia zdołała utrzymać ją w takim stanie przez kilka minut.

I wierzcie, była na dobrej drodze. Za to, co się wydarzyło potem, winię listopad. Nic dobrego nie dzieje się w listopadzie, tej ponurej plombie między cudowną jesienią z Halloween a urokliwym grudniem z rodzinnymi świętami, choinką, Szczodrymi Godami i świętem Jul. Listopad nie ma do zaoferowania nic poza pluchą, zimnem i katar. I właśnie katar leżał u źródła katastrofy.

W sekundzie, w której Salcia głośno kichnęła, jej kontrola nad ogniem prysła jak bańka mydlana. Podobnie, tylko z dużo groźniejszym skutkiem, pękła ognista kula. Padłam na kolana i skuliłam się blisko ziemi, zapominając na chwilę, że jestem w kręgu i teoretycznie nic mi nie grozi. Nie miałam odwagi stawić czoła morzu ognia, które przepłynąwszy nad kręgiem treningowym Salci, rozlało się po całym podwórku i liznęło ściany kamienicy. Wszystkie kałuże wyparowały w ułamku chwili, zmieniając mikroklimat okolicy na duszny i wilgotny. Nagle nie potrzebowałam już kurtki – powietrze prawie skwierczało jak w środku sierpnia.

Ostrożnie odsłoniłam twarz i głowę, które wcześniej odruchowo otuliłam ramionami. Salcia stała z nieszczęśliwą miną, zaczerwieniona i zawstydzona. Po ogniu nie było już śladu, mój pyr wszystko wchłonął, a teraz upewniał się, czy metalowe kosze na śmieci stojące w rogach podwórka nie uległy zniszczeniu. Po tym, jak po jednym z treningów z plastikowych zostały pomarszczone purchawki, zainwestowałam w solidne, przemysłowe blaszaki.

– Wszyscy cali? – zawołałam.

– Cali – siąpnęła nosem Salcia. – A tak mi dobrze szło! To przez katar! Zdekoncentrował mnie! Możemy to powtórzyć, już bez kichania? – zapytała Mirona błagalnie.

– Dziś raczej nie – odparł i wskazał głową okno na pierwszym piętrze. Firanka wciąż się poruszała. Nasz ostatni sąsiad na klatce musiał jeszcze chwilę temu wyglądać na zewnątrz, ale najwyraźniej nie miał ochoty z nami gadać.

Westchnęłam. Tłumaczyłam mu wiele razy, że przy Mironie nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, a ewentualne szkody niezwłocznie pokryję. Wyjaśniałam, że mała musi ćwiczyć i uczyć się kontroli, aby nie stanowić zagrożenia dla siebie i innych, bo salamandry są zbyt potężne i niebezpieczne.

Salcia zwiesiła nos na kwintę, ale zanim zaczęłam ją pocieszać, odezwała się moja komórka. Dzwoniła Katia.

– Dora, mamy tu sytuację, musisz przyjechać – usłyszałam jej przyciszony do szeptu głos. – Jestem na cmentarzu centralnym, najbliżej bramy od Branickiej. Trwa pogrzeb. I właśnie wpadł na niego jakiś facet z bronią, twierdzi, że jest Namiestnikiem, i wygraża synowi zmarłego.

– Zaraz tam będę. Jesteś bezpieczna? – zapytałam, biegnąc do mieszkania po kurtkę, kluczyki do auta i broń.

– Wszyscy się kryją za nagrobkami, ja siedzę w grobowcu Janickich, więc nic mi nie będzie. Myślałam, żeby na niego poszczuć zombie, ale to może być za wiele dla ludzi zgromadzonych na pogrzebie. Broń palna chyba budzi mniejsze przerażenie niż nieumarli.

– Będę za siedem minut – zapewniłam, pędząc na drugie piętro. Złapałam swoje rzeczy i ruszyłam z powrotem na dół, przeskakując po dwa, trzy stopnie.

– Weź spluwę, która robi wrażenie, ten tu ma strzelbę – powiedziała i się rozłączyła.

Dopałam auta. Miron z Salcią stali na chodniku, jakby czekali na wyjaśnienie. Przez uchylone okno zawołałam:

– Katia ma chryję na cmentarzu! – I już jechałam na Branicką.

*

Nekropolia była stara i rozległa. Przez ostatnie trzysta lat powiększała się wielokrotnie, za każdym razem dochodziły nowe ogrodzenia i nowa brama. Ta od Branickiej prowadziła do nowszej części cmentarza, będącej ciągle w użyciu. Zaparkowałam przy bocznej furtce, skąd miałam najbliżej do krypty Janickich. Wiedziałam, gdzie się ona znajduje, wyłącznie dlatego, że

byłam tu z Katią późnym latem jako wsparcie. Dwóch durniów pomyliło stulecia i zabawiało się w hieny cmentarne, zakłócając spokój zmarłym. Katia takie rzeczy traktuje osobiście i zastawiła na nich pułapkę. Mnie potrzebowała jako hamulca i ostoi rozsądku (o ironio), na wypadek gdyby ją poniosło.

Kiedy dwóch łachmytów wrzeszczało z dna osypującego się grobu, Katia pokazała mi najpiękniejsze, jej zdaniem, dzieło sztuki na tej nekropolii – okazały grobowiec z czerwonej cegły, ze stojącymi na każdym z wierzchołków posągami archaniołów i misternie kutymi wrotami z ikonografią w duchu *memento mori* – od klepsydr przez złamane kolumny, zwiędłe róże, zmierzchnice trupie główki i sowy po makówkowe wieńce i liście paproci. Latem, o świcie, grobowiec wyglądał imponująco, w listopadzie przypominał element scenografii horroru.

Między pomnikami pełzała wilgotna mgła, a przemoczone liście mlaskały pod butami. Starodrzew, głównie dęby i wiązy, wyciągał w ołowiane niebo rozcapierzone, nagie gałęzie jak w gotyckiej opowieści. Liczne posągi aniołów, archaniołów i cherubinków wydawały się wodzić za mną wzrokiem, jak matki boskie ze staroruskich ikon. Przeszedł mnie dreszcz. Nigdy nie bałam się cmentarzy. Mając za przyjaciół nekromantkę i szamana, bywałam na nich nader często, ale niewiele rzeczy przygnębia bardziej niż cmentarz w listopadzie, zimny, mokry i nierozświetlony już ani jednym zniczem. Może nie miałabym dreszczy, gdybym założyła kurtkę, cholera jasna.

Wkrótce dobiegł mnie podniesiony męski głos. W miarę zbliżania się coraz lepiej słyszałam, co awanturnik wykrzykiwał. Najwyraźniej uważał syna zmarłego za mordercę, pedofila i degenerata, który uniknął kary, a teraz śmie wracać na miejsce zbrodni, do tego miasta, jakby myślał, że nikt tu już nie pamięta o jego postępkach. Swoją tyradę obficie okraszał przekleństwami i wykrzyknikami.

Ostrożnie przekradałam się między nagrobkami, licząc na element zaskoczenia. Zza pomników i grobowców dyskretnie machali do mnie zdenerwowani uczestnicy pogrzebu, a ja uspokajająco kiwałam im głową. Miałam nadzieję, że obejdzie się bez strzelaniny, mimo to przezornie wyciągnęłam z kabury glocka.

Facet nie wyglądał najlepiej. Na oko dobrze po siedemdziesiątce, z niezdrowymi wypiekami przechodzącymi w plamy na łysej czaszce, raczej chudy, nie licząc wypychającego kurtkę brzucha. Krążył nerwowo

wokół dołu, w którym pracownicy domu pogrzebowego złożyli trumnę. Wymachiwał strzelbą w stronę dwójki żałobników, którzy nie mogli się ukryć. Jednym z nich był mężczyzna po czterdziestce, ubrany w pogrzebową czerń, z którą ostro kontrastowała twarz biała jak papier. Za nim, wyprostowana jak struna, stała kobieta w grafitowym wełnianym płaszczu. Miała jasne, starannie upięte włosy, a lodowo błękitne oczy ciskały teraz gromy w kierunku faceta ze strzelbą.

Przesunęłam się między nagrobkami tak, by napastnik mnie zobaczył. Jeśli dobrze czytałam mowę jego ciała, paliwo wkurwienia było już na wyczerpaniu i sam nie wiedział, co dalej. Gdyby chciał pociągnąć za spust, pewnie zrobiłby to dobrą chwilę temu.

– Natychmiast opuść broń! – krzyknęłam ostrym, policyjnym tonem. Facet drgnął i zaskoczony spojrział w moim kierunku. Prosto w wylot wymierzonej w siebie lufy.

– Ma pan trzy sekundy, by skończyć to szaleństwo, albo ja skończę z panem – powiedziałam. – Dół już wykopany, na pewno się pan zmieści – dodałam i ponaglająco machnęłam glockiem.

– Kim ty, u diabła, jesteś? – warknął, ale nieznacznie opuścił strzelbę.

Gdyby teraz strzelił, trafiłby mężczyznę w czerni w rzepkę, a nie w mostek. Wysunęłam się zza nagrobka, odciągając uwagę napastnika od pary stojącej po drugiej stronie dołu.

– Jestem Namiestniczką tego miasta, odłóż broń albo strzelę. Nie znoszę pisać raportów ze strzelanin ze skutkiem śmiertelnym, ale dla ciebie się poświęcę.

– Zatrudnili Namiestniczkę? – zapytał takim tonem, jakby właśnie usłyszał, że Starszyzna powierzyła to stanowisko striptizerce.

– Nie będę powtarzać – warknęłam i zrobiłam jeszcze krok w jego stronę, wciąż celując mu w pierś.

– Nie wiesz, co się tu dzieje, nie wiesz, kim jest ten facet... – próbował tłumaczyć.

– Możesz mi wszystko opowiedzieć, kiedy odłożysz broń. Albo cię zastrzelę i nic już nie powiesz – naciskałam. – Tu jest miasto prawa, a nie durnych samosądów i wpadania na pogrzeby ze strzelbą! – dodałam twardo. Miałam nadzieję, że Katia dobrze wcześniej usłyszała i stary faktycznie pełnił tę samą funkcję, co ja dziś. Może nawet zostało mu w sercu odrobinę szacunku do prawa.

Sapnął, zmierzył mnie jeszcze jednym wrogim spojrzeniem, ale odłożył strzelbę na pobliski pomnik. Szybko podeszłam i ją zabezpieczyłam, wyciągając z komory dwa naboje.

Usłyszałam głębokie westchnienie pary przy grobie i osób poukrywanych za pomnikami. Zza jednego z nich wyjrzał wystraszony ksiądz.

– A teraz wynośmy się stąd, już wystarczająco zakłóciłeś ostatnie pożegnanie – zarządziłam i pchnęłam gościa w stronę ścieżki prowadzącej poza cmentarz.

Odwróciłam się jeszcze w stronę syna zmarłego i powiedziałam:

– Proszę przyjąć najszczerze kondolencje. Kiedy będzie pan gotowy, proszę o kontakt. Spiszę zeznania i sporządzę akt oskarżenia o napaść.

– Chcę zapomnieć o tym, co się tu wydarzyło, nie będę wnosił oskarżenia. Zresztą wyjeżdżam, nie byłoby mnie na ewentualnej rozprawie. – Słowa brzmiały głucho, jakby w mężczyźnie zostało niewiele emocji. – Proszę tylko dopilnować, by nas więcej nie niepokoił.

Znów pchnęłam faceta, który zaparł się piętami o ścieżkę, jakby zamierzał dyskutować z tym, że ofiara jego szykan właśnie wręczyła mu przepustkę na wolność.

– Nie testuj mojej cierpliwości – warknęłam. – Nie jestem z niej znana.

Im bardziej oddalaliśmy się od miejsca zdarzenia, tym mniej chętnie szedł. W końcu musiałam go ciągnąć za ramię i grozić zakuciem w kajdanki.

Katia czekała na mnie przy grobowcu Janickich, otrzepując płaszczyk z pajęczyn.

– Dzięki, że tak szybko przyjechałaś – powiedziała.

– Zawsze do usług – zapewniłam.

Wyprowadziłam awanturnika na parking. Obok mojego auta stało kilka samochodów.

– Któryś jest twój? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Przyszedłeś pieszo? Ze strzelbą? I nikogo po drodze to nie zdziwiło? – zapytałam zirytowana.

Wzruszył ramionami.

– Mam rower – mruknął i wskazał na starego jak on rzęcha opartego o cmentarny mur.

Otworzyłam bagażnik ravnki.

– Pakuj go tutaj.

– Gdzie mnie zabierasz?

– To zależy od tego, jak przebiegnie rozmowa w najbliższych minutach. Może odwiezie cię do domu. A może zamknę w areszcie na kilka nocy, jeśli nie masz dość rozumu, by mnie przekonać, że to jednorazowy wyskok.

– W Thornie nie ma aresztu – powiedział pewnym tonem.

– A przeciwnie, jest. Co prawda brakuje mu jeszcze ogrzewania, ale same kraty ci wystarczą. Zamknę cię, wyrzucę klucz i pies z kulawą nogą się o ciebie nie upomni. Masz psa? – zapytałam spokojnie.

Skinął głową.

– Więc przez twoją głupotę ktoś będzie tęsknił i głodował – powiedziałam.

Włożyłam strzelbę do bagażnika, potem upchnęłam w nim rower. Schowałam pistolet do kabury i kiwnęłam idiotcie, żeby usiadł na miejscu pasażera.

W aucie od razu zrobiło mi się cieplej. Wybiegając z domu, złapałam kurtkę, ale w pośpiechu nie zdążyłam jej założyć, więc teraz ogrzewała tylne siedzenie.

Chwilę bębniłam palcami o kierownicę, czekając, aż facet wgramoli się na siedzenie i zapnie pasy. Bez wątpienia zasłużył na aresztowanie, ale byłam miękka i wzbudził moje współczucie. Był stary i cholernie zdesperowany. Do tego poruszał się z trudem, postękiwał. Zrobiło mi się go żal. Poza tym ciekawiło mnie, o co poszło. Może po prostu był jednym z wielu szaleńców zamieszkujących Thorn, a może w rzucanych przez niego oskarżeniach kryło się ziarno prawdy. A wtedy musiałabym się zająć tą sprawą.

– I co, teraz mnie pobijesz, żeby wycisnąć zeznania? – zapytał, zapadając się w fotelu i wielkiej, powycieranej na łokciach i kieszeniach kurtce.

– Nie kuś – burknęłam. – Gdzie mieszkasz?

Podał mi adres tuż pod miastem. Ruszyłam, pewna, że jeszcze dziś poznam całą historię. Wtedy podejmę decyzję, co zrobić z tym głupcem.

*

Skupiłam się na prowadzeniu auta mokrą, śliską drogą. Drzewa nachylały się nad wąską ulicą wijącą się między naturalnymi wąwozami,

nieremontowaną od pięćdziesięciu lat. Musiałam trzymać się środka, bo pobocze było dziurawe jak ser szwajcarski.

Stary mieszkał w niewielkiej wiosce parę kilometrów pod miastem. Thorn pewnie dawno by ją wchłonął, gdyby nie była prawie całkowicie opuszczona. Większość domków wyglądała jak puste skorupy z zapadniętymi dachami, w ledwie trzech oknach zauważyłam światło. Lampy uliczne były martwe – widocznie uznano, że dla tych nielicznych mieszkańców nie opłaca się ich zapalać.

Z każdą minutą jazdy mój pasażer wyglądał gorzej, jakby wraz ze spadkiem adrenaliny opuszczały go siły życiowe. Wciąż zapadnięty w fotelu, wpatrywał się w widok za szybą szklistymi jak w gorąccze oczami. W końcu, zrezygnowany, machnął dłonią, dając znak, żebym skrzyła w prawo. Po dwudziestu metrach jazdy krętą szutrówką zatrzymałam się przed chatą. Wyglądała jak stare czworaki, niska, długa, przysadzista, przytłoczona dwuspadowym dachem uginającym się pod ciężarem dachówek i porastającego je mchu. Wyskoczyłam z auta i poszłam otworzyć drzwi staremu. Z trudem gramolił się na zewnątrz. Jakim cudem pokonał drogę do miasta na rowerze, uzbrojony w strzelbę?

Otworzył usta. Wiedziałam, co zamierza powiedzieć, więc uprzedziłam go:

– Nie odjadę, dopóki mi wszystkiego nie opowiesz.

– To nie jest najlepszy dzień – przyznał, gdy wreszcie stanął obok samochodu.

– To ty go wybrałeś, nie ja – odparłam i zamknęłam auto.

Wyprzedziłam go w drodze do drzwi. Nie były zamknięte na klucz, klamka ustąpiła pod naciskiem. Weszłam do środka, znalazłam włączniki światła i klepnęłam wszystkie. Po zagraconym pomieszczeniu rozlało się żółte światło pochodzące z trzech gołych żarówek w drewnianym żyrandolu. Wszędzie wały się pudła, skrzynki, walizki. Spoza nich ledwie było widać wąskie łóżko z rozgrzebaną pościelą.

– Nie tam – mruknął i poprowadził mnie ciemnym korytarzykiem wiodącym do kuchni.

Tu przynajmniej panował większy porządek, bo na podłodze nie wałało się zbyt wiele rzeczy, ale na ścianach w różnych miejscach z trudem dało się dostrzec żółtą farbę wyzierającą spod warstw kurzu, tłuszczu i sadzy z kuchni węglowej. Pomieszczenie było przechodnie. Za półścianką znajdował się niewielki pokój z musztardową wersalką i kineskopowym

telewizorem stojącym na niskiej ławie. Na resztę umeblowania składał się fotel i kredens wypełniony szklanymi misami, kryształowymi kieliszkami i zastawą z żółtymi filiżaneczkami. Cały wystrój miał w sobie coś kobiecego, więc czekałam, aż pojawi się żona faceta.

– To dom mojej zmarłej matki – powiedział cicho.

– Od dawna nie żyje? – zapytałam, zerkając na pudła przewodzkowe w pokoju obok.

– Od kilku lat. Nie było sensu wracać do miasta – wyjaśnił i wzruszył ramionami. – Muszę wziąć lekarstwo, potem wszystko ci opowiem.

Z każdą chwilą nabierałam pewności, że to będzie cholernie przygnębiająca historia. Pasująca nastrojem do listopada.

*

Gdy nalewał wody do szklanki, zauważyłam na stole małą tackę z lekarami. Odruchowo przeczytałam nazwy na opakowaniach, ale nie znałam żadnej z nich. Gdyby był ze mną Witkacy, pewnie by je rozpoznał i wydedukował, co facetowi dolega. Mnie pozostawały domysły. Czy stary umierał i dlatego odwalił ten cyrk na cmentarzu? Ostatni numer, nim sam legnie pod brzošką?

Podszedł do stołu, ostrożnie niosąc szklankę. Dłonie drżały mu tak, że choć napełnił ją ledwie w dwóch trzecich, woda rozchlapywała mu się na rękę. Wycisnął z blistra dwie tabletki, z jednej z buteleczek wyjął białoniebieską kapsułkę i połknął je, popijając obficie. Przymknął oczy, opierając się ciężko o stół, jakby czekał, aż leki zaczną działać. W końcu westchnął i powiedział:

– Tam będzie wygodniej, muszę usiąść.

Poszedł do pokoju obok, opadł na wersalkę i zagapił się na ścianę nad telewizorem. Zapaliłam dodatkową lampę, by lepiej widzieć to, co tam wisiało.

Czarno-białe zdjęcia mężczyzny. Bez trudu rozpoznałam w nim syna zmarłego z pogrzebu, choć odkąd je zrobiono, musiało minąć ponad dwadzieścia lat. Był szczuplejszy, miał więcej włosów, ale przystojna twarz, duże oczy i mocno wykrojone, niemal dziewczęce usta niewiele się zmieniły. Może najbardziej wyraz oczu – na fotografiach nie widziałam tej rezygnacji i przygnębienia, które dostrzegłam dziś. Przymknęłam powieki. Tak, w jego spojrzeniu było coś jeszcze. Wstyd. Czy przed pozostałymi

uczestnikami pogrzebu, przed zmarłym ojcem, którego pochówek został zakłócony, czy też podgryzało go coś jeszcze innego? Pod zdjęciem, bezpośrednio na ścianie, napisano mazakiem: „Szczepan Dankowski”. Wokół przyklejono osiem kolorowych fotografii chłopców w wieku wczesnoszkolnym, w wieku gdzieś od siedmiu do dziesięciu lat. Poniżej widniały imiona i nazwiska: Staszek Modrzejewski, Marcin Błaszowski, Piotruś Zdziechowski.

Ile wieczorów sprawca dzisiejszego zamieszania spędził na tej wersalce, przyglądając się tym chłopcom i ładując się złością na Dankowskiego? Musiał być przekonany o jego winie, bo brakowało zdjęć innych podejrzanych.

Opadłam na twarde fotel, a wokół mnie wzniósł się obłok kurzu.

– Równie dobrze możesz mi o tym wszystkim opowiedzieć, bo nigdzie się nie wybieram – oświadczyłam.

Skinął głową. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i potarł czaszkę z resztkami delikatnych jak pierze włosów.

– Wtedy też był listopad... – zaczął.

*

Zanim skończył, za oknem zrobiło się ciemno. Może mówiłby dłużej, ale jego głos stawał się coraz cichszy, nieco bełkotliwy, aż nagle mój gospodarz zasnął w pół słowa.

Sfotografowałam zdjęcia na ścianie, a potem dłuższą chwilę siedziałam w fotelu, patrząc na śpiącego. Coś w jego twarzy się wygładziło, może ból ustąpił albo wygadanie się przyniosło mu trochę ulgi? Opowieść była paskudna. Takie historie każdemu staremu glinie latami leżą na wątrobie. Sprawa, która pożera życie, doprowadza do rozwodu, na dno kieliszka. Każdy z nas, policjantów, miał jakiegoś białego wieloryba, którego bezskutecznie ścigał przez lata. Sprawę zawsze nierozwiązaną, więc nigdy niezamkniętą. Wracającą w koszmarach, a za dnia jątrzącą brakiem sprawiedliwości. Nie każdą da się rozwiązać, ale ta... Cholera, współczułam mu. Nie mogła się skończyć gorzej, nie było żadnej nadziei, żadnej satysfakcji, żadnej pociechy dla rodzin ofiar. Biały wieloryb z horrorów.

Przykryłam starego szydełkową kapą i ułożyłam jego nogi na wersalce, by spało mu się nieco wygodniej. A potem zostawiłam go w domu kobiety,

która od dawna nie żyła. Nie miałam pojęcia, jak długo będzie żył on, Ludwik Wroński, ale wiedziałam, że w jakiś dziwaczny sposób jego wieloryb stał się też moim. Jakby przekazał mi go w spadku jeszcze za życia.

Wracałam do domu zmęczona, głodna i wytrącona z równowagi. Potrzebowałam odpowiedzi na wiele pytań. Dla niego i dla siebie.

Jeżeli Dankowski mówił prawdę i zamierzał wkrótce opuścić Thorn, musiałam działać szybko. Może dobrze, pomyślałam, przynajmniej mam deadline. Nie mogłam pozwolić, by i mnie ta sprawa zżarła dwadzieścia dwa lata. Musiałam ją zamknąć. Najlepiej jeszcze za życia mojego poprzednika na namiestnikowskim stołku.

*

W mieszkaniu czekał na mnie komitet powitalny z zupą soczewicową i gorącą czekoladą z piankami. A to oznaczało, że jest temat do przegadania. Przebrałam się w ciepłe dresy i wróciłam do kuchni, zastanawiając się, o co może chodzić. Salcia była zdenerwowana, a Miron posyłał mi uspokajające spojrzenia.

– Zmalowaliście coś pod moją nieobecność? – zapytałam lekkim tonem, a w duchu szykowałam się na rozmowę z panem Cieślikiem, sąsiadem z dołu. Kilka razy zaczepiał mnie na schodach. Przestał, gdy po tym, jak użył wobec mojego dziecka cholernie rasistowskiego wyrażenia, bez skrupułów kazałam mu się odpiardolić i uważać na język, bo może go stracić.

– Pan Cieślik się wyniósł – oznajmiła Salcia, wyłamując palce.

Byłam zaskoczona.

– Tak na stałe? – zapytałam.

Skinęli głowami jak dwa pieski.

– To moja wina – wyszeptała dziewczynka. – Gdybym nie była salamandrą...

– Nie mów dalej, kochana, zanim palniesz głupstwo. Pan Cieślik był uciążliwym sąsiadem na długo przed tym, jak z nami zamieszkałaś. My zresztą też nie jesteśmy bezproblemowymi sąsiadami i widać nie potrafił sobie z tym poradzić – dodałam sprawiedliwie.

– Pamiętasz, Dora, jak się wściekł, kiedy wilki włamały się tutaj i próbowały cię zabić? – zapytał Miron, pocierając usta tak, by ukryć

uśmieszek.

– Martwił się? – zapytała moja córka, naiwne dzieciątko.

– Za głośno nie dawałam się zabić – burknęłam. – A potem za głośno usuwaliśmy ciała napastników z mieszkania. Taki typ. Ach, i oczywiście nie wezwał pomocy, po prostu rozeźlił go rumor, bo oglądał teleturniej.

– Nie będę za nim tęsknił – przyznał Miron.

– Za to Roman pewnie się wkurzy – mruknęłam.

Wampir był właścicielem całej kamienicy poza moim mieszkaniem, które dostałam od Starszyny w ramach nagrody za rozwiązanie karkołomnej sprawy. Wtedy nie wiedziałam, że tak naprawdę to Roman mi je dał. Starannie ukrył tę informację, spodziewając się, że mogę mieć coś przeciwko. Nie miałabym. Potrzebowałam mieszkania w Thornie, darowanym metrom kwadratowym nie zagłąda się w księgi wieczyste. Może gdyby wcześniej należało do Gardiasza, najmniej lubianego przeze mnie członka Starszyny, mogłabym mieć z tym większy problem, ale Roman był w porządku.

Gorzej, że od tych kilku lat moja klatka pustoszała. Na początku tylko dwa mieszkania na parterze pozostawały niezamieszkane. Podobno mieściła się tam kiedyś redakcja pisma czy coś w tym stylu. Pozostałe lokale były wynajęte. Przez lata lokatorzy się zmieniali, co niekiedy spletało się z jakimiś wydarzeniami z mojego życia. Na przykład z atakiem wilków czy wizytą archaniołów, po której cała kamienica kilka tygodni promieniowała magią pierzastych, albo odwiedzinami mojej praprababki, bogini wilków, której wizyta całkowicie rozstroiła pęcherze psów nowej sąsiadki z piętra. Ciągłe ktoś się wyprowadzał, ktoś wprowadzał, czasem nie zdążyłam nawet zapamiętać nazwiska czy twarzy, a już na to miejsce pojawiał się ktoś nowy. Słowem – rotacja jak na kasie w Biedronce. Zwykle byłam zbyt zajęta powstrzymywaniem tej czy innej apokalipsy lub wymierzaniem sprawiedliwości, by sobie zawracać tym głowę. Odkąd mieszkała z nami Salcia, zwracałam dużo większą uwagę na to, kogo może spotkać na schodach, i chyba w pełni dotarło do mnie, jak uciążliwa jest ta sytuacja dla Romana. Był biznesmenem, który teraz miał cholernie wiele pustych mieszkań i niedobory lokatorskie. Musiałam coś wymyślić, zanim problem wybuchnie mi w twarz.

– Może po prostu poszukamy sąsiadów podobnych do nas – zaproponował Miron.

Spojrzałam na niego i parsknęłam. Diabeł, wiedźma Namiestniczka i salamandra – tak, na pewno znajdziemy kogoś do kompletu.

– Ale nie tylko o tym chcemy porozmawiać – powiedziała Salcia ostrożnie.

– Uciekacie do cyrku i zostawiacie mnie, bo nie umiem rzucać kulkami ognia? – zapytałam, próbując ją rozbawić, by się tak bardzo nie przejmowała.

– Nie całkiem – bąknęła i spojrzała na Mirona, jakby teraz on miał przejąć pałeczkę.

Przygotowali scenariusz rozmowy, pięknie, czyli spodziewali się mojego oporu.

– Co ty na to, żebyśmy się na jakiś czas przenieśli do piekła? – rzucił lekkim tonem. – Do egzaminów Salci zostało kilka tygodni, tak sobie pomyślałem, że w mojej starej sali do ćwiczeń będzie mogła trenować do woli.

– A to nie jest teraz magazynek Irminy? – zapytałam, pocierając powieki.

Zaczynało mnie dopadać zmęczenie z całego dnia.

– Uprzątnęła wszystko, nawet pomalowała ściany! Wszystko jest gotowe! – Salcia nie zdołała powstrzymać ekscytacji.

– To znakomity pomysł, jeśli tego właśnie chcecie – zapewniłam. – Luc się ucieszy, gdy będzie miał was u siebie.

– Możesz jechać z nami – zaproponowała.

– Mam robotę, kochanie, ale będę was odwiedzać możliwie często – obiecałam.

– I nie będzie ci tu smutno całkiem samej? – zapytała, po czym podeszła i mocno mnie przytuliła.

– Dam sobie radę – zapewniłam – jestem dużą dziewczynką. Będę tęskniła jak wściekła, ale tęsknię za wami, nawet kiedy jestem w Szatańskim Pierwiosnku czy w komisariacie – dodałam, wtulając twarz w jej rude kędziory.

Pachniała truskawkowym szamponem i dymem. Przymknęłam oczy i przez chwilę wdychałam ten zapach.

– Poza tym będziecie mogli ćwiczyć do oporu i niczyje firanki nie będą w niebezpieczeństwie – ciągnęłam. – Nie będziesz musiała czekać na deszczowe dni. To trudny egzamin i chcę, żebyś podeszła do niego pewna i spokojna. Tylko nie daj się cioci Irminie, potrafi być podła. A porcje, jakie serwuje, są odpowiednie dla dorastających diabląt, nie normalnych

stworzeń, jak ja czy ty. Zjadaj więc dokładnie tyle, ile potrzebujesz, a gdy wspomni coś o wymieceniu talerza do czysta, powiedz, że może to ze mną przegadać w wolnej chwili, jasne?

Salcia skinęła głową i uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

– Nie złamiesz mi serduszka, wyjeżdżając na trochę do dziadka – zapewniłam i potarłam nosem o jej nos. – A ja przez ten czas nie zapomnę ani ciebie, ani tego, że jesteś moją córeczką. Nawet gdybym miała całkowitą amnezję, moje serce będzie cię pamiętało.

Zaśmiała się, ale przyłgnęła do mnie jeszcze mocniej. Wszyscy dźwigamy jakiś bagaż. Moja mała miała swój i dzięki rozmowom z jej terapeutką lepiej rozumiałam, że czasami warto pewne rzeczy mówić wprost, by rozbroić małe i duże strachy.

– Spakowałaś się już? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– Nie wiedziałam, co wziąć, bo wszystko się chyba nie zmieści – przyznała.

– Poważne wybory. Zrobimy to razem, co ty na to? – zaproponowałam.

Przez następne czterdzieści minut pakowałyśmy do walizki wszystko, czego może potrzebować nastolatek podczas kilkutygodniowego pobytu poza domem. Gdy zaczęła układać na łóżku stosy rzeczy, jej zdaniem absolutnie niezbędnych, zastanawiałam się, czy nie będzie konieczne wynajęcie tira, ale drogą negocjacji zeszłyśmy do jednej wielkiej walizy. Zamknęła się dopiero, gdy mała usiadła na klapie, a ja stoczyłam walkę z suwakiem.

Decyzję, które książki i płyty zabierze do bagażu podręcznego, Salcia miała podjąć sama, poszłam więc do salonu, gdzie czekał Miron. Padłam na kanapę obok niego, a ten szczywany lis ułożył moje stopy na swoich kolanach i zaczął je masować. Na granicy nirwany usłyszałam:

– Co to za sprawa?

– Stara i brzydka. Zniknęło trzech chłopców, nigdy nie odnaleziono ciał. Mój poprzednik miał mocnego podejrzanego, ale nie zdołał doprowadzić do aresztowania i skazania. I chyba nie daje mu to spokoju. Teraz tamten wrócił do miasta i staruszkowi odbiło. Myślę, że umiera i nie chce zabierać sprawy do grobu – powiedziałam cicho.

– Nie podoba mi się, że zostajesz tu sama – przyznał.

– Wiesz, że mam pracę. Dni zlewają mi się w jedną masę, nie zauważę, jak długo was nie ma – odparłam i uśmiechnęłam się blado.

– Będziesz o siebie dbać, jeść i spać jak człowiek? – zapytał.

– Nie jestem dzieckiem i potrafię się o siebie zatroszczyć, Miron. Robiłam to, zanim jeszcze pojawiliście się w moim życiu – przypomniałam.

– Ledwo – mruknął. – Dbaj bardziej niż wtedy.

Rozmawialiśmy do północy, a potem po prostu odpłynęłam na kanapie. Obudziłam się w łóżku, co znaczyło, że Miron mnie tam przeniósł, a ja nawet tego nie zarejestrowałam. Jeśli to nie jest dowód przemęczenia, to nie wiem, co nim jest. Może powinnam dokumentować fotograficznie takie chwile, a potem podrzucić folder ze zdjęciami Romanowi, razem z wnioskiem o urlop? Na pewno byłby zachwycony.

19 listopada

Wybyli zaraz po śniadaniu. Odprowadziłam ich do piekielnej bramy, a potem, przybita, ruszyłam z powrotem do mieszkania. Bez nich było puste i średnio kuszące. Wyobraźnia podsuwała mi wspomnienia z domu Ludwika Wrońskiego, jakby sam wyjazd Mirona i Salci kierował mnie na niewłaściwe tory.

Za dwie godziny czekało mnie w komisariacie spotkanie z majstrem. Akurat dość czasu, by znaleźć stare akta sprawy, jeśli będę mieć choć trochę szczęścia.

*

Jeśli czegoś nienawidziłam bardziej niż listopada, to remontów. Zwłaszcza takich, które się wloką bez końca, codziennie poszerza się ich zakres, a budżet puchnie z każdym oddechem majstra. A tak właśnie było z remontem budynku, w którym miała się mieścić nowa na mapie Thornu komenda policji.

Po wydarzeniach z Latarnikiem uznałam, że czas wprowadzić Thorn w dwudziesty pierwszy wiek. Jednoosobowa funkcja Namiestnika – niczym szeryfa froterującego uliczkę małego miasteczka na Dzikim Zachodzie – sięgała korzeniami siedemnastego wieku, a obecną formę przybrała w dziewiętnastym. Od tego czasu miasto urosło, ludzi przybyło, zbrodni też, a dziewiętnastowieczne podejście do prawa – najpierw zastrzel, potem pytaj – zupełnie się nie sprawdzało. Potrzebne były ekipa z prawdziwego zdarzenia, a także zaplecze kryminalistyczne i administracyjne. Nie mogłam liczyć, że lokalny książę wampirów przechowa mi podejrzanego

w piwnicy albo załatwi transport do twierdzy, czyli dziury w ziemi na Rubieżach, do której niegdyś wrzucało się przestępców, by o nich zapomnieć. Dawniej może to wystarczało, dziś jednak oczekiwałam, że cela w areszcie będzie miała sanitariaty, a piwnice przeznaczone na pomieszczenia dla medycy sądowej, w tym chłodnie i gabinet koronera, będą wyposażone we wszystko, czego Bogna sobie zażyczy. Właśnie dlatego o dziewiątej, kiedy dotarłam na teren niekończącej się budowy, dorwałam majstra i przyparłam go do muru, pytając, czemu, do cholery, w kamienicy nadal nie ma prądu, choć wedle planu robót miał być ponad miesiąc temu.

– Dora, Dora, no przecież takie rzeczy trwają, nie pstryknę ci, dziewczyno, palcami, żeby się zaświeciła żaróweczka. Jak będzie, to będzie, ani dnia wcześniej – powiedział, nieznośnie przeciągając samogłoski.

Mogłam przewidzieć, że zatrudnienie wilka z Podlasia wystawi moją cierpliwość na próbę.

Kochałam tamte rejony, cudowne krajobrazy, magię jak bąbelki, ludzi ze złota, tyle że ich alternatywne poczucie czasu doprowadzało mnie do białej gorączki.

– Poza tym, dziewczyno, po co tyle emocji, złość piękności szkodzi. Zrobimy ci to tak, że mucha nie siada, ale nie na wczoraj. – Uśmiechnął się, nie zdając sobie sprawy, jak blisko jestem od wybicia mu zębów. Nie pierwszy raz dawał mi do zrozumienia, że aby traktował mnie i tę robotę poważnie, musiałabym mieć dzyndzel między nogami.

– Słuchaj, Zaleski, bo powtarzać nie będę. Jeśli masz problem z komunikacją ze mną, mogę zadzwonić po Romana. Pogadacie sobie jak facet z facetem, wszystko mu wytłumaczysz. Na przykład to, czemu masz w dupie terminy i dlaczego mu się budżet nie spina. Bo wiesz, że to on podpisuje kwitki wypłaty, nie? Na pewno będzie bardziej wyrozumiały niż ja! Słynie z tego! – warczałam. W gardle narastał mi wkurwiony bulgot.

Moja wilcza strona była równie wkurzona jak ja, choć z innych powodów. Mnie wciąż bardziej chodziło o brak prądu, ją wytrącało z równowagi to, że nasz diabeł i nasze szczeniátko byli daleko i nie mogła ich chronić.

Nie wiem, czy podziałało imię Romana, czy widok moich obłąkanych wilczych ślepi, ale przełknął głośno ślinę i powiedział:

– Kierowniczką się nie denerwuje, wszystko będzie tip-top, jak przywieżą te lodówki, to będziemy podłączać.

– Trzymam cię za słowo, Zaleski – warknęłam i wypuściłam z garści flanelową koszulę, którą miał na sobie. Nawet nie zauważyłam, kiedy go złapałam i docisnęłam do ściany. Wygładziłam materiał na jego piersi i poklepałam, trochę zażenowana. – Nie chcesz budzić bestii – dodałam.

Pokiwał skwapliwie głową.

– Więc kiedy będzie światło? – chciałam wiedzieć.

– Za tydzień?

– Obiecujesz czy pytasz?

– Obiecuję – zapewnił.

Zostawiłam go, lekko wstrząśniętego, i poszłam na piętro. Schody były już stabilne, choć ciągle bez balustrad. Większość pomieszczeń wyglądała nieźle. Mogłam sobie wyobrazić w tej przestrzeni salę narad, pokój dla ekipy, gabinet komendanta... Byłabym jednak spokojniejsza, gdybym miała ludzi, którymi tę przestrzeń wypełnię, bo na razie niespecjalnie się na to zanosilo. Byłam w dupie, jednak wolałam o tym nie myśleć i skupić się na jednym problemie naraz – na przykład na tym, że Zaleski dawno powinien zamówić kable, a ponieważ tego nie zrobił, dziś zapłacimy za nie o czterdzieści trzy procent więcej.

Na końcu korytarza znajdowało się pomieszczenie bez okien, zawałone pudłami i szafkami, których szuflady wypełniały teczki. Można było je nazwać względnie kompletnym archiwum zbrodni w Thornie. Roman pociągnął za parę sznurków i wydobył sporo papierów z archiwum miejskiego, a potem dowiózł pokaźną porcję dokumentów pozostałych po moich dwóch poprzednikach, które dotychczas trzymał na strychu swojego pałacu (nie ufał Katarzynie na tyle, by przechowywać je w kanciapie wyznaczonej na gabinet Namiestnika w budynku Starszyny). Składowałam wszystko w tej klitce, bo była sucha i nie biegły nad nią żadne rury, dokumentom nie groziło więc zalanie. Powinnam je posegregować, a w perspektywie – pewnie zdigitalizować.

W miękkim świetle dwóch lamp kempingowych na baterie zaczęłam przeglądać oznaczenia na meblach i pudłach.

Znalazłam nazwisko Wrońskiego na papierowej taśmie, którą Roman zaplombował potężne szafki z aktami. Wysunęłam głęboką na metr szufladę, spodziewając się porządku alfabetycznego, który pozwoli mi

odnaleźć nazwisko Dankowskiego czy jego ofiar, ale teczki zostały ułożone datami. Bez pomocy ani rusz.

Mogłam pojechać do starego i dopytać go o konkretne daty, może nawet przywieźć go tutaj i poprosić o odszukanie dokumentów, nie ufałam mu jednak na tyle, by pozwolić mu tu buszować jak wiewiórce w orzechach.

Na szczęście znałam kogoś godnego zaufania, kto mógł pamiętać tamtą sprawę.

*

Kiedy dotarłam do pałacu Romana, dochodziła dziesiąta trzydzieści. Gdyby ten gagatek był normalnym wampirem, moja wizyta o tej porze stanowiłaby poważne naruszenie protokołu bezpieczeństwa i Gregor, lokaj wampirzego Księcia, miałby prawo strzelić mi w głowę, gdy tylko przekroczyłabym próg gniazda. Ale na moje szczęście Roman był dziwadłem. Nie miał w zwyczaju sypiać za dnia i chyba w ogóle nie sypiał zbyt wiele. Słońce mu nie szkodziło, za to doskwierająca często nuda sprawiała, że nauczył się poniekąd cenić moje towarzystwo i kilkakrotnie asystował mi w śledztwie. Myślę, że to lubił, choć raczej by się do tego nie przyznał.

Wspięłam się na najwyższe piętro po tajnych schodach, nie chcąc korzystać z windy będącej klaustrofobiczną klatką i otwieraną tylko od zewnątrz. Zastukałam do drzwi apartamentu. Po chwili się otworzyły i stanął w nich Roman, w kaszmirowym swetrze, doskonale skrojonych spodniach z szarej flaneli i skórzanych mokasynach. Jak na księcia wampirów – strój to bardzo nieoficjalny.

– Patrzcie, co kot przywlókł – powiedział na powitanie. – Zamierzasz mnie przeprosić za wypłoszenie kolejnego lokatora?

Zakląłam pod nosem. Temat wisiał w powietrzu, ale miałam nadzieję, że nie poruszy go tak od razu.

– Roman, przysięgam ci, że nie było żadnego niebezpieczeństwa, Miron miał nad wszystkim pełną kontrolę, z małą całą czas przebywali w kręgu. Salcia musi ćwiczyć, także po to, by nie zagrażać innym – tłumaczyłam obronnym tonem.

Machnął ręką i wpuścił mnie do środka.

– Daj spokój, za nim akurat nie będę płakał. Wyjątkowo męczący lokator – stwierdził i wyszczerzył się w uśmiechu. – Zresztą nie

wyprowadził się przez małą. Przeprowadza się pod miasto, do domu wdówki, którą sobie przygruchał.

Zamurowało mnie.

– Pan Cieślik? Mówimy o tym samym facecie? – upewniłam się.

– Pod osiemdziesiątkę, fizjonomia bękarta trolla i stracha na wróble, jędzowaty charakter i wieczne pretensje do świata, ten pan Cieślik. Widać jest nadzieja dla nas wszystkich – podsumował.

Obrzuciłam go spojrzeniem od stóp do głów i powiedziałam:

– Nie przesadzałabym z tą nadzieją.

Prychnął i machnął w stronę salonu.

– Siadaj, właśnie robiłem sobie herbatę.

– A masz kawę? – zapytałam z nadzieją, bo resztki kofeiny już dawno zniknęły mi z żył.

– Coś się znajdzie – mruknął, krzywiąc się lekko.

Z jakiegoś powodu ubrdał sobie, że kawa mi szkodzi. Ponoć robię się po niej nerwowa. Nie zauważyłam.

– Więc skoro to nie skrucha z powodu Cieślika cię sprowadza, to co?

Ściągnęłam kurtkę i rzuciłam ją na oparcie kanapy, a sama opadłam na miękkie poduszki.

– Miałam wczoraj dziwną interwencję i potrzebuję paru informacji. Pomyślałam, że zasięgnę języka u matuzalema, który pamięta, jak rodziły się pierwsze niesporczaki.

– Oczywiście myślisz, że jesteś bardzo zabawna.

– Niesporczaki są naprawdę urocze. Więc wczoraj na cmentarzu przy Branickiej był pogrzeb – zaczęłam.

– Czyj?

– W sumie nie jest to takie istotne, ale Dankowskiego seniora. Katia mnie wezwała, bo imprezę przerwał obłąkany staruszek. Wymachiwał bronią i wyzywał od najgorszych syna zmarłego.

Roman przymknął oczy. Wyobrażałam sobie, że jak Sherlock przegląda teraz kartotekę w pałacu swojego umysłu.

– Siedemdziesiąt parę lat, nazywa się Ludwik Wroński? – zapytał, udowadniając mi, że jego pamięć faktycznie jest niezawodna.

– Nie inaczej. Twierdzi, że jest moim poprzednikiem na stanowisku. Co o nim wiesz?

– Znalazłem go tak, jak znalazłem ciebie. Wyleciał z roboty w milicji w Toruniu. Miał niewiele magii, choć wystarczająco dużo, by z małą

pomocą przejść przez bramę. Liczyło się dla mnie przede wszystkim jego doświadczenie, bo potrzebowałam kogoś na stanowisko Namiestnika. Zwerbowałam go w osiemdziesiątym trzecim albo czwartym. W dwa tysiące drugim odszedł bez uprzedzenia i jeśli mam być szczery, nikt po nim nie płakał, ostatnie trzy lata niewiele robił, głównie pił. Nie nadawał się już do tej pracy, dał się jej złamać.

– Czy jego upadek miał coś wspólnego z Dankowskim i zaginionymi chłopcami?

– W sumie wszystko. Znalazłaś akta?

– Nic nie znalazłam, nie znałam dokładnej daty, a ten facet chyba nie lubił alfabetu.

Roman pokiwał głową. Doskonale znał wady systemu, który wybrał Wroński. Kiedyś mi powiedział, że gdy żyjesz odpowiednio długo, jedną z najtrudniejszych rzeczy jest zapamiętywanie dat. Żyłam stosunkowo krótko, przynajmniej w wampirzej skali, ale z kalendarzem nigdy nie było mi po drodze. Roman radził sobie z datami znacznie lepiej.

– Pierwszy dzieciak zaginał dzień po Wszystkich Świętych w dziewięćdziesiątym ósmym. Trzeci i ostatni jakiś tydzień przed świętami Bożego Narodzenia tego samego roku. Sześć tygodni, trzech chłopców wyparowało z powierzchni ziemi, nikt ich nie widział, nie znaleziono ciał. A wierz mi, szukało całe miasto. Ta sprawa wszystkich wtedy poruszyła, sam nie wiem czemu, bo ani to pierwsze zaginione dzieci, ani ostatnie, ale jakoś przemówiła do wyobraźni mieszkańców, może przez tę bliskość świąt. Na całego zaangażowali się w poszukiwania. Grupy ochotników przeczesywały park, trzęsawisko pod miastem, okoliczne lasy...

– Wczoraj Ludwik mi trochę opowiedział, gdy odwiozłam go do domu. Jest przekonany, że stał za tym Dankowski. Dałby się za to pokroić. Zgadzasz się z nim? – zapytałam.

Roman wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może. Ale powiem ci, co pamiętam. Wroński się zafiksował. Bazował na intuicji, a na niej nie da się oprzeć oskarżenia i Dankowski nigdy nie stanął przed Starszyzną. Rozumiesz? Oficjalnie nie został uniewinniony, bo nigdy nie postawiono go w stan oskarżenia.

Mruknęłam twierdząco.

– Musisz wiedzieć, że wcześniej Wroński był naprawdę dobrym śledczym, sprawdzał się, był jak pies gończy – ciągnął wampir. – Ale przy tej sprawie mu odbiło. Nie rozumiałem tego wtedy, nie rozumiem do dziś.

Jakby go dotknęło szaleństwo dzikiego gonu. Jakby zapomniał, na czym polega ta robota. Nachodził Dankowskiego, atakował go publicznie i prywatnie, rzucał oskarżeniami, wymachiwał bronią, jak wczoraj na cmentarzu. Domagał się wyznania win i pokuty. Było w nim coś... nawiedzonego. Coś w tej sprawie odpaliło w nim inkwizytora.

– Wczoraj pomyślałam, że to jego biały wieloryb, którego nigdy nie przestawał ścigać – przyznałam.

Roman kiwnął głową, jakby zupełnie go to nie zdziwiło.

– Posunął się za daleko. Dankowski i jego żona składali skargi na Namiestnika. Próbowałam z nim rozmawiać. Ignorował wszystko, jakby już wtedy miał klapki na oczach. Wybrał ścieżkę zastraszania i pomówień, włamał się nawet do ich domu, narobił bałaganu. Wszystko na nic, chłopców nigdy nie znaleziono.

– A potem Dankowscy wyjechali? – zgałam.

– I skończyło się śledztwo. Po wyjeździe podejrzanego nie doszło już do żadnego zaginięcia, trudno to jednak nazwać ostatecznym rozwiązaniem sprawy. Nie wiem, czy w ogóle znajdziesz cokolwiek w archiwum, staremu naprawdę odjechał peron. – Roman pocierał nasadę nosa, jakby samo wspomnienie przyprawiło go o lekką migrenę. – Miałem z nim wtedy sporo problemów. To ja go sprowadziłem i dałem mu robotę, więc wilki próbowały wykorzystać jego szajbę do podważenia mojej pozycji w Starszyźnie. Gdy kilka lat później Wroński zniknął, nawet go nie szukałem. Poczuję ulgę. I na jakiś czas dałem sobie spokój z namiestnikami. Może to niezbyt popularna opinia, niemniej uważam, że z tobą trafiłem lepiej.

– Dzięki, poprzeczka wisiała nisko, ale cieszę się, że dałam radę.

Roman wyszedł do kuchni i po chwili przyniósł filiżanki z kawą z mlekiem dla mnie i zieloną herbatą dla siebie.

– Myślisz, że skończy się na wczorajszej akcji na cmentarzu? – zapytał lekkim tonem.

– Trudno powiedzieć. Wroński nadal jest zafiksowany na tamtych zaginięciach, ciągle ma na ścianie zdjęcia chłopców i Dankowskiego. Nie zastrzelił go wczoraj, może dlatego, że wokół było za dużo świadków i jeszcze ja się przyplątałam ze swoją spluwą. Będę miała na niego oko. Ale chcę się też przyjrzeć tamtej sprawie – przyznałam.

– Mało ci świeżych, sięgasz po stare?

– Sam mówiłeś, że dzieciaków nigdy nie odnaleziono. Jeśli Wroński był w tak złej kondycji psychicznej, jak mówisz, łatwo mógł coś przegapić. Poza tym wiesz, jak jest ze starymi sprawami: stawki się zmieniają, układy też, dziś ludzie mogą być bardziej rozmowni.

Skinął głową.

– Ale nie robisz tego tylko po to, by odwlec szukanie współpracowników? – zapytał.

Wyprostowałam się jak struna.

– Nie wkurzaj mnie! Jak mam zatrudnić ludzi, kiedy w tym miejscu ciągle nie ma prądu czy działających toalet?

Przez następną godzinę rozmawialiśmy o remoncie, budżecie, kolejności prac i o tym, jak ciężko o dobrego fachowca, który szanowałby ustalenia dotyczące terminów. Nie wypłynął temat objęcia przeze mnie funkcji szefowej nowej jednostki, do czego absolutnie się nie paliłam. To byłoby za dużo. Kochałam robotę w terenie, nawet tę brudną, ale biurokracja mierzyła mnie bardziej niż ściganie zbirów. Miałam idealną kandydatkę, tyle że Starszyzna mi ją zawetowała. Była w pełni człowiekiem – niewybaczalne po tej stronie bramy. Jeśli ten impas potrwa dłużej, chyba poproszę Romana, by rozważył przemienienie jej w wampira, bo nic innego nie przychodziło mi do głowy. Choć wtedy wilki położą mi się Rejtanem w progu komisariatu, bo ich zdaniem Roman zapewni sobie w ten sposób przewagę.

*

Znając dokładny przedział czasowy, bez trudu znalazłam akta sprawy. Wyciągnęłam z szuflady tekturowe pudełko opatrzone datami 02.11.1998–14.02.1999. Początek sprawy wyznaczało zaginięcie pierwszego chłopca. A koniec? Podejrzewałam, że wyjazd Dankowskiego z Thornu. Odwiązałam splątane tasiemki i zajrzałam do pudła. W środku znajdowały się teczki z nazwiskami zaginionych chłopców, teczka Dankowskiego, kilka innych, ale całość trąciła malizną. Daleko było temu do księgi morderstwa, widywałam obszerniejsze instrukcje obsługi mikrofalówki. Odłożyłam akta na chwilę i znów zajrzałam do szuflady, w ramach rozeznania.

Wyciągnęłam akta sprawy o kilka miesięcy starszej, dotyczącej serii włamań. Pudełko ważyło co najmniej trzy razy tyle co poprzednie. W kolejnym, z czerwca 1999 roku, nie było już nawet teczek, tylko

wrzucone luzem pojedyncze kartki maszynopisu spięte rdzewiejącym spinaczem, choć sprawa dotyczyła napadu rabunkowego z dotkliwym pobiciem ofiary.

Możliwe, że Roman miał rację – Wroński się wypalił i zaliczył zjazd – ale coś mi tu nie grało. Czy w ciągu kilku miesięcy można się zmienić z porządnego gliny w obiboka, który nawet nie udaje, że mu zależy? Oprócz pudełek w szufladzie leżało już tylko kilka teczek i tkwiące na jej końcu pudełko archiwizacyjne, w którym coś stuknęło, gdy popchnęłam szufladę. Zajrzałam do środka: półlitrowa butelka po czystej i kilka małych po żubrówce. Czy to wystarczało jako odpowiedź? Może.

Zabrałam materiały ze sobą i opuściłam komisariat przy hałaśliwym warkocie bruzdownicy. Może faktycznie za tydzień będzie tu światło? Nie traciłam nadziei.

*

Planowałam udać się z papierami prosto do domu i tam dokładnie je przeczytać, ale w ostatniej chwili skręciłam i weszłam do Szatańskiego Pierwiosnka. Musiałam coś zjeść, a w mieszkaniu skończyłoby się na płatkach śniadaniowych, i to pod warunkiem, że w lodówce byłoby mleko. W Szatańskim mogłam liczyć na ciepły posiłek, coś do picia, a przy odrobinie szczęścia – również na garść informacji. Leon mieszkał w Thornie o wiele dłużej niż ja i znał tu właściwie każdego, jeśli nie osobiście, to ze słyszenia. Nie był szpiegiem jak Nisim, ale jako dawny generał piekielników lubił być dobrze poinformowany.

Położyłam pudełka na blacie jednego ze stolików, a sama usiadłam na krzeselku barowym. Leon polerował pokale wyjęte ze zmywarki i ustawiał je na półce nad barem.

– Już cię wygryzła z chałupy? – zapytał, kiedy skończył.

– Kto? – nie załapałam.

– Samotność, małutka, samotność. Słyszałem, że twój zadekował się w piekło na jakiś czas. – Poklepał mnie po ręce.

– Egzamin y młodej i w ogóle. – Wzruszyłam ramionami, ale w gardle miałam kluchę.

– Zwłaszcza w ogóle. Zupa, kanapka czy deser? – zapytał.

– Wszystko. I herbata. – Widząc jego uniesioną z rozbawieniem brew, wyjaśniłam: – Muszę zachować trzeźwy umysł, dziś to moje biuro, nie bar.

– Zacznę naliczać ci czynsz – burknął, ale uśmiechnął się i nawet nie próbował ukryć zębów, ostrych jak u drapieżnej ryby.

– Pomyśl, o ile masz tu spokojniej, odkąd tu przesiaduję. Kto zacznie rozrób pod nosem Namiestniczki?

– Tylko idiota, wiadomo przecież, że do rozrób ciągnie Namiestniczkę jak misia do miodu – prychnął na widok mojej przesadnie oburzonej miny.

Usiadłam przy stoliku. Zanim Leon przyniósł mi jedzenie, byłam już po pierwszych stronach raportów sprawy zaginionych chłopców. Zaczęłam od teczki Stasia Modrzejewskiego, który zniknął pierwszy. Czytałam szczegółowy opis zdarzenia, charakterystykę ofiary, relacje z rozmów z rodzicami, kolegami, nauczycielami, sąsiadami. Musiałam przyznać, solidna robota. Wszystko starannie wystukane na maszynie, prawie bez pomyłek, w kilku miejscach na marginesach widniały ręczne dopiski. Każdy był opatrzony małutkimi inicjałami L.W., zgodnie z wymogami policyjnego, a wcześniej pewnie milicyjnego, protokołu. W chwili zaginięcia Staś miał dziewięć lat. Zniknął gdzieś między szkołą a domem, czyli na odcinku mniej więcej dwóch przecznic. Początkowo matka założyła, że poszedł z kolegami dłuższą drogą przez park, bo uwielbiał szurać w liściach i dokarmiać kaczki w stawie. Nosił w tornistrze torebkę z ziarnem i płatkami specjalnie dla nich. Po godzinie od zakończenia lekcji poszła poszukać syna właśnie do parku, a gdy go tam nie znalazła, wypytywała sąsiadów i jego kolegów. Udała się też do szkoły porozmawiać z nauczycielką, wreszcie, gdy nieobecność chłopca przeciągnęła się do dwóch godzin, powiadomiła Wrońskiego. Sprawdził każdy element tej historii, zamieścił nawet notatki z wizyty w parku, przy stawie z kaczkami.

Leon przyniósł zupełną resztę zamówienia, a ja jadłam i czytałam. Byłam pod wrażeniem solidności raportów swojego poprzednika. Gdyby nadal był takim gliną, z miejsca zaproponowałabym mu etat. W głowie kołatała mi się jednak natrętna myśl: jak od pisania takich raportów przechodzi się do wrzucania kartek luzem do pudła archiwizacyjnego? Teraz, gdy zapoznałam się z pierwszym kawałkiem układanki, zachowanie Wrońskiego było dla mnie jeszcze mniej zrozumiałe.

Dokumentacja w teczce Marcina Błaszковского zaczynała się datą szesnastego listopada. Chłopiec bawił się na podwórku przed domem. Matka regularnie zerknęła na niego przez okno, kiedy gotowała obiad. Według raportu Wrońskiego mały był cichym, nieśmiałym dzieckiem, trochę wyobcowanym, bo od niedawna nosił aparat słuchowy, a wcześniej

socjalizację utrudniał mu spory niedosłuch. Na podjeździe przed domem narysował kredą ulice i skrzyżowania i bawił się resorakami. Gdy zniknął, zostały na podwórku. Miał niespełna siedem lat.

Tu też Wroński wykonał niezłą robotę. Przesłuchiwał rodzinę, sąsiadów, chłopców mieszkających w okolicy, kilka osób z lokalnej podstawówki, w tym Szczepana Dankowskiego, który był pedagogiem szkolnym i jako pierwszy zauważył u Marcina problemy ze słuchem. Ewidentnie to wtedy Wroński uznał go za głównego podejrzanego. Do raportu z rozmowy z nim przykleił taśmą kilka karteluszków z dopiskami. Wynikało z nich, że Dankowski znał też Stasia i spędzał z nim podejrzanie dużo czasu. Najwyraźniej śledczy pokazał jego zdjęcie wszystkim zaangażowanym w sprawę pierwszego zaginionego, a teraz też osobom z kręgu Marcina. Wiele osób go rozpoznało, co Wroński skrupulatnie odnotowywał na małych kartkach i podkreślał te informacje kilkoma liniami. Zastanawiałam się, czy było coś, czego nie zamieścił w raporcie, bo nie potrafiłam zrozumieć tego entuzjazmu. Dankowski pracował w szkole, oczywiste jest, że był rozpoznawany na fotografii przez dzieci czy rodziców albo że znał go personel nauczycielski.

Potem było tylko gorzej.

Wroński odlatywał. Nikogo już nie przesłuchiwał, nie sporządzał notatek z przeszukań, nie gromadził dowodów. Zamiast tego pojawiły się pisane coraz bardziej chaotycznie raporty z inwigilacji. Wyglądało na to, że stary glina śledził Dankowskiego po dwadzieścia godzin na dobę. Nie krępował się nawet zanotować, że zastraszał pedagoga i przy wszystkich nazwał go pedofilem, a ten „nie zareagował”. Nie jestem pewna, jak zdaniem Wrońskiego Dankowski powinien zareagować, skoro sam przyznał, że mierzył wtedy do niego z broni. Miał użyć słów: „Zastrzelę cię jak psa, pieprzony pedofilu!”. Właściwej reakcji na takie oskarżenie nie opisano w żadnym protokole służb mundurowych.

Co dziwne, w dokumentach nie było absolutnie nic, co pozwalałoby wysnuć wniosek na temat preferencji seksualnych pedagoga. Albo nie zdradzał patologicznych skłonności, albo Wroński, który kilka tygodni wcześniej liczył kaczkę w stawie, by jego raport spełniał wyśrubowane normy kompletności, tym razem pominął coś istotnego. Bo przecież trudno uznać za dowód zanotowane na czerwono: „Skończył pedagogikę i logopedię, pracuje z dziećmi od 1992”.

Coś tu śmierdziało, i to ostro.

Teczka Piotrusia Zdziechowskiego stanowiła zaledwie cień dawnej skrupulatności Wrońskiego. Strzępy informacji, rozgrzebane i nieskończone raporty, notatki ręczne, niechlujne i mało czytelne. Wyglądały zresztą, jakby wyszły spod zupełnie innej ręki, ale u dołu każdej widniało znajome L.W. Tu już nie było szukania podejrzanych ani przesłuchiwanie potencjalnych świadków czy bliskich. Wroński był przekonany, że ośmioletniego Piotrusia uprowadził Dankowski, koniec kropka. Właściwie zaniedbał śledztwo, jedynie robił notatki z kampanii prześladowania pedagoga, jaką wtedy prowadził. Na boginię, w zapiskach uwzględnił nawet koszt farby w sprayu, którą na samochodzie Dankowskiego wypisał „pedofil morderca”! Nie ukrywał też, że się włamał do domu podejrzanego i zdemolował mu gabinet, „szukając chłopców”. Nie wiem, czy spodziewał się ich znaleźć w szufladach biurka, czy na półkach z książkami, ale na prześwietlonym, zbyt czerwonym zdjęciu widniał regularny kipisz.

Ja pierdołę. Dankowski miał podstawy do wszczęcia procesu jak stąd do Damaszku. Co najgorsze, Wroński do tego stopnia zafiksował się na jego punkcie, że zgubił z oczu chłopców, śledztwo, innych podejrzanych. Po kilku tygodniach szykan pedagog wyjechał z miasta. A zaginionych nigdy nie odnaleziono.

Patrzyłam na ich zdjęcia. Wszyscy wydawali się drobni jak na swój wiek, ciemnowłosi, wielkoocy, z wciąż dziecięcymi proporcjami twarzy, które rozczulają dorosłych. Ładne, spokojne dzieciaki z – o ile wierzyć raportom – zwyczajnych domów. Czy rodzice nadal mieszkali w Thornie? Czy zechcą wydrapać mi oczy, jeśli nagle stanę w ich progu i otworzę stare rany? Nadal nie byłam pewna, czy zdołam cokolwiek zrobić w tej sprawie. Nie widziałam tu żadnego materiału dowodowego, który mogłabym sprawdzić przy użyciu nowinek technicznych w rodzaju próbek DNA. Poza Dankowskim nie miałam też żadnych podejrzanych, nadających się do przemaglowania po latach.

Jedynym, co bez wątpienia domagało się interwencji, było zachowanie Wrońskiego wobec Dankowskiego. Nagle scena na cmentarzu wpasowywała się w zupełnie inny kontekst – konsekwentnego zastraszania, szykanowania, niepopartych niczym oskarżeń i grózb karalnych. Szczerze się obawiałam, że to nie koniec. To, że interweniowałam w trakcie pogrzebu, nie zdołało naoliwić zapiekłych trybików w głowie Wrońskiego. Niewykluczone, że faktycznie najlepiej byłoby go przetrzymać w areszcie, dopóki Dankowski nie opuści Thornu.

– Mało ci nowych kłopotów, że wygrzebujesz stare? – zapytał Leon, zerkając na pudełko, kiedy przyniósł mi dolewkę herbaty.

– Niby stare, a od wczoraj całkiem aktualne – odparłam, nie odrywając oczu od zdjęć chłopców.

– Byłem tam, wiesz? – powiedział cicho Leon i pogładził palcem zdjęcie Marcinka. – Wszyscy go szukaliśmy. Przetrzęsaliśmy każdy skrawek parku, ugorów pod miastem, lasu... Nawet ściągnąłem ogara piekielnego do tropienia.

– Znałeś rodziców chłopca?

– W zasadzie nie. Ale wiesz, byli lubiani. I na każdym słupie powiesili ulotkę z jego zdjęciem. Wszystkich to ruszyło. Kilkuset ochotników szukało małego przez wiele dni. Byłem pewien, że go znajdziemy. Że okaże się, że powędrował przed siebie, jak niekiedy robią to dzieci, nie słyszał, że go wołamy, bo wyłączył aparat... Jego mama mówiła, że czasem tak robił, bo ciągle się do niego przyzwyczajają. A potem mijały kolejne dni i musieliśmy się pogodzić z tym, że tego dzieciaka już nie ma. Był i puff!, zniknął, jakby nigdy nie istniał. Nawet ogary nie potrafiły złapać jego tropu.

Pokręcił głową, wyraźnie poruszony.

– Znałeś Wrońskiego?

– Z widzenia. Nie przesiadywał tu, jak niektórzy Namiestnicy. – Uśmiechnął się łagodnie. – Byłem rozsądnym czartem i od większości lokalnych spraw trzymałem się z daleka. Słyszałem, że mu odbiło. A po tej sprawie zacumował na dobre w Syrence i poszedł w cug.

– Aż tak?

Skinął głową.

– Spędzał tam więcej czasu niż barman. Pił jak gąbka. Często nocował w magazynku, bo nikomu się już nie chciało pakować go do taksówki. I tak to trwało. Nawet gdy nie był już Namiestnikiem.

– Ale coś się zmieniło, nie? W końcu przestał pić.

Leon zamyślił się, próbując sobie przypomnieć jakieś szczegóły.

– Ktoś mu umarł chyba, żona czy matka. Wyniósł się z Thornu i już go w Syrence nie widywali.

Paskudna historia. I, niestety, nierzadka w policyjnych kręgach. Przynajmniej nie zwiędził tego cugu samobójem.

Poskładałam papiery i fotografie do pudełek. Musiałam z kimś porozmawiać. Byłam prawie pewna, że nie ucieszy go mój widok, ale nie

miał wyboru. Ja albo Wroński.

*

Adres ojca Dankowskiego znalazłam w dokumentach. Najwyraźniej przed laty syn też tam mieszkał. Dom – willa z końca dziewiętnastego wieku – był naprawdę duży, miał jakieś dwieście pięćdziesiąt, może trzysta metrów kwadratowych. Patrzyłam na szachulcowe ściany z czerwonej cegły i czarnych belek, obrośnięte bluszczem, który teraz przypominał żywe płomienie. Miedziany dach zdążył pozielenieć, a szyby w dużych ramach odbijały światło w ciepły, miękki sposób, typowy dla szkła sprzed epoki plastikowych okien.

Było widać, że to dom z historią, ale też, że ktoś, kto zajmował się nim przez ostatnie kilka lat, nie miał głowy lub siły, by o niego należycie zadbać. Podjazd przed garażem przysłaniały rozrośnięte jałowce, pomiędzy kamiennych płyt chodnika wyzierało mnóstwo chwastów i pożółkłej trawy. Biegnąca wzdłuż dachu rynna była krzywa, trzymała się na słowo honoru i kilka trytytek.

Wciąż jednak była to imponująca rezydencja w dobrej dzielnicy. Kiedy ją zbudowano jakieś sto trzydzieści lat temu, jej właściciele pewnie nie mieli wielu sąsiadów. Działki były wtedy większe niż dziś, sięgały nawet hektar w głąb, aż do lasu należącego już do wilków. Wśród rozległych ogrodów i przydomowych parków wyrastało ledwie kilka podobnych willi. Przez kolejne sto lat sporo się zmieniło, działki zostały podzielone, posprzedawane, kilka kupił deweloper i nieopodal pojawiło się osiedle dwupiętrowych domów szeregowych, w sam raz dla ludzi, którym marzył się uroczy domek w ładnej okolicy, ale na tyle blisko centrum Thornu, by odwożenie dzieciaków do szkoły czy kupienie masła, gdy go nagle braknie, nie wymagało wielkiej wyprawy. Świadczyła o tym chaotyczna numeracja domów – wraz z podziałem działek na mniejsze dodawano kolejne numery, więc między jedyneką a trójką widniały na przykład numery jedenaście, siedemnaście, dwadzieścia siedem i trzydzieści jeden. Nikomu nie przyszło do głowy, by to zmienić, bo stary listonosz i tak trafiał bez trudu pod dowolny adres.

Las graniczący z dzielnicą należał do wilków, co gwarantowało, że nikt go nie wytnie, by zbudować na przykład blokowisko czy galerię handlową. I choć w kilkadziesiąt lat postawiono tu ponad pięćdziesiąt domów, ocalała

większość starodrzewu. Gdybym miała kupę forsy, może sama bym się przeniosła w takie miejsce. Młoda mogłaby ćwiczyć do woli i żaden sąsiad nie sarkałby na jej rodowód. Może powinnam zagrać w totka, bo z pensji Namiestniczki mogę sobie kupić co najwyżej hulajnogę.

Z zamyślenia wyrwało mnie energiczne pukanie w boczną szybę. Uchyliłam okno. Stała przy nim na oko czterdziestoletnia kobieta z kilkuletnim chłopcem u boku. Wyglądała na zmartwioną.

– Wszystko w porządku? – zapytała. A widząc moją zdezorientowaną minę, dodała: – Silnik pracował, szyby prawie zaparowały, a pani się nie ruszała, pomyślałam, że może pani zasłabła albo potrzebuje pomocy.

– To bardzo miłe z pani strony – przyznałam. – Po prostu się zamyśliłam.

Skinęła głową z wyraźną ulgą. Chłopczyk w zielonym kombinezonie z kapturem i w kaloszkach w nietoperze tupał w kałuży, korzystając z tego, że matka nie patrzy.

Wysiadłam.

– To piękna dzielnica – powiedziałam lekkim tonem. – Fantastycznie wyglądają te kasztany przy drodze.

Znów przytaknęła i uśmiechnęła się ciepło. Nie byłam pewna, czy naprawdę sądziła, że mogę potrzebować pomocy, czy zauważyła podejrzenie zachowującą się obcą osobę i zadziałał jej instynkt terytorialny.

– Nie wiem, czy dobrze trafiłam... Szukam domu Dankowskich – zarzuciłam wędkę.

– Tak, to tamten – wskazała budynek po drugiej stronie ulicy. – Ale pan Ambroży nie żyje, spóźniła się pani, wczoraj był pogrzeb.

– Szukam jego syna.

Kobieta nagle się usztywniła, w jej oczach mignął cień podejrzliwości.

– Zna go pani może? – zapytałam.

Jej otwartość i serdeczność w jednej chwili wyparowały.

– Muszę już iść, chodź, Krzysiu! – zawołała synka i po kilku sekundach maszerowała, trzymając go za rękę. Malec prawie biegł, by za nią nadążyć.

Nie wiedziałam, jak to interpretować. Czy wytrąciła ją z równowagi obecność Dankowskiego, podejrzanego kiedyś o porwanie trzech chłopców niewiele starszych od jej szkraba, czy może przeciwnie, nie wierzyła w jego winę i była rozdrażniona na myśl o moich ewentualnych pytaniach?

Przeszłam przez ulicę i wcisnęłam dzwonek przy furtce. Po chwili rozległo się charakterystyczne bzyczenie oznaczające zwolnienie blokady. Weszłam na podwórze, a nim dotarłam do ganku, usłyszałam szum

silniczka bramy garażowej. Otworzyła się do połowy, po czym zamarła, ale czyjeś silne dłonie pchnęły ją w górę i podjechała do końca. Dankowski stał obramowany światłem i gratami zalegającymi w garażu jak dziwna ikona. Patrzył na mnie w milczeniu, napięty i z poszarzałą twarzą. Opuścił ręce, gdy miał pewność, że brama nie zjedzie, i wytarł je o nogawki. Jego dłonie wyraźnie drżały.

– Czego pani chce? – zapytał bezbarwnym głosem.

– Pomyślałam, że zajrzę i z panem porozmawiam. Może też rzucę okiem, czy Wroński nie odwalił żadnego numeru po tym, jak odwiozłam go do domu – powiedziałam.

Ciągle był sztywny, nie ufał mi.

– Gdyby złożył pan skargę, mogłabym go zamknąć choć na kilka dni za zakłócanie porządku i wymachiwanie splotami – dodałam. – Bez tego mogłam go tylko odwieźć do domu i mieć nadzieję, że jest za stary, by w środku nocy znów wsiąść na rower.

Nadal patrzył na mnie nieufnie, ręce wepchnął do kieszeni.

– Jeśli się pan zastanawia, czy znam już całą historię, to czytałam akta sprawy. Wiem, co Wroński sądził na pana temat, ale ja nie mam zdania. I nie zamierzam panu wykręcać ręki, domagając się przyznania do winy czy wskazania, gdzie ukrył pan ciała. Nie wiem, czy to pan za tym stał, czy ktoś inny. Wiem, że śledztwo zostało spartolone, a Wroński nie miał żadnych obciążających pana dowodów. I że przekroczył granice, biorąc pana na celownik. Wtedy i wczoraj, na pogrzebie.

Mężczyzna głęboko westchnął i odniosłam wrażenie, że z uchodzącym z płuc powietrzem uleciała z niego część napięcia.

– Mówi pani prawdę – powiedział, jakby zaskoczony. A potem dodał twardo: – Nie skrzywdziłem tych chłopców, nie porwałem ich, nie zabiłem, nie zakopałem. Nie wiem, kto to zrobił, mam jednak nadzieję, że kiedyś dopadnie go sprawiedliwość. Zniszczył życie trojga dzieci i ich rodzin, ale i moje.

Ostatnie słowa wymówił cicho, jakby nie był pewien, czy ma prawo stawiać się w jednym rzędzie z ofiarami.

– Skąd pan wie, że mówię prawdę? – zapytałam, kierując się przecuciem.

Uśmiechnął się niemal przepraszająco.

– Czasami po prostu wiem. Pani jest silnym nadajnikiem.

Empata. Cholera jasna. To sporo zmieniało. Czy Wroński wiedział, jaką magię nosi Szczepan? Poświęcił temu choć odrobinę namysłu?

– Proszę mi nie współczuć – powiedział nagle. – Przeżyłem i mam się świetnie. Nie wiem, czy to samo można powiedzieć o tamtych chłopcach, nikt nie wie, co się z nimi stało, poza sprawcą.

Miał rację. Współczułam mu. Wiedziałam, z czym się wiąże bycie empatą. Mój przyjaciel Joshua też nim był. Łączyło ich coś jeszcze – obaj pracowali z dziećmi. Na myśl, co przechodziłby Joshua, gdyby rzucono na niego podejrzenia, oskarżano o najgorsze, gdyby spotykał na ulicy, rodziny chłopców i ich sąsiadów, którzy wierzyli, że jest winny... To było piętrowe gównno. Wstydziałam się za Wrońskiego jeszcze bardziej.

– Napije się pani czegoś? – zapytał Dankowski. Cofnął się w głąb garażu i zajrzał do malutkiej przeszklonej lodówki, która stała na dużym blacie roboczym ze sklejki. – Mam colę, radlera cytrusowego, maślaną jagodową i... – Obejrzał dokładnie butelkę, po czym dokończył, wyraźnie zaskoczony: – kombuchę. Tata lubił nowe smaki. Mama wołała sprawdzone i znane... Ja chyba wdałem się w nią – dodał i wziął dla siebie colę.

– Niech będzie radler – powiedziałam, bo moja potrzeba przygody miała swoje granice. Podał mi butelkę i otwieracz.

– Muszę tu posprzątać, wybrać, co chcę zachować, co oddać potrzebującym, co sprzedać... Agent nieruchomości twierdzi, że dużo łatwiej sprzedam dom, jeśli nie będzie zawałony rzeczami rodziców. Tata chyba niczego nie wyrzucił po śmierci mamy. Teraz mam tu pełno różnych jego przydasiów i nie wiem, od czego zacząć – mówił cicho, bardziej do siebie niż do mnie.

– Nie musi pan tego robić od razu. Z czasem może być łatwiej – powiedziałam, choć sama nie do końca w to wierzyłam. Spojrzał na mnie z błyskiem humoru, jakby to wyczuł.

– Formułki pocieszające raczej nie działają, jeżeli nie mówi się ich z absolutnym przekonaniem – oznajmił.

Touché.

– Chciałabym z panem porozmawiać o tamtej sprawie – odezwałam się po chwili.

– Dlaczego?

– Bo nawet jeśli nie był pan sprawcą, znajdował się pan blisko sedna wydarzeń. Wroński jest dla mnie mniej wiarygodnym źródłem, ma klapki na oczach. Chciałabym się przyjrzeć tej sprawie bez uprzedzeń.

– A jeżeli wszystko pani opowiem i dojdzie pani do tych samych wniosków, co Wroński? – zapytał cicho.

– Wtedy zbiorę dowody i przedstawię je Starszyźnie. Zapewne stanie pan przed sądem. Nie będę się włamywać, grozić bronią, nie pobiję pana w ramach przesłuchania, nie napuszcę na pana mieszkańców. Nie jestem niewolnicą prawa, ale działam w jego służbie. I jeśli jest choćby cień szansy, że uda się znaleźć zaginionych chłopców czy wyjaśnić, co się z nimi stało, chętnie się tego podejmę – zapewniłam.

Otworzył usta i chyba chciał coś powiedzieć, ale nagle rozległo się trzaśnięcie drzwi wyjściowych i stukanie obcasów o schodki. Po chwili w polu widzenia pojawiła się wysoka, smukła i elegancka pani Dankowska. Wiązała pasek wełnianego płaszcza w kolorze dojrzałej śliwki, a jej blond włosy o platynowym odcieniu spływały po wysokim kołnierzu miękkimi, idealnie wystylizowanymi falami. Była piękną kobietą, w typie Grace Kelly, z chłodnymi błękitnymi oczami i porcelanową cerą. Wyglądała na góra trzydzieści lat.

Mój widok wyraźnie ją zaskoczył. Zaciśnęła usta pomalowane różową szminką.

– Moja żona, Ilona – przedstawił ją Dankowski i na chwilę jego twarz wyrażała błogość. – Kochanie, to Dora Wilk, nowa Namiestniczka – dodał.

– Chyba nie zamierza pani zaczynać od początku? – odezwała się, a z jej tonu przebijały nuty agresji i pogardliwego chłodu.

– Czego konkretnie? – zapytałam uprzejmie.

Pomachała dłońmi w nieokreślonym geście frustracji.

– Tego! Bałaganu! Oskarżeń! Proszę nie myśleć, że nie wiem, co to miasto zgotowało mojemu mężowi i ile tu przeszedł! Minęło dwadzieścia lat, na bogów! Dajcie mu po prostu spokój! – powiedziała ostro, ale nawet na sekundę nie podniosła głosu.

– Wszystko w porządku, kochanie, po prostu rozmawiamy. Namiestniczka nie przyszła nas niepokoić – zapewnił Dankowski.

Kobieta obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem, po czym przeniosła wzrok na męża i zapytała:

– Na pewno dasz sobie tu radę sam?

Jej głos, kiedy zwracała się do niego, brzmiał zupełnie inaczej, niż kiedy fukała na mnie. Był miękki, zatroskany.

Przytaknął.

– Jedź, nie ma powodu, byś nie miała się zobaczyć z ciotką. Mnie się tu krzywda nie stanie – powiedział uspokajająco.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

– Jeśli jesteś pewien... Wieki się z ciocią nie widziałyśmy i nie byłaby zachwycona, gdybym odwołała wizytę w ostatniej chwili.

– Pozdrów ją ode mnie.

– Oczywiście. Nie czekaj na mnie, wrócę pewnie późno. – Uścisnęła go i pocałowała w policzek. Mnie, wychodząc z garażu, obrzuciła ostrym spojrzeniem.

– Tylko uważaj, jadąc po ciemku! – zawołał za nią. – To auto nie ma napędu na cztery koła.

– Dam sobie radę – zapewniła, idąc w stronę zaparkowanego przed bramą małego czerwonego mercedesa. – Bawcie się grzecznie. – Rzuciła mi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie.

– Ty też – powiedział po chwili Szczepan, patrząc, jak jego żona wykręca na podjeździe i rusza z piskiem opon spod domu.

Przeczesał palcami przydługie ciemnoblonde włosy i oznajmił:

– Opowiem pani wszystko, ale pomoże mi pani z tym bałaganem. Taka jest moja cena jako informatora. – Uśmiechnął się do mnie żałośnie.

*

Przez dwie godziny przedzierałam się przez dobytek życia dwojga zmarłych ludzi. Stosy rzeczy do oddania i do wyrzucenia systematycznie rosły, tych do zachowania nie przybywało wiele. Pomyślałam, że być może z całego straszliwie zagraconego garażu Szczepan Dankowski ocali tylko pudło z rodzinnymi pamiątkami i fotografiami, uporządkowanymi w opasłych albumach. Nie sprawiał wrażenia faceta, który doświadczałby właśnie podróży sentymentalnej. Z posępną miną odkładał kolejne rzeczy na jeden ze stosów, nie poświęcając im większej uwagi. Krzywił się tylko, obracając w palcach popsute, połamane, niesprawne od lat przedmioty, jakby były dla niego symbolem ciężącego mu poczucia winy.

– Powinienem tu być, gdy został sam, może zobaczyłbym, że mu się pogarsza, że sobie nie radzi... Dzwoniłem, ale brzmiał normalnie... Nie chciał, żebym przyjeżdżał. Wolał, żeby sąsiedzi zapomnieli, że kiedykolwiek istniałem. „Nie wchodź im w oczy, Szczepan, ja tu ciągle mieszkam i to na mnie się to odbije, gdy znów wyjedziesz”. Dopiero kiedy

wróciłem, okazało się, że od dłuższego czasu niedomagał. Sąsiadka mówi, że kilka lat temu doznał lekkiego udaru, miał osłabioną prawą stronę ciała. Nigdy mi o tym nie powiedział! Rozmawiałem z nim średnio raz w tygodniu, a on zdołał ukryć przede mną coś takiego! – W głosie mężczyzny było słycać żal i frustrację.

– Może nie chciał pana martwić – podsunęłam najbezpieczniejsze pocieszenie.

Zaprzeczył ruchem głowy i rzucił na stertę do wywalenia powyginany dziecięcy rowerek, który musiał mieć ponad trzydzieści lat. Płatki lakieru i rdzy posypały się jak konfetti.

– To wszystko wiele go kosztowało. Nigdy nie przyznał, jak wiele. Nie mógł sobie poradzić z hańbą, jaką sprowadziłem na rodzinę. Myślę, że wiedział, że gdyby nie tamto, mama żyłaby dłużej. Ona przeżywała to jeszcze mocniej. Była taka jak ja. I znała te dzieci – dokończył cichym, pełnym emocji głosem.

– Opowie mi pan o chłopcach? Wszystko, co pan pamięta. Kto wie, może uda mi się zobaczyć coś, co wcześniej umknęło Wrońskiemu.

– Umknęło mu, że byłem niewinny, więc nie polegałbym specjalnie na jego spostrzegawczości – zauważył cierpko. – No dobrze, zarobiła pani na tę historię – oznajmił. Ściągnął robocze rękawiczki i rzucił je na stertę desek. – Potrzebuję się napić, jeśli mam znów o tym myśleć i mówić.

Zatrzasnął bramę garażu, a potem poprowadził mnie przez labirynt rupieci do drzwi wewnętrznych, wiodących do części mieszkalnej.

– Proszę uważać na stopnie – powiedział. – Światła tu mało, a one nie są idealnie równe, łatwo się potknąć.

Szedł pierwszy. Słaba żarówka, kiwająca się na kablu, z trudem oświetlała schody, na brudnawych ścianach tańczyły długie cienie.

W kuchni nalał wody do czajnika i trzaskał drzwiczkami szafek i lodówki, z frustracją mamrocząc pod nosem, a ja rozglądałam się po salonie. Czas zatrzymał się tu w latach dziewięćdziesiątych. Przez ostatnie trzy dekady może odmalowano raz albo dwa brzoskwiniowe ściany czy wymieniono firanki, bo były idealnie białe, ale już kanapa i zasłony z pasującego do siebie welurowego pluszu pamiętały prezydenturę Wałęsy. Podobnie jak kwiecisty dywan z kremowymi frędzlami, na którym odznaczały się ścieżki wydeptane w ciągu dziesięcioleci przez mieszkających tu ludzi. Poza kanapą i stanowiącym z nią komplet fotelem w pokoju stał także długi stół z sześcioma krzesłami. Gruba warstwa kurzu

kazała sądzić, że pan domu nie jadał tu od dawna. Ustawiony na niskiej szafce telewizor, może z końcówki drugiej kadencji Kwaśniewskiego, także stanowił charakterystyczny dla tamtych czasów element wyposażenia salonu. Na ścianach wisiało kilka generycznych obrazków – martwych natur z kwiatami i misami owoców – oraz parę zdjęć w ozdobnych ramkach. Na żadnym nie widziałam dorosłego Szczepana czy jego żony. Przedstawiały delikatnego, jasnowłosego chłopca o wielkich oczach i uszach. Z biegiem lat tego twarz stała się bardziej proporcjonalna.

Wydawało mi się, że usłyszałam coś podejrzanego, więc podeszłam do okna i odsunęłam gęstą firankę. Okazało się, że to samochód sąsiadów z naprzeciwka szerokim łukiem wjeżdżał w otwierającą się automatycznie bramę. Zapadł już zmierzch i poruszający się pojazd odpalał czujniki ruchu w reflektorkach, które kolejno rozbłyskiwały na długim podejździe. Brama zamknęła się, gdy tylko auto wjechało na teren posesji.

Po paru minutach do pokoju wkroczył Dankowski, niosąc na owalnej metalowej tacy dzbanek herbaty, dwie szklanki z brązowego szkła, półlitrowkę żubrówki, butelkę soku i literatki. Ustawił wszystko na niskim stoliku przed kanapą i powiedział:

– Coś mi się wydaje, że jak zaproponuję pani drinka, to pani odmówi, więc od razu zrobiłem herbatę. Nie mam nic do jedzenia. Nie miałem głowy, żeby zrobić zakupy, zresztą nie zostaniemy tu długo. Najwyraźniej w ostatnich dniach ojciec jadał niewiele. – A potem, jakby czuł, że musi mi się wytłumaczyć, dodał: – On tu nie był sam, miał gospozię, zatrudnioną jeszcze przez mamę. Gotowała mu, robiła zakupy, sprzątała...

Nic nie powiedziałam. Moje milczenie wydawało się nakłaniać go do mówienia.

Opadł na kanapę, nalał mi do szklanki herbaty, a potem w trzech czwartych napęłnił literatkę żubrówką i dolał odrobinę soku, jakby zamierzał jedynie zmienić kolor drinka. Wypił spory łyk, zakasłał, ale wypił kolejny, tak jakby próbował wmusić w siebie alkohol. Westchnął głęboko, a potem przechylił szklaneczkę do dna.

– Proszę się nie bać, nie upiję się. Obiecałem pani historię. – Uśmiechnął się smutno.

Zrozumiałam, że pił dla odwagi.

– Znał ich pan, wszystkich? – zapytałam, by ułatwić mu start.

Skinął głową.

– To byli wyjątkowi chłopcy. Potrzebowali więcej uwagi niż reszta – zaczął.

Milczałam, a on kontynuował opowieść o dzieciach, które już na starcie miały większego pecha niż inne. Marcinek ledwie słyszał, ale dopóki nie skończył piątego roku życia, właściwie nikt tego nie zauważył. Miał opinię powolnego i niezbyt grzecznego, nie socjalizował się za dobrze, nie słuchał dorosłych. Nic dziwnego, skoro ich nie słyszał, co odkryli dopiero nauczyciele, kiedy chłopiec trafił do szkoły. Mimo upływu lat słyszałam w głosie Dankowskiego autentyczną troskę. Staszek też był uczniem trudnym i też nie z własnej winy.

– Cierpiał na dysleksję, ciężki przypadek. Kiedy go poznałem, miał osiem lat i nie potrafił czytać. Powtarzał pierwszą klasę i groziło mu, że zostanie w niej kolejny rok. Zawzięłem się. Poza tą dysleksją to był dobry, zdolny dzieciak i nie zasłużył na łatkę idioty, którą mu wtedy przykleili. To były, widzi pani, inne czasy, niektórym ciężko przychodziło zrozumienie, czym jest dysleksja, myśleli, że mały jest głupi albo leniwy, i najchętniej karaliby go kozą i laniem. Uczyłem go czytać, robiliśmy ćwiczenia... Dowiadywałem się u specjalistów, jak sobie poradzić z tą przeszkodą. Robił postępy! Marzył, że kiedyś sam przeczyta sobie książeczkę. Nawet króciutką, dla dzieci, ale sam. Myślę, że dałby radę. Był taki uparty i zmotywowany... Jeszcze dzień przed zniknięciem siedziałem z nim, a on dukał sylaba po sylabie, aż wreszcie udawało mu się te sylaby połączyć w głowie w słowo. – Dankowskiemu głos lekko zadrzał. Szybko, jakby zawstydzony, mężczyzna otarł zwilgotniałe oczy.

– A Piotruś? – zapytałam cicho.

– On miał największego pecha z tej trójki – powiedział mężczyzna i napełnił literatkę żubrówką. Już nie zawracał sobie głowy sokiem. Wlał alkohol do gardła i znów się rozkaszał. – Na nieszczęście – kontynuował – wychowywali go ludzie, którzy nie powinni mieć dzieci, a mieli ich wiele. Ojciec tłukł go z byle powodu. Poszedłem tam raz i drugi, groziłem, prosiłem, ale w tym domu było za dużo wódki i awantur, a za mało miłości do dziecka... Piotruś był ich najmłodszym. Wie pani, że dopiero po dwóch dniach rodzice zauważyli, że go nie ma? I żeby nikt nie pytał, dlaczego tyle im to zajęło, polecili do Wrońskiego z gębą na mnie, że to pewnie ja, bo przejawiałem „niezdrowe zainteresowanie” ich synem.

– W raportach nie ma o tym słowa – przyznałam.

Wzruszył ramionami.

– Nie mylił się, zależało mi na tych dzieciach, interesował mnie ich los, robiłem, co w mojej mocy, by im pomóc, a kiedy zaginęły, by je odnaleźć... Na początku, gdy zniknął Staszek, próbowałem rozmawiać z Wrońskim, tłumaczyłem, że chłopiec na pewno nie uciekł, coś się musiało stać, trzeba go szukać... Ale widział we mnie tylko rzucającą się w sieci złowioną rybę. Nie mógł zrozumieć...

– Nie rozumiał pana magii – zauważyłam.

Skinął głową.

– On w ogóle jest na bakier z magią. Całkowite drewno, zero wrażliwości. Wie pani, ja się nawet zastanawiałem, czy on na pewno ma jej wystarczająco wiele, by otwierać bramę, bo po przeprowadzce do Thornu nigdy nie był w Toruniu. Może wampir go tu wprowadził i cała ta magiczna krew to była ściema dla Starszyny? – zastanowił się.

Przypomniały mi się słowa Romana: „Miał niewiele magii, choć wystarczająco dużo, by z małą pomocą przejść przez bramę”.

– A chłopcy? – zapytałam, bo na ten temat też nie znalazłam ani śladu w aktach, nawet w tych najwcześniejszych, prowadzonych najbardziej skrupulatnie.

Dankowski wzruszył ramionami.

– Piotruś na pewno. Miał silną magię wodnikową. Często rozmawialiśmy o tym, że to będzie jego przepustka do lepszego życia. Chciał budować elektrownie wodne i studnie tam, gdzie ludzie nie mieli dostępu do wody. Zawsze wiedział, kiedy będzie padało, nawet gdy na niebie nie było ani jednej chmurki. Raz... nie uwierzy mi pani... był jeszcze w przedszkolu... W budynku pękła rura, zalało piwnicę, hydraulicy nie mogli znaleźć przecieku. A ten maluch zlokalizował go w kilka minut, pokazał palcem ścianę i powiedział: „Tu leci, a nie powinna!”. Żeby pani widziała minę majstra! – Dankowski parsknął śmiechem, ale oczy mu zwilgotniały. – Kiedy Piotrusiowi było naprawdę źle w domu, szedł nad rzekę albo nad staw... Gdy zniknął, to tam go szukałem w pierwszej kolejności. Chciałem wierzyć, że po prostu uciekł przed biciem i poszedł nad wodę, bo tam czuł się bezpieczniej.

– A pozostali?

– Stasia podejrzewałem. Było jeszcze za wcześnie na pełen skan, ale jego magia się budziła, bez dwóch zdań. Dotykał danej rzeczy i widział coś z jej przeszłości. Raz byliśmy na wycieczce w zamku krzyżackim, po drugiej stronie bramy. Nagle Staś zaczął płakać. Jak się okazało, wyczuł, że

kilkaset lat wcześniej ktoś zmarł w tym miejscu... Nie mogłem go uspokoić. Inne dzieciaki trochę mu dokuczały, a on szlochał i ciągle opowiadał o panu, który wykrwawił się na podłogę i nikt nie przyszedł mu pomóc. Nie jestem pewien, czy widział tam ducha, czy tylko wyłapał jakąś emanację dawnej śmierci, ale to nim wstrząsnęło. Był wyjątkowym dzieckiem, bardzo wrażliwym.

Zamyślił się, pocierając czoło. Nie popędzałam go. Po chwili zaczął mówić o trzecim chłopcu:

– Marcinek rozwijał się trochę wolniej, przez ten niedosłuch, rozumie pani. Nie był opóźniony, po prostu komunikacja przychodziła mu nieco trudniej... Jego rodzice są magiczni, myślę, że też miał magię, po prostu jeszcze nie wiedzieliśmy jaką. Na pewno widział aury, wiele magicznych dzieci od tego zaczyna... – Jego oczy znów się zaszklily. – To byli tacy fantastyczni chłopcy, mieli przed sobą całe życie.

– Po wyjeździe nie wrócił pan do pracy w szkole? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Nie mogłem. Rozumie pani?

Tak, rozumiałam.

– Przykro mi, naprawdę – powiedziałam miękko.

Nie odpowiedział i wlał w siebie kolejną szklaneczkę. Wiedziałam, że uruchomiłam lawinę obrazów i emocji, które zdołał już zakopać w pamięci, a które teraz ożyły, tak samo wyraźne i bolesne jak przed laty.

*

Opuściłam dom Dankowskiego po dwudziestej trzeciej. Zostawiłam go, wstawionego i przysypiającego na kanapie w salonie. Sam dał radę całej butelce.

Kolejne dwie godziny siedziałam w samochodzie, raz jeszcze przeglądając papiery. Chciałam to zrobić, póki miałam na świeżo nowe elementy. Uzupełniłam akta o brakujące dane, przede wszystkim o informację, że cała zaginiona trójka najprawdopodobniej była magiczna. To wprowadzało dodatkowy motyw, którego Wroński wtedy w ogóle nie rozważał, zafiksowany na najbardziej prawdopodobnej jego zdaniem przyczynie zaginięcia chłopców po drugiej stronie bramy.

Musiałam przysnąć, bo nagle obudził mnie hałas silnika. Przy krawężniku przed domem zaparkował czerwony mercedes i wysiadła

z niego żona Dankowskiego. Zachwiała się lekko na wysokich obcasach, jakby była po kilku kieliszkach, ale potem pewnym krokiem weszła do domu. Lampa nad drzwiami zgasła.

Zerknęłam na zegarek. Druga piętnaście. Starczy tego, pomyślałam, czas wracać. Dom nie zrobi się mniej pusty tylko dlatego, że będę odwlekać powrót.

Przespałam kilka godzin, a rano wszystko się zmieniło. Stara sprawa przestała być zimna. Zniknęło kolejne dziecko.

*

Przyjechałam na miejsce tuż po ósmej, czternaście minut po telefonie od rodziców małego Krzysia Miechunki. Ledwie przekroczyłam próg, uderzyło mnie to nieznośne kłębowisko emocji ludzi, którym w ułamku chwili zawalił się cały świat. Rozdygotana matka zaprowadziła mnie do pokoju syna. Ojciec stał jak ogłuszony w kuchni, bezwiednie ściskając w ręce kubek kawy.

– Zniknął, rozumie pani? On ma tylko pięć lat! Wczoraj położyłam go spać, a rano nie było go w łóżku, zniknął bez śladu! – mówiła gorączkowo.

W dziecięcej sypialni panowało dotkliwe zimno. Wiatr poruszał firanką w otwartym oknie, choć pani Miechunka chyba nie zwróciła na to uwagi. Pokój był spełnionym marzeniem małego chłopca, z tapetą w dinozaury, zabawkami i książeczkami na półkach, miękkim dywanem i matą do układania klocków. Pod sufitem na cieniutkich żyłkach kołysały się kolorowe ptaki z papieru. Na łóżeczku brakowało pościeli, poza prześcieradłem w chmurki, słoneczka i tęcze. Poduszka leżała na dywanie, w połowie drogi do okna.

– Czy kołdra zniknęła razem z dzieckiem? – zapytałam.

Matka Krzysia spojrzała zaskoczona.

– Tak – przyznała, jakby zauważyła to dopiero teraz – to był komplet, w taki sam wzorek jak prześcieradło.

Nagle ruszyła w stronę szafy, jakby miała nadzieję, że tam znajdzie synka, jakby ten wcale nie zniknął, po prostu się schował, jak mogła nie zajrzeć do szafy? Praktycznie słyszałam jej gorączkowe myśli. I nagły cios, gdy okazało się, że w szafie nie ma chłopca ani jego kołderki.

– To ten pedofil, prawda? Słyszałam, że wrócił! Sąsiadka mi mówiła... Powinnam małego pilnować cały czas... ale był w domu, z nami!

– Słyszeliście państwo w nocy coś niepokojącego? – zapytałam, podchodząc do okna.

Na parapecie leżała przewrócona doniczka z małym sukulentem, na zawiasie znalazłam kilka kolorowych bawełnianych włókien. Wyjrzałam na zewnątrz – niski parter, ale na grzędce pod oknem nie dostrzegłam śladów stóp, choć po deszczu ziemia była miękka.

– Nic nie słyszeliśmy... Wczoraj... – Zmarszczyła czoło i potarła nasadę nosa, jakby próbowała sobie coś przypomnieć. Mówiła wolno, chwilami trochę niewyraźnie. – Źle się czuliśmy... Myślałam, że łapie nas przeziębienie. Krzyś zasnął już na dobranocce, przeniosłam go tu z salonu, otuliłam... Nawet nie przebrałam go w piżamkę, żeby się nie obudził. Miał na sobie dresowe spodnie w samoloty i koszulkę z długim rękawem z Zygzakiem McQueenem na piersi, to ważne, prawda? Żeby pani wiedziała, jak jest ubrany?

Pokiwałam głową, zachęcając, by mówiła dalej.

– Miał lekką gorączkę, nic wielkiego, ale zanim zasnął, dałam mu syrop z paracetamolem. My też położyliśmy się wcześniej niż zwykle. Przeważnie nie kładę się przed dwudziestą drugą, a wczoraj nie miałam na nic siły, nawet nie nastawiłam zmywarki. Rano nie mogłam się dobudzić, ale dotarło do mnie, że jest za cicho. Krzyś często o szóstej już nie spał, zakradał się do salonu i włączał sobie kreskówkę. Pomyślałam, że jednak syrop nie wystarczył i jest chory, dlatego śpi dłużej... Przyszłam z termometrem, a jego nie było.

Podeszłam do niej i pochyliłam się, by lepiej widzieć jej oczy. Były szkliste. Włosy na skroniach lepiły się do mokrej skóry, a cera wydawała się nienaturalnie blada, prawie przejrzysta. Już widziałam coś podobnego.

– Czy ma pani mdłości? Zawroty głowy? Przytkane uszy albo kłopoty z wyostreniem wzroku? – wyliczałam.

– Niczego nie piłam ani nie brałam żadnych leków, jeśli o to pani pyta – powiedziała nieco ostrzejszym tonem.

– O nic pani nie podejrzewam, proszę mi zaufać, to ważne – poprosiłam.

– Mdli mnie, ale to pewnie z nerwów. – Docisnęła dłonie do brzucha.

– Sprawdźmy, co u pani męża – zaproponowałam.

Stał w tym samym miejscu w kuchni, sztywny, jakby nie całkiem dobudzony. Również miał szkliste oczy, a twarz połyskiwała mu od potu. Dotknęłam lekko jego ramienia, drgnął, jak nagle wyrwany ze snu.

– Panie Miechunka, jak się pan czuje? – zapytałam łagodnie.

– Głowa mi pęka – odparł niewyraźnie, prawie bełkotliwie. Jego trafiło jeszcze mocniej.

– Może pan usiąść? – Delikatnie pokierowałam go na krzesło.

Ledwie usiadł, upadł twarzą na blat stołu, nieprzytomny. Sprawdziłam puls na szyi. Miarowy, ale wolny. Zaklęłam cicho i wyciągnęłam komórkę. Wybrałam numer Jemioły, podałam jej adres i poprosiłam, by natychmiast przyjechała.

– Co się dzieje? – pytała wstrząśnięta pani Miechunka, też się chwiejąc, jakby zmagając się z silnym wiatrem.

– Proszę usiąść, zanim pani upadnie – poprosiłam.

Nie protestowała, wpatrując się szklistym wzrokiem w leżącego na stole męża.

– Czy on nie żyje? – zapytała głucho.

– Żyje, proszę się nie obawiać. Jesteście państwo pod wpływem zaklęcia. Sądzę, że zaklęcia snu, ale niewykluczone, że to coś bardziej skomplikowanego. Jemioła będzie wiedziała, jak pomóc mężowi – zapewniłam.

Kobieta zaczęła się trząść, nie byłam pewna, czy to wynik szoku, czy skutki uboczne zaklęcia. Przyniosłam z pokoju koc i szczelnie ją okryłam.

To zmienia wszystko, pomyślałam. Czy to samo spotkało rodziców tamtych dzieciaków? Raczej nie, wcześniej chłopcy nie znikali z domów, ktokolwiek ich zabierał, nie musiał usypiać dorosłych. Choć mógł wpływać na nich inaczej... Nie mogłam wykluczyć, że zeznania były niekompletne nie tylko przez niekompetencję Wrońskiego. Musiałam z nim porozmawiać. Choć jeśli faktycznie nie miał pojęcia o magii, mógł niczego nie zauważyć.

Chwila, czy nie wyciągasz zbyt daleko idących wniosków? – przywołałam się do porządku. Przecież te sprawy nie muszą się łączyć. Minęło dwadzieścia lat!

A jednak intuicja mi podpowiadała, że mimo wszystko są powiązane. Dankowski wrócił do Thornu po dwóch dekadach i prawie natychmiast znika kolejne dziecko? To nie mógł być przypadek. Tyle że wiedziałam, że to nie on. Magia nie pasowała. Poza tym paskudne zimno w pokoju dziecka sugerowało, że okno było otwarte większą część nocy. Zaklęcie snu przetarło się na Miechunkach na tyle, że koło ósmej rano wstali z łóżek i wszczęli alarm. Większość zaklęć działała średnio dwanaście godzin. Jemioła z pewnością to potwierdzi.

*

Potwierdziła. Orzekła też, że użyto zaklęcia bez cumy, czyli ktokolwiek je rzucił i porwał chłopca, nie musiał mieć bezpośredniego kontaktu z Miechunkami.

– Nie musieli niczego zjeść ani wypić – powiedziała po zbadaniu ich aur.

– Znasz ten typ magii? – zapytałam.

– Stara. To coś pierwotnego i słowiańskiego, reaguje na dym z bursztynu i jałowca – odparła, wskazując na miseczkę, w której spaliła wiązkę ziół. Dym miękkimi pasmami otulał Miechunków, jakby się do nich kleił. Wyglądali już nieco przytomniej.

– Dojdą do siebie?

– Za kilka godzin tak. Cud, że się w ogóle obudzili. Może to adrenalina, może zwykle mają kłopoty ze snem i zaklęcie nie chwyciło albo ich magia sprawiła, że byli na nie mniej podatni. Sprawdź, czy koło domu nie ma śladów rytuału albo jakiejś aktywności magicznej – poradziła.

Zostawiłam ją z dwójką przytomniejących pacjentów i poszłam się rozejrzeć. Na korytarzu przystanąłam przed galerią rodzinnych zdjęć zajmujących większość ściany. Mogłam prześledzić całe życie Krzysia Miechunki, od czasu, gdy był pomarszczonym noworodkiem, do najnowszego zdjęcia, z którego spoglądał na mnie pięciolatek o okrągłej, zarumienionej buźce otoczonej brązowymi loczkami. Jego wielkie ciemne oczy lśniły radością. Miałam nadzieję, że kiedyś zawisną tu zdjęcia nadąsanego nastolatka. Wyszłam z domu. W gardle rosła mi klucha emocji, których jeszcze nie mogłam wypuścić.

*

Dom Miechunków nie wyróżniał się spośród innych na ulicy. Niewielki, parterowy, ze sporym podwórkiem na tyłach i drugim, mniejszym, oddzielającym go od drogi. Na całym terenie wciąż było widać ślady Halloween, ale ułożone w malownicze grupki dynie zaczynały już gnić, a wycięte w nich twarze zapadały się do środka. Duszki i nietoperze z bibuły i brokatowego papieru wisiały smętnie, zmaltretowane deszczem. Nie potrzebowałam dodatkowego przypomnienia o rozkładzie, śmierci i przemijaniu właśnie teraz, gdy mały chłopiec zniknął ze swojej sypialni. Przychodziły mi do głowy dwa powody, dla których zabrano go razem

z kołdrą. Wersja optymistyczna – ktoś nie chciał, by małemu było zimno, bo być może zamierzał pozostawić go przy życiu. Wersja pesymistyczna – chodziło tylko o stłumienie potencjalnych krzyków i wygodę podczas transportu. Nie wiedząc nic o sprawcy, chwilowo nie mogłam postawić na żadną z opcji.

Okrażyłam dom w poszukiwaniu śladów stóp, dorosłego czy dziecka. Śpieszyłam się, bo znów zaczynało siąpić. Najwięcej uwagi poświęciłam miejscom w pobliżu okna sypialni Krzysia i znów zauważyłam kilka włókien na porastających ścianę domu pędach pnącej róży. Zastanawiająco wysoko, prawie dwa metry nad ziemią.

Natrafiłam na coś jeszcze. Na gałęzi wierzby japońskiej rosnącej na wprost okna salonu wypatrzyłam motankę – nie laleczkę, ale zawiniątko z zaklęciem. Wyczuwałam echo magii, słabnące w siąpiącym deszczu. Bałam się jej dotknąć, by mnie nie powaliło przy bezpośrednim kontakcie, więc ostrożnie zapakowałam ją za pomocą patyczka do torebki strunowej z zamiarem przekazania Jemiole. Znając składniki zaklęcia, miała większe szanse znaleźć skuteczne antidotum.

Obeszłam ogród, plac zabaw Krzysia z drewnianym pirackim okrętem na palach, zajrzałam też do szopki na narzędzia. Na stole roboczym leżało tam kilkanaście kolorowych latawców, papierowych samolotów i lampionów. Podniosłam jeden z mniejszych latawców, z prawie dwumetrowym ogonem z bibułkowych wstążek. Niewykluczone, że Krzyś po prostu lubił latawce, ale było jeszcze jedno wyjaśnienie.

Wróciłam do kuchni i zapytałam pani Miechunki:

– Czy Krzyś był magiczny?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Magia obudziła się w nim kilka tygodni temu, jest magiem powietrza, jak ja – odparła z dumą.

Kolejny pasujący klocek. Nie każde dziecko w Thornie miało magię. Niektóre się z nią rodziły, u innych budziła się po kilku latach, czasami czekała na wiek pokwitania albo i późniejszy. Nie każdy pięciolatek miałby ją już przebudzoną i aktywną. Nie wierzyłam w przypadki.

– Czy zauważyła pani kogoś obcego? Ktoś się kręcił w okolicy, zaczepiał Krzysia czy inne dzieci? – zapytałam.

Ciągle zmagająca się z zaklęciem, musiała podpierać głowę rękoma, ale widziałam, jak walczy, jak stara mi się pomóc, wierząc, że mogę znaleźć jej synka.

– Nie widziałam go, bo o niego pani pyta, prawda?

– O kim pani mówi?

– O tym pedofilu, Dankowskim... Marzena Błaszowska była wczoraj na placu zabaw, pokazała nam zdjęcia, kiedy tylko dowiedziała się, że wrócił. Nie widziałam go, poznałabym, dobrze się przyjrzałam fotografii – zapewniła.

Błaszowska? Matka Marcinka?

– Znają się panie? – zapytałam.

– Nie całkiem, ale ona mieszka niedaleko, dwa domy od nas. Czasami przychodzi na plac zabaw, patrzy na dzieci i płacze. Zawsze jej współczułam, stracić dziecko to straszna rzecz... Nie przypuszczałam, że sama się dowiem, jak straszna. – Zaczęła płakać. Jej półprzytomny mąż drgnął, jakby mimo zaklęcia i snu chciał ją pocieszyć.

Cholera. Zastanawiałam się, czy odwiedzać rodziców zaginionych chłopców, teraz nie bardzo miałam wyjście. Bo pojawił się jeszcze jeden trop, który zwyczajnie musiałam sprawdzić. Nie byłby to pierwszy raz, gdy kobieta, nie mogąc sobie poradzić ze stratą dziecka, porywa cudze, jakby mogło zappełnić pustkę po własnym.

*

Adres Błaszowskich znalazłam w aktach i najwyraźniej od dwudziestu lat się nie zmienił. Wcisnęłam dzwonek przy furtce i czekałam cierpliwie, zastanawiając się, jak zacząć i jak poprowadzić tę rozmowę. Trzy minuty później otworzyło się okno na piętrze i na zewnątrz wyjrzała kobieta.

– Już schodzę! – zawołała. – Może pani wejść, ta tabliczka o złym psie jest trochę na postrach, pies to stary pieszczoł! – Okno trzasnęło.

Wcześniej nie spostrzegłam tabliczki, a teraz uważnie rozglądałam się za psem. Wyłonił się zza rogu, gdy byłam w połowie drogi między furtką a drzwiami: powolny, z posiwiąłym pyskiem, poruszał się w sposób typowy dla starszych wilczurów, które mają kłopoty z kręgosłupem i stawami biodrowymi. Nawet nie zaszczekał, sapnął tylko i nadstawił głowę do głaskania. Odprowadził mnie do progu, a gdy pani Marzena otworzyła mi drzwi, wepchnął się do środka, bardzo zadowolony ze swojego sprytu. Kobieta westchnęła, ale pozwoliła mu zostać. Patrzyła na mnie z uwagą. Po pięćdziesiątce, wysoka, żyłasta, z siwymi pasmami w ciemnych włosach.

Miała niemal czarne, wyraziste oczy i mocne rysy, które sugerowały twardy charakter.

– Nazywam się Dora Wilk – przedstawiłam się.

– Namiestniczka. Zastanawiałam się, czy pani przyjdzie – powiedziała i wpuściła mnie do domu.

– Ktoś pani mówił, że mogę się zjawić? – zapytałam ostrożnie, wycierając buty na wycieracze. Zastanawiałam się, czy powinnam je zdjąć, bo chciałam się rozejrzeć po domu, ale nie byłam pewna, czy gospodyni za chwilę mnie nie wyrzuci.

Wnętrze pachniało magią, ziołami i dymem, także czymś kwaśnym... głogiem? Gdy skoncentrowałam się na Marzenie Błaszczowskiej, wyczułam wirującą wokół niej nerwową energię wiedźmią, choć nie potrafiłam rozpoznać jakiego typu, póki nie sięgnęła po nią aktywnie.

– Pan Ludwik dzwonił. Mówił, że pani może otworzyć sprawę, bo Dankowski wrócił do miasta. I nie trzeba było długo czekać, prawda? – Zaplotła ramiona na piersi.

– Pan Ludwik często do pani dzwoni?

Uniosła brew.

– Czego pani ode mnie chce? Czemu nie szuka pani tego chłopca? – zapytała.

– Skąd pani wie o zaginięciu?

– Słyszałam, jak matka wołała Krzysia. Znam ten ton aż za dobrze. Trzeba było wtedy gnoja odstrzelić, jak chciał pan Ludwik, a nie dawać mu na pastwę kolejne dziecko.

– Nie ma żadnych dowodów, że to Dankowski, wtedy czy dziś – zaoponowałam.

– Dowody – prychnęła. – Tak ich szukacie i znaleźć nie możecie, a giną kolejne dzieci! Pan Ludwik powiedział mi prawdę, więc może pani przestać udawać, że w ogóle szuka. Znowu zamieciecie wszystko pod dywan!

– Kto konkretnie? – zapytałam z ciekawością, bo nie sądziłam, bym zasłużyła w jej oczach na *pluralis maiestatis*.

– Starszyzna, a kto? Wtedy go utracili, żeby nie mógł nic zrobić, teraz nawet nie muszą, wszyscy wiedzą, że pani z tym wampirem spijacie sobie z dzióbeków – rzuciła gniewnie.

No ładnie. Czyli dorobiliśmy się już teorii spiskowych, bohatera zdradzonego przez system i konspiracji. Jakby dokopanie się do prawdy po tylu latach i bez tego nie nastęrczało trudności.

– Gdzie pani była dziś w nocy? – przeszłam do konkretów.

Spojrzała na mnie, jakbym jej nasrała na podłogę.

– W domu, a gdzie miałam być?

– Ktoś może to potwierdzić?

– Niech pani sprowadzi szamana, duch męża ciągle się tu kręci, to pewnie potwierdzi. Wiesław nie dożył sprawiedliwości dla naszego synka. A pani tu przychodzi i mnie nęka!

– Pani Błaszowska, nie przyszłam nikogo nękać. To rutynowe pytania.

– Dankowskiego też pani zapyta, gdzie był? – zapytała jadownicie.

– Nie muszę. Wiem dokładnie, gdzie był wtedy, kiedy zaginął Krzys. Zbladła, kiedy dotarło do niej, co powiedziałam.

Zbladła, kiedy dotarło do niej, co powiedziałam.

– To nie był on? – zapytała drżącym głosem. – Jest pani pewna?

Przytaknęłam.

– Ale nie wie pani, że wtedy to nie on, nie może pani wiedzieć!

– Dankowski jest empatą – oznajmiłam krótko.

Jako magiczna powinna zrozumieć implikacje tego faktu. Sądząc po kwiecistych przekleństwach, zrozumiała.

– Nie wiedziałam, pan Ludwik nic nie mówił.

– Pan Ludwik nie ma dość magii, by to wyczuć czy pojąć.

– Pani chyba mnie nie podejrzewa, nie na serio? – zapytała po chwili milczenia. – Nie myśli, że mogłabym zrobić coś Krzysowi czy zabrać go od rodziców?

– Nie chcę wierzyć, że to możliwe, jednak czułabym się lepiej, gdybym zyskała pewność. Kiedy tak się stanie, nie będę musiała tracić czasu na roztrząsanie tej hipotezy.

– Proszę sprawdzić, może pani zajrzeć do każdego kąta – powiedziała zrezygnowana Błaszowska i przeszła do pokoju dziennego. Opadła na wzorzystą kanapę i odruchowo przytuliła poduszkę do brzucha.

Obeszłam dom. Nie znalazłam Krzysia, za to mnóstwo śladów niezamkniętej żałoby, samotności i prawdopodobnie depresji. Kończyłam, kiedy zadzwoniła moja komórka. Na ekranie wyświetlał się obcy numer. Odebrałam.

– Proszę przyjechać, on całkiem zwariował, strzela nam w okna i każe wyjść, grozi, że podpali dom!

Rozpoznałam głos Dankowskiego.

– Będę za dziesięć minut, proszę się trzymać z dala od okien! – rzuciłam i bez żegnania się z Błaszowską wybiegłam z jej domu.

Na miejsce dotarłam w osiem minut. Akurat trafiłam na moment, kiedy Ludwik przeładowywał strzelbę, zaparkowałam więc między nim a budynkiem i wyskoczyłam z auta. Złapałam za lufę i podbiłam ją w górę dokładnie w chwili, kiedy nacisnął spust. Huk rozdzwonił mi się w uszach. Wyrwałam broń Wrońskiemu, wrzuciłam ją do samochodu i zatrzasnęłam drzwi.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! Całkiem cię pojebało?! – wrzasnęłam. W uszach mi wciąż dzwoniło.

Ludwik, czerwony na twarzy, odpowiedział krzykiem.

– Znowu to zrobił! A ty go, kurwa, chronisz! Będziesz miała tego chłopca na sumieniu! Nigdy go nie znajdziesz i będziesz z tym żyć, jak ja z moimi! Trzeba go zatrzymać, nie rozumiesz? Zanim porwie kolejnego!

Cały się trząśł. Próbował mnie odepchnąć, żeby dostać się do swojej strzelby. Chudy, żyłasty, ale wcale nie tak słaby, jak sądziłam do tej pory.

– Uspokój się! – Potrząsnęłam nim. – To nie on, rozumiesz? Miałam go na oku, kiedy zaginął Krzyś, to nie mógł być on!

– Niemożliwe! – zaklinał się stary glina.

– Byłam z nim od siedemnastej do drugiej nad ranem. Zdaniem Jemioły zakęcie na rodzinę Krzysia rzucono gdzieś między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą. To nie mógł być Dankowski.

– Ale wtedy...

– Wtedy też to nie mógł być on. Zafiksowałeś się. Zignorowałeś zbyt wiele faktów, z magią na czele.

– Co ma do tego magia? – zapytał urażony.

– To jest empatia, do kurwy nędzy, oni nie zabijają! On tam jest pewnie chory z nerwów, bo wyczuwa twoją wściekłość i mój gniew. Nie skrzywdziłby chłopców, bo sam sobie zafundowałby dokładnie taką samą krzywdę.

– Ale pracował w szkole, z dziećmi...

– Jak wielu innych facetów. To nie jest dowód na nic poza twoimi uprzedzeniami, Wroński. Spieprzyłeś to śledztwo dokumentnie. Czytałam akta. Coś ci się zwało w zwojach i miałeś klapki na oczach.

– Ale ledwie wrócił, zaginął chłopiec – bronił się.

Zmrużyłam powieki. Czy byłby zdolny do uprowadzenia dziecka, byle tylko obarczyć winą Dankowskiego? Nie umiałam stwierdzić. Nigdy dotąd nie widziałam aż tak zafiksowanego gliniarza. Za to widziałam mniej zafiksowanych, którzy naginali fakty i podkładali dowody.

– Znajdę tego dzieciaka, możesz mi wierzyć. A ty wybij sobie z głowy strzelanie do kogokolwiek, inaczej wsadzę cię do celi i zgubię klucz, zrozumiano?

Z Wrońskiego jakby uszło powietrze.

Rozejrzałam się za rowerem. Co się dzieje z tym miastem, że nikt nie zwraca uwagi na starca na rowerze, ze strzelbą na plecach?! Ale roweru nigdzie nie było.

– Jak się tu dostałeś? – zapytałam podejrzliwie.

Wskazał głową na podjazd przed sąsiednią posesją. Pomarańczowy polonez wyglądał żałośnie: karoseria przerdzewiała na wylot, a zawieszenie było tak nisko, że nie miałam pojęcia, jak Wroński zdołał pokonać te wertepy na drodze między swoją wioską a Thornem.

– Co robiłeś wczoraj między osiemnastą a dwudziestą drugą? – zapytałam.

Sarknął oburzony, ale naciskałam.

– Im szybciej cię skreślę z listy podejrzanych, tym prędzej zabierzemy się do roboty.

– Naprawiałem z sąsiadem tego grata. Nie używałem go od lat, akumulator nie działał, styki zaśniedziały... W baku nie było kropli i musieliśmy przywieźć kanister ze stacji benzynowej – powiedział w końcu.

Okej. Bez trudu mogłam to sprawdzić. Poza tym wyczułam, że mówi prawdę.

Popchnęłam go w stronę rzęcha, otworzyłam drzwi, wyciągnęłam kluczyki ze stacyjki i zarządziłam:

– Wsiadaj, ochłoń, jeszcze sobie pogadamy. Muszę sprawdzić, czy nikogo nie postrzeliłeś.

– A moja strzelba? – zapytał bezczelnie.

– Przepadła, zapomnij, że kiedykolwiek ją miałeś.

Siadł za kierownicą, wciąż zagniewany. Nachyliłam się i powiedziałam:

– Wroński, zrób coś dla mnie. Zastanów się, ale tak porządnie. Jeśli to nie Dankowski, to kto? Czy byli inni podejrzani, których nie umieściłeś w raportach? Myśl, bo mamy małego chłopca do odnalezienia i jeszcze możesz się zrehabilitować.

Sapnął wkurzony, ale się nie odezwał. Zatrzasnęłam drzwi poloneza, a potem zamknęłam zamki w swoim aucie. Zwykle tego nie robiłam, teraz

jednak ostatnie, czego potrzebowałam, to ciąg dalszy strzelaniny w wykonaniu stukniętego starucha.

Przeszłam przez podjazd i zapukałam do drzwi. Otworzyła mi Ilona Dankowska. Jej oczy wyrażały zimną wściekłość, ale poza tym trudno było po niej poznać, że chwilę wcześniej znajdowała się pod ostrzałem.

– Czy w tym mieście nie ma nikogo normalnego? – zapytała.

– Pan Ludwik nie jest reprezentatywnym obywatelem tego miasta – zapewniłam.

– Skąd pomyśł, że mówiłam o nim?

– Chciałam sprawdzić, czy nie jesteście państwo ranni.

– Nie strzela aż tak dobrze.

Zza jej pleców wyłonił się Szczepan Dankowski, blady i roztrzęsiony. Poklepała go pocieszająco po ramieniu i wygładziła mu koszulę na piersi. Odruchowo ustawiła się między mną a nim, jakby musiała go chronić i przede mną. Szepnęła mu coś, ale pokręcił głową i odpowiedział jej równie cicho, a ona westchnęła z dezaprobatą. Oddalała się w głąb domu z energicznym stukotem obcasów. Wyraźnie nie zachwycało jej, że chciał ze mną rozmawiać. Sama nie zamierzała brać w tym udziału.

– Czy to prawda, co mówił? Zniknęło kolejne dziecko? – zapytał łamiącym się głosem.

– Niestety.

– Przysięgam, że nawet się do niego nie zbliżyłem!

– Jestem pana alibi na ten czas, nie jest pan w gronie podejrzanych – zapewniłam.

Przytaknął, choć wcale nie wyglądał na spokojniejszego.

– Chciałabym prosić o pomoc. Wiem, że proszę o dużo, ale myślę, że Wroński coś wtedy przegapił. Chciałabym z wami porozmawiać, spróbować uzupełnić luki w tej historii. Nie prosiłabym o to, nie narażałabym pana na jego humory, gdyby nie chodziło o dziecko.

Wiedziałam, że takie postawienie sprawy to manipulacja i że wykorzystuję go jako empatę, ale naprawdę nie widziałam innego wyjścia. Nie miałam żadnego tropu, a gdzieś tam – gorąco na to liczyłam – wystraszony mały chłopiec czekał na ratunek. Jeśli zawiodę, za chwilę może zniknąć na zawsze kolejny dzieciak.

Powinnam zabrać ich na komisariat, ale wciąż nie było tam odpowiednich warunków. Pojechałam więc z nimi do parku, z którego zniknął Staś. Miałam nadzieję, że może powrót w to miejsce pobudzi ich pamięć. Najprawdopodobniej Krzyś też tu przychodził. Uświadomiłam sobie, że park znajduje się niemal w połowie drogi między domem Dankowskiego a domem Miechunków. Staś mieszkał ledwie ulicę stąd. Piotruś kawałek dalej, ale dla małego wodnika to miejsce mogło być jak magnes. Zabrałam z auta akta, licząc, że może pomogą obu mężczyznom odświeżyć pamięć.

Boczyli się na siebie. We Wrońskim ciągle buzował wkurw, Dankowski był sztywny, nieufny, jakby bał się, że nawet bez broni stary glina zaraz się na niego rzuci. Wcale mu się nie dziwiłam – nie musiałam być empatką, by wiedzieć, że takie scenariusze kiełkowały w głowie Wrońskiego.

– Możecie panowie na chwilę skupić się na sprawie? Powiem wam, co myślę po rozmowach z wami i po przejrzeniu akt, dobra? – Nie doczekałam się zachęty, ale i tak kontynuowałam: – Pan, panie Dankowski, naprawdę znał tych chłopców. Może wyłapał pan coś, z czego wtedy nawet pan sobie nie zdawał sprawy? Może zauważył pan coś, kogoś, wyczuł czyjeś niezdrowe zainteresowanie?

Szczepan pokręcił głową, widziałam jednak, że się zastanawia, więc mówiłam dalej.

– Ten, kto zabrał te dzieci, nie działał po omacku. Zdawał sobie sprawę, że są magiczne, myślę, że dlatego je wybrał. Znał ich nawyki, wiedział, że Staś chodzi po szkole do parku. Porwał Marcina z jego podwórka, nie zwracając na siebie uwagi matki chłopca. Najprawdopodobniej wiedział też, że Piotrek unika rodziców, może był najłatwiejszym celem z całej trójki. I naprawdę uważam, że to się jakoś z panem łączy. Miał pan bliskie relacje z każdym z zaginionych. Czy ktoś się tym interesował? Wypytywał pana o nich? Może to ktoś ze szkoły, z sąsiedztwa? Jest pan empatą, czy ktoś pana wtedy niepokoił? Ktoś, kogo nie chciał pan widzieć w pobliżu dzieci?

Mężczyzna zastanawiał się w skupieniu. To były podstawowe pytania, które Wroński powinien mu zadać przed dwudziestoma laty. Teraz stary glina stał z zaplecionymi na piersi ramionami, wciąż nieprzekonany w kwestii niewinności Dankowskiego.

– Czytałam raporty – zwróciłam się do niego. – I jedno nie daje mi spokoju. Co się wydarzyło jakieś dwa czy trzy dni po zniknięciu Marcina? Co cię tak zmieniło? Z zawziętego i naprawdę porządnego gliny stałeś się

łachudrą z klapkami na oczach. Powiedz mi, czego nie ma w raportach? Co się wtedy stało, że aż tak się zafiksowałeś na Dankowskim? Dlaczego przestałeś rozmawiać z ludźmi, spisywać raporty? Nie ma nawet śladu przesłuchania Zdziechowskich, nie odnotowałeś, że to był przemocowy dom. Przecież to jest istotne przy zaginięciu, dziecko na przykład mogło uciec, mogli też zrobić mu krzywdę i podpiąć się pod te zaginięcia, byle mieć wymówkę dla zniknięcia chłopca. A dla ciebie temat jakby nie istniał! Coś się musiało, do cholery, wydarzyć! Nikt nie staje się partaczem z dnia na dzień! – Byłam tak sfrustrowana, że znów podniosłam głos.

Marszczył się i patrzył na mnie, jakby nie rozumiał, o czym mówię. O Zdziechowskich chyba naprawdę słyszał po raz pierwszy.

– Ostatni porządny raport sporządziłeś osiemnastego listopada. Potem to już była fuszerka. – Na dowód wyciągnęłam z teczek kilka stron i podetknęłam mu je pod nos.

Przebiegł tekst zdziwionym wzrokiem.

– Pamiętam to. – Wskazał na obszerny raport z rozmowy z Błaszkwskimi i dwa datowane na ten sam dzień, sporządzone po rozmowach z nauczycielami Marcina. – Ale tego już nie... I tu jest przerwa dwóch dni, a przecież ja pracowałam nad tą sprawą non stop! – Zmarszczył się, czytając pojedyncze linijki nieskładnego sprawozdania.

– Sugerujesz, że akta są niekompletne, ktoś coś wyjął? – zapytałam, mając nadzieję, że nie wyjedzie z konspiracyjną teorią o udziale Starszyzny.

– Nie... numeracja stron się zgadza. – Pokazał drobne cyfry na odwrocie każdej strony, których wcześniej nie zauważyłam.

– Poczekaj, Wroński, to jest konkretny trop! – zawołałam podekscytowana. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, co robiłeś przez te dwa dni! Przecież mogłeś na coś wpaść! – Nagle mój entuzjazm opadł. Kto pamięta, co robił dwadzieścia lat wcześniej? Gdyby mnie zapytał, co robiłam osiemnastego listopada tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego, pewnie wzruszyłabym ramionami i stwierdziła, że byłam w szkole, o ile to nie był weekend.

– Nie wszystko jest w aktach – mruknął i wyciągnął mały zniszczony czarny notes reporterski, standardowe wyposażenie każdego milicjanta, a potem policjanta. Na grzbiecie notatnika zobaczyłam przyklejoną taśmą bezbarwną karteczkę z napisem „2. poł. 1998”. Wroński zaczął przerzucać strony, szukając wymienionej daty. Zmarszczył brwi, przejrzał kilka

kolejnych kartek i cicho zaklął: – Co do kurwy... – I nagle po twarzy przemknął mu jakiś przebłysk zrozumienia.

– Pokaż to. – Wyciągnęłam rękę.

Z ociąganiem podał mi notes, a ja zaczęłam odcyfrowywać notatki. Pismo miało czytelne, ale stosował mnóstwo skrótów i znaków podobnych do tych używanych w stenografii.

– Dobra, mamy tu listę osób, z którymi chciałeś porozmawiać... Odhaczone nazwiska... O cholera... – wyrwało mi się na widok jednego z nich.

Nie pojawiało się w aktach. Nawet nie przyszło mi do głowy, że była częścią tej sprawy.

A jednak pod datą osiemnasty listopada widniała szybka notatka: „Ilona Dankowska, wspaniała kobieta, najpiękniejsza, jaką w życiu spotkałem, na pewno niewinna, nie ma z tym nic wspólnego, nie powinienem jej zawracać głowy, nic nie widziałem, zupełnie nic, jestem zmęczony”. Litery były niechlujne, kulfontaste, jakby pisał w pijanym widzie. Zupełnie jak w ostatnich raportach dotyczących zaginięć.

– Pamiętasz tę rozmowę? – zapytałam cicho.

Pokręcił głową, zawstydzony.

– W ogóle? Nic? – naciskałam.

– Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek rozmawiał z Dankowską, choć powinienem. Podejrzałem Dankowskiego, w końcu to była jego żona.

– Piłeś już wtedy? – zapytałam, bo to mogłoby wyjaśnić parę kwestii.

– Chłać zacząłem później, już po zaginięciu Zdziechowskiego. Ale coś pamiętam... Któregoś dnia wróciłem do domu wcześniej i byłem tak zmęczony, że po prostu padłem na łóżko. Spałem czternaście godzin, bez snów. Kiedy się wreszcie obudziłem, czułem się, jakby mnie zmogła gorączka, leżałem w przepoconych ciuchach, w zasikanych gaciach. Myślałem, że złapałem jakiegoś wirusa.

– Albo urok – mruknęłam podejrzliwie.

Nagle wszystko zaczęło mi się układać w całość. Zerknęłam na empatę, który stał dwa kroki dalej z dziwnym wyrazem twarzy. Jakby obojętnym, co zupełnie do niego nie pasowało.

– Panie Dankowski, gdzie wczoraj była pana żona? – zapytałam.

– U ciotki – odpowiedział mechanicznie.

– Gdzie ta ciotka mieszka?

Pokręcił głową z tym samym, nienaturalnie obojętnym wyrazem twarzy.

- Nie wiem, nie poznałem jej... Gdzieś pod miastem. Nie lubi obcych.
- Musimy porozmawiać z panią Iloną – zdecydowałam.

Wroński nagle złapał mnie za rękaw i powiedział, prawie mechanicznym tonem:

– Pani Ilony nie można w to mieszać, to wspaniała kobieta, nie ma z tym nic wspólnego.

Jego oczy zrobiły się nienaturalnie szkliste. Czyżby urok działał nawet po dwudziestu latach? Z każdą chwilą rodziło mi się więcej pytań i byłam gotowa przygarniać odpowiedzi jak bezpańskie szczenięta.

*

Jechałam za szybko, ale mój instynkt wył jak syrena alarmowa. Dankowski na siedzeniu pasażera milczał. Nie odezwał się od chwili, kiedy usłyszał, że musimy porozmawiać z jego żoną. Czułam, jak całe jego ciało wibruje od napięcia, choć starał się zachować pozory spokoju. Zerknęłam w lusterko wsteczne – polonez Ludwika ledwie za nami nadążał.

Widoczność pogarszała się z każdą chwilą. Kiedy byliśmy w parku, zaczęło się zmierzchać, a teraz jeszcze się rozpadało. Gdy nagle zapaliły się latarnie, ich światło odbijało się w mokrym asfalcie i kałużach. Wycieraczki ledwie nadążały ze ściąganiem wody z szyb. Temperatura gwałtownie spadła, do auta wkradała się wilgoć. Dankowski, w cienkim blezerze, trząśł się – nie wiedziałam, z nerwów czy z zimna.

Na miejscu okazało się, że czerwonego merca nie ma na podjeździe.

– Żona się gdzieś wybierała? – zapytałam, siląc się na lekki ton.

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy. Nagle usłyszałam ciche pyknięcie, i zaraz następne. Wykręcał palce tak, że strzelały mu stawy, ale nadal nic nie mówił.

Mimo braku auta na piętrze paliło się światło, szklany, kulisty klosz nad drzwiami wejściowymi również jarzył się ciepłym blaskiem. Niemal zapraszająco. Chciałam wierzyć, że Dankowska jednak jest w domu i to wszystko zaraz się skończy. Biegąc w deszczu przez podjazd, modliłam się, byśmy – nawet jeśli kobiety nie będzie w środku – znaleźli Krzysia Miechunkę, całego, zdrowego i nieświadomego, jak bliski był zniknięcia na dobre. Czy też na złe...

Niestety wewnątrz nikogo nie było. Domyśliłam się, że Dankowski też miał nadzieję zastać żonę, co przekonałoby mnie o jej niewinności.

Zajrzałam do każdego z pomieszczeń na parterze, wszędzie panował idealny porządek.

Wchodziłam na piętro, kiedy usłyszałam trzask drzwi do samochodu, a po chwili odgłos kroków, ale to nie Ilona stała w korytarzu, tylko Ludwik. Wydawał się wstrząśnięty, był blady, twarz błyszczała mu od potu. Dłońmi wparł się w futrynę, jakby próbował sam siebie zatrzymać, a jednocześnie naprawdę chciał wejść. Gdy się to skończy, pomyślałam, będę musiała go zabrać do Jemioły, bez dwóch zdań! Jakiegokolwiek zakłęcie rzuciła na niego Dankowska, trzymało go w mocy od dwudziestu lat. Pewnie dałabym radę je złamać, ale pochłonęłoby mi to mnóstwo czasu i energii, na co w tym momencie absolutnie nie mogłam sobie pozwolić.

Weszłam do oświetlonej sypialni i natychmiast poczułam dziwną, obcą magię, która podrażniała i moje zmysły, i wilczycę we mnie. Była niepokojąca, chciałoby się powiedzieć: zdeprawowana. Drażniła, jak stara krew, zagrzybiała piwnica, wyczuwałam w niej też zapach jakiejś rośliny, gorzkiej i trującej. Walczyłam z nienaturalnym u mnie odruchem ucieczki. A to oznaczało jedno – ktoś zostawił tu zakłęcie odpychające. Ściany były obstawione kartonami, plastikowymi pudłami, workami wypełnionymi odzieżą. Spakowany dobytek zajmował większość pokoju, ledwie mieściły się tu fotel, łóżko i dwie szafki nocne, na których też leżały stopy rzeczy.

Większość zaklęć trzeba co jakiś czas odświeżać, więc Dankowska musiała mieć do nich dostęp. Przyklękłam i odrzuciłam na bok bawełniany, żółto-brązowy dywan. Na odsłoniętych deskach podłogi ukazały się wyrysowany białym kredowym markerem mały krąg i kilka sygili. Wyglądały nietypowo, były znacznie bardziej kanciaste niż większość znanych mi znaków magicznych. Przypominały pismo demoniczne. Rozpoznałam czy raczej domyśliłam się znaczenia dwóch z pięciu znaków. Nie starałam ich, bo nie znałam ich przeznaczenia. Zamiast tego wyjętym z torby mazakiem permanentnym napisałam na wierzchu lewej dłoni sygilę ochronną. Wiedziałam, że nie uchroni mnie przed każdym zagrożeniem, ale w połączeniu z magią mojej krwi nieco uodporni na urok rzucony przez Ilonę. Z miejsca przejaśniło mi się w głowie. Przytłaczający zapach magii przestał aż tak drażnić, a pokusa ucieczki całkowicie ustąpiła.

Zerknęłam na Dankowskiego. Stał jak skamieniały, trzymając się z dala od znaków na podłodze.

– Widział to pan wcześniej? – zapytałam.

– Nigdy.

Starał się trzymać fason, widziałam jednak, jak drga mu nerwowo jabłko Adama, a żyłka tuż pod lewym okiem pulsuje, jakby miał tam osobne serce, które właśnie dostawało zawału.

– Nigdy nie potrafiłem jej wyczuć, wie pani? – powiedział cicho. – Wyczuwałem emocje wszystkich dookoła. Ledwie panią poznałem, a wiedziałem więcej, niżbym chciał, a z nią... Jesteśmy razem od dwudziestu trzech lat i praktycznie się nie zdarzyło, bym coś od niej wyłapał, choćby przypadkiem. Śmiała się, że ma naturalnie mocne bariery ochronne i odrobina tajemnicy dobrze robi związkowi. To nie tak, że nigdy jej o to nie pytałem, rozumie pani? Na palcach jednej ręki mogę policzyć prześlizgi, drobne rozbłyski emocji, które od niej wyczułem mimo tych barier – mówił zwodniczo spokojnym tonem, jakby wszelkie emocje upchnął głęboko w podświadomości.

– A ostatnio? – zapytałam z nadzieją.

Przytaknął i nagle wydał mi się kompletnie zagubiony.

– Miały związek z Krzysiem? – dopytywałam.

– Nie. To było, zanim tu przyjechaliśmy. Gdy zadzwoniła gosposia ojca z wiadomością o jego śmierci, Ilona... ucieszyła się. Nagły błysk radości był tak intensywny, że nie zdołała go utrzymać za barierami. Czemu miałyby się cieszyć ze śmierci mojego ojca? Przecież nigdy jej nic nie zrobił.

– Zanim do tego doszło, próbowała pana namówić na powrót do Thornu? – domyśliłam się.

– Skąd pani...? Tak, od dwóch, może trzech lat ten temat wracał. Nie chciałem o tym słyszeć. Ale po śmierci taty nie miałem wyboru, prawda?

Opadł na tkwiący pośród piętrzących się rzeczy fotel, naruszając chwiejną równowagę kartonów i worków. Uskoczyłam, kiedy wszystkie zaczęły się walić na podłogę. Wysypały się z nich stosy książek i papierzyśk.

– Rany, moje papiery ze studiów – powiedział zaskoczony, podnosząc z podłogi duży zeszyt opatrzony etykietą z napisem „Pedagogika wczesnoszkolna – wykłady”.

Schyliłam się i podniosłam coś znacznie ciekawszego niż stare notatki z wykładów.

Elegancki bordowy album z wytłoczonym na skórze złoconym napisem „Album foto” miał rozmiary encyklopedii i ważył dobre trzy kilo. Pewnie

nie zwróciłabym na niego uwagi, ale skoro już na mnie spadł, a ze środka wypadło kilka zdjęć Szczepana Dankowskiego, i co ważniejsze – jego żony, uznałam, że warto mu się przyjrzeć. A nuż znajdę jakąś fotkę nieznaną Szczepanowi ciotki albo wskazówkę, gdzie jej szukać.

Nie spodziewałam się, że zdjęcia same w sobie będą cenną poszlaką niestandardowego podejścia Ilony Dankowskiej do starzenia się. O ile po twarzy Szczepana było widać upływ czasu, o tyle jego żona nie postarzała się ani odrobinę. Widząc ją po raz pierwszy, na cmentarzu, uznałam, że jest znacznie młodsza od męża. Pomyślałam też, że musieli się poznać już po jego ucieczce z Thornu. „Wiem, co to miasto zrobiło mojemu mężowi”, a nie: „Widziałam, co to miasto zrobiło...”. Co oczywiste, starała się być poza nawiasem podejrzeń. Tymczasem nie było najmniejszej różnicy w jej wyglądzie dziś i dwadzieścia lat temu. Jasne, zmieniła fryzurę i sposób malowania się, ale zarówno wtedy, jak i dziś wyglądała na trzydziestkę z niewielkim haczykiem. I byłam dziwnie pewna, że to nie kwestia chirurgii estetycznej czy dobrych kremów z retinolem. Już miałam zatrzasnąć album, kiedy zza okładki wysunęło się coś ciekawego – zaproszenie ślubne. „Rodzice Szczepana Dankowskiego mają zaszczyt zaprosić na ślub ich jedyne go syna oraz Ilony Kani”.

– Pana żona nazywała się przed ślubem Kania? – zapytałam zaskoczona.

– Zgadza się. Mówiłem, że może zostawić swoje nazwisko albo połączyć z moim, ale stwierdziła, że moje jest mniej oczywiste.

No raczej. Nie słyszałam o słowiańskim demonie porywającym małych chłopców, który nazywałby się Dankowski. Przynajmniej do dziś.

– Proszę pomyśleć, może żona coś wspominała o ciotce, o rodzinnym domu, cokolwiek?

– Myślę, że ona wróci. Niedługo. Możemy poczekać i sama nam wszystko wyjaśni – powiedział cicho, ale po jego oczach poznałam, że sam w to nie wierzy.

– Panie Szczepanie, nie wiem, ile czasu zostało Krzysiowi. Musimy go znaleźć, rozumie pan? Wie pan, czym jest kania? – zapytałam łagodnie. – Pamięta pan?

– Uwaga dzieci, kania leci! – wyrecytował i na chwilę zamilkł zaskoczony. – Moja babcia tak mówiła, kiedy bawiliśmy się na podwórku, a zbliżała się noc... Myślałem, że to takie powiedzonko. Jedyne kanie, jakie znałem, to grzyby, bardzo smaczne zresztą, ale czemu miałbym na nie uważać?

– Dziś kanie są zbyt rzadkie, by dzieci jeszcze pamiętały, dlaczego należy się ich wystrzegać – powiedziałam.

Nagle coś huknęło na dole. Oknami zatrzęsała fala magii. Zbiegłam na parter, a Dankowski za mną.

Na podłodze leżał Ludwik Wroński, z rozrzuconymi nad głową ramionami, twarzą do ziemi. Złapałam go za ramię i przewróciłam na plecy. Był wiotki, nieprzytomny. Krew zalała mu twarz, a oczy świeciły białkami. Oddychał, ale ledwo. Jego puls był prawie niewyczuwalny.

Zadzwoiłam do Jemioły. Odebrała natychmiast.

– Masz go? – zapytała nadzieją.

– Jeszcze nie. Wciąż jesteś u Miechunków?

– Nie, wróciłam do Sanktuarium, dojdą do siebie, ale potrzeba im odpoczynku.

– Będę za kilka minut, mam kolejnego pacjenta. Jest w kiepskim stanie.

– Wiesz, co mu się stało?

– Myślę, że przełamał urok, stary, dwudziestoletni, albo był na tyle blisko, że dostał klątwę między oczy.

– Tego samego pochodzenia, co urok snu Miechunków?

– Postawiłabym na to miesięczne dochody.

– Przywieź go, będę gotowa – powiedziała zdecydowanym tonem.

Wspólnie z Dankowskim dźwignęliśmy Ludwika. Gdy nieśliśmy go do samochodu, ciało starego gliny wisiało między nami jak szmaciana lalka. Ułożyłam go na tylnym siedzeniu i pospiesznie siadłam za kierownicą. Dankowski zajął już miejsce pasażera. Milczał. Żadne z nas nie powiedziało tego wprost, ale musiał wiedzieć, że urok, który właśnie znokautował Wrońskiego, najprawdopodobniej rzuciła Ilona. A na pewno miała z jego stanem coś wspólnego.

Jemioła czekała na nas w progu Sanktuarium. Wnieśliśmy wciąż nieprzytomnego Ludwika do środka i ułożyliśmy go na szpitalnym łóżku, przykrytym białym prześcieradłem. Powietrze wypełniał zapach rozmarynowego kadzidła. Dym natychmiast zaczął się lepić do Wrońskiego, magia, którą dźwigał przez dwadzieścia lat, przyciągała szare pasma jak magnes.

Przez kolejną godzinę głównie obserwowałam Jemiołę przy pracy. Nie potrzebowała mojej asysty, nie licząc chwili, kiedy wręczyła mi krede i kazała wyrysować krąg wokół łóżka, bo w jej wieku pełzanie po podłodze nie było ani komfortowe, ani też konieczne, skoro miała kogoś do pomocy.

– Wiesz już, kim jest autor tego uroku? – zapytała, kiedy płomienie świec, które zapaliła przy głowie nieprzytomnego, zaczęły trzaskać i wznosić się w górę na pół metra. – Tyle magii... Starej i ciągle nie całkiem przełamanej.

– Jeśli mam rację, to słowiański demon, a konkretnie kania – powiedziałam.

Spojrzała na mnie pociemniałymi z emocji oczami.

– Dawno ich nie widziałam... Myślałam, że wszystkie siedzą w enklawie.

Wzruszyłam ramionami. Owszem, większość słowiańskich demonów i stworzeń z tego panteonu trzymała się od Thornu na dystans, ale to była ich decyzja, nie nakaz, bo tego i tak nie dałoby się wyegzekwować.

– I to ona ma Krzysia? – zapytała, nacierając czoło i dłonie Ludwika olejem.

– Tak sądzę.

– Masz mało czasu. I wiesz, że na jednym nie poprzestanie – powiedziała cicho.

Skinęłam głową.

– Pamiętaj, że co krwawi, można zabić. A z odciętą głową mało co się odrodzi – dodała mściwie. Zwykle była przepelniona miłością bliźniego, ale tu chodziło o krzywdę dziecka.

– Przy pierwszej okazji zapoznam ją z mieczem – zapewniłam. Moje ostrze z przyjemnością zazna rozrywek. Przeważnie wystarczała mi broń palna, jednak w przypadku demonów słowiańskich, podobnie jak większości innych, naboje były co najwyżej siłą spowalniającą. – Nadal nie wiem, gdzie jej szukać – przyznałam.

Jemioła westchnęła.

– Rzuciła na niego tak silny urok z jakiegoś powodu. Miejmy nadzieję, że będzie pamiętał czemu.

Ludwik Wroński wydawał się jeszcze starszy, kiedy Jemioła zaczęła zrywać z niego pasma klątwy, poluzowane dymem kadzideł i poświęconych olejów. Ciemne smugi, niczym pokryta sadzą pajęczyna, opuszczały jego aurę, a uzdrowicielka nawijała je na palce niczym włóczkę. Do wiadra słonej wody wrzucała kolejne kłębki prastarej magii.

Gdy ciałem nieprzytomnego zaczęły wstrząsać potężne dreszcze, a z jego gardła wyrwał się jęk bólu, pomyślałam, że może tego nie przeżyć. Był stary, prawdopodobnie poważnie chory, nosił to cholerstwo w głowie

i duszy przez dwadzieścia lat. Bałam się mieć nadzieję. Jednak prawie godzinę później nagle zamrugął oczami, spojrzał na mnie przytomnie i wymamrotał:

– Ona ma te dzieci... Widziałem je... A potem zalało mnie morze bólu i ognia. Zapomniałem, ale znów pamiętam – jęknął, próbując się podźwignąć na łokciu.

– Powoli, jeszcze nie skończyłam – powiedziała Jemioła i podała mu szklankę ciemnozielonego brejowatego napoju. O tak, znałam to cholerstwo aż za dobrze z dni, kiedy to mnie składała po różnych wypadkach. Sięgnęłam po plastikowy kubek na śmieci i podsunęłam Wrońskiemu.

– Po co to? – zapytał niepewnie.

– Pij. Potem podziękujesz.

Może by dyskutował, ale jedno spojrzenie na nieprzejednaną minę Jemioły wystarczyło i zaczął pić. Krzywił się, parskał, ale posłusznie łykał antidotum magiczne. Nawet z odległości paru metrów czułam ciężki, ziołowo-bagnisty smrodek. Odsunęłam się, wiedząc, co nastąpi.

Wroński wypił do dna i oddał Jemiole szklankę, zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, szarpnęły nim torsje. Złapał kubek w ostatniej chwili. Czarna maź, będąca mieszanką antidotum i resztek uroku, wylewała się z niego jak z pękniętej rury kanalizacyjnej przez dobre parę minut.

W końcu wyprostował się, blady i spocony, spojrzał na mnie z potępieniem i rzucił:

– Nie ostrzegłaś!

– Nic by to nie dało, a musiałeś się pozbyć tego gówna. Już ci lepiej?

– Mało powiedziane – przyznał.

– No i świetnie. Pamiętasz, kiedy rzuciła na ciebie ten urok? Nie mogła zrobić tego niezauważenie, musiało boleć jak cholera.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Myślę, że wiem, gdzie jest – oznajmił i zsunął się z wysokiego szpitalnego łóżka. Nogi się pod nim ugięły, więc złapał za jego krawędź.

– Dobra, powiedz mi gdzie, a ja się tym zajmę.

– Po moim, kurwa, trupie – warknął.

– Czyli co? Muszę poczekać jeszcze godzinę?

– Pierdol się, Wilk!

Im bardziej był zły, tym mniej wyglądał na kogoś, kto jest jedną nogą w grobie. Wróciły mu nawet kolory.

– Dajcie mi minutę – odezwała się Jemioła. – Nie chcę mieć zaraz waszej trójki w takim stanie, w jakim ten tu był jeszcze chwilę temu. Mam coś, co może się przydać – dodała.

– As w rękawie zawsze mile widziany – przyznałam.

Kilka minut później wychodziliśmy z Sanktuarium bogatsi o bransoletki z czerwonego sznurka i wisiorków sporządzonych z malutkich lusterek. Wyglądały jak bibelot z jarmarku, ale nie wątpiłam w magię Jemioły.

Kiedy Dankowski pomagał staremu zejść po schodach, Jemioła pociągnęła mnie za rękaw. Cicho, by tamci nie słyszeli, powiedziała:

– Uważaj na niego, Doro, on umiera.

– Przez urok? Za długo go nosił?

– Nie, ma raka płuc. Z przerzutami do kości. Od dawna. Za daleko to zaszło, bym mogła mu pomóc. Nie wiem, jaki cudem jeszcze chodzi.

– Miał niezłatwioną sprawę. Takie rzeczy potrafią trzymać przy życiu.

– Mam nadzieję, że żyje dla czegoś więcej niż zemsta, bo gdy ją w końcu poweźmie...

Skinęłam głową i zeskakując po kilka stopni naraz, zbiegłam do samochodu.

– Gdzie jedziemy? – zapytałam Ludwika. Tym razem to on siedział na fotelu pasażera. Może powinnam go zmusić, żeby został w Sanktuarium, ale nie chciałam tracić czasu na przepychanki. Ahab był gotów dopaść swojego białego wieloryba, a ja nie zdołałabym go powstrzymać.

Dankowski, wciąż oszołomiony, siedział w milczeniu.

Stary glina zmarszczył brwi i machnął ręką.

– Nie wiem dokładnie – przyznał – ale na pewno tam trafię.

*

Wroński pamiętał punkty orientacyjne. Nie znał adresu, dwadzieścia lat temu trafił tam tylko dlatego, że śledził Dankowską. Nie podejrzewał jej, chciał z nią tylko pogadać z dala od męża, więc kiedy zobaczył, że się wybiera na przejażdżkę, ruszył za nią. Minęli roгатki miasta koło starego zajazdu, potem spalony prawie sześćdziesiąt lat wcześniej młyn i spichlerz. Pamiętał rozstaje dróg z wotywną choleryczką, która stała mimo upływu lat, choć plastikowe kwiaty i wstążki całkowicie wyblakły. Dawno nie było epidemii, więc nie składano tu kwiatów ani darów wotywnych. Pamiętał rażony piorunem dąb na skraju drogi i magię, dławiącą i wyciskającą łyzy

z oczu, kiedy go mijał. Dziś niewiele zostało z magii, ale lekko pochylone drzewo wciąż stało.

– Potem odbiliśmy w lewo, piaszczysta droga prowadziła przez zapuszczoną łąkę, ledwie widoczną i tak wąską, że wysokie trawy oplątywały lusterka. Po jakimś kilometrze wjechaliśmy w las...

Wroński mówił z przymkniętymi powiekami, próbując przypomnieć sobie wszystkie detale tamtego dnia. Nic dziwnego, że przychodziło mu to z trudem, skoro przez dwadzieścia lat jego pamięć zacierał urok i upływający czas.

Wąska droga przez łąkę dziś mogła już zupełnie zniknąć, a lasów w okolicy było od groma.

– Pamięta pan, jaki to był las? – zapytałam.

Zmarszczył się, próbując sobie przypomnieć. Miałam wrażenie, że im bliżej kryjówki kani, tym większe spustoszenia w jego pamięci poczynił urok.

– Liściasty, pamiętam brzozy i klony, i że brodziłem w wilgotnych liściach. Było zimno i mokro, jak dziś... Nie wiem czemu, ale zostawiłem auto i szedłem z buta... Może nie chciałem, by mnie usłyszała?

Zamyślił się, próbując sobie przypomnieć, dlaczego porzucił samochód na leśnej ścieżce.

– Czuję, że to już blisko, czuję... magię, coś gęstniało w powietrzu... Silnik się krztusił, jakby nie mógł pracować w tak gęstych oparach magii...

Dobra, to zawężyło możliwości.

– Jak daleko to było od miasta? Kilka kilometrów czy raczej kilkanaście lub więcej? – zapytałam.

– Kilka, nie więcej niż pięć... Pomyślałem, że pod naszym nosem, takie rzeczy... – przypomniał sobie.

Odetchnęłam. A więc nie mogło chodzić o Hexenewald. W takiej odległości od Thornu był tylko jeden liściasty las wypełniony magią. Las Brzozowych Wiedźm. Jakies sto piętnaście lat temu rezydował tam potężny kowen, ale któregoś dnia wiedźmy po prostu zniknęły. Nikt nie wiedział, co się z nimi stało, przynajmniej nigdy nie spotkałam się z racjonalnym wyjaśnieniem. Krążyły plotki, że zaczęły się brzydko bawić i próbowały ugryźć więcej, niż mogły przełknąć. Nauczyciele opowiadali o tym na lekcjach historii magii, by pokazać, do czego prowadzą konszachty z demonami. Z tego, co wiedziałam, nigdy nie wspomniano, że chodziło

o demony słowiańskie, może dlatego, że większość wiedźm z mojego pokolenia, jeśli wchodziła w demoniczne układy, to z piekielnikami.

Jechałam więc do Lasu Brzozowych Wiedźm, mając nadzieję, że moje przypuszczenia się potwierdzą. Posuwałam się wolno, licząc, że coś pobudzi pamięć starego gliny.

– Znam to! – krzyknął Ludwik, pokazując palcem symbole wycięte na brzozowym pniu.

Rozpoznałam kilka najlepiej zachowanych. Tradycyjne ostrzeżenie, które w luźnym tłumaczeniu sprowadzało się do: „Wypierdalajcie z naszej ziemi albo!”. Runy nie mogły być pozostałością po zaginionym kowenu, o czym świadczył wiek brzozy, na oko pięćdziesięcioletniej. Rosła na skraju lasu, zaraz przy zapuszczonej drodze. W wysokich chaszczach widniały wyraźne ślady opon samochodu, który przejeżdżał tędy całkiem niedawno.

Magia lasu wciąż była żywa, gęsta i dusząca. Rytuały przeprowadzane przez wiedźmy z brzozowego kowenu skaziły ziemię na lata. Albo od tamtej pory ktoś regularnie dorzucał do pieca. Z taką aurą las trzymał ciekawskich na dystans. Nawet stado wilków, które od dobrej dekady wykupywało sporo zalesionych hektarów wokół miasta, nie było zainteresowane tym kawałkiem ziemi.

Wjeżdżaliśmy coraz głębiej między drzewa ścieżką tak wąską, że gałęzie obijały boki auta, które kołysało się na wybojach i grzęzło w głębokich kałużach. Długie światła ledwie się przebijały przez mrok zarośli. Nagle droga się rozszerzyła i ujrzeliśmy polanę, na której stał stary budynek – archetypiczny dom złej wiedźmy: stary, zapuszczony, z ciemnymi oknami, z opalanych kłód drewna i opleciony czarną magią. Tuż przy nim stał znajomy czerwony mercedes. Zaparkowałam tak, by w razie czego móc szybko odjechać.

– Dobra, panowie, zaczynamy. Szczepan, ty zostań w aucie, to nie będzie przyjemne – powiedziałam. Wrońskiemu nawet nie zamierzałam tego proponować.

– Pójdę z wami. Muszę wiedzieć. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu dwóch lat – odparł cicho.

Wiedziałam, że nie wypierał tego, co wyszło na jaw, nie chciał tam być, by udowodnić jej niewinność. Ale może potrzebował zobaczyć to, kim była i co robiła, na własne oczy. Może potrzebował ukarać się za to, że nie rozpoznał zagrożenia szybciej, nie domyślił się, nie widział...

– Jeśli będziesz jej bronił, zastrzelę cię – ostrzegł Wroński.

Wyciągnęłam z bagażnika miecz i przypięłam pochwę do paska. Sprawdziłam glocka w kaburze pod pachą. Magia tego miejsca kleiła mi się do skóry, lepka i śliska jednocześnie. Zło czasami miało swój specyficzny zapach, i ten dom pachniał złem.

– Trzymajcie dystans – poleciłam.

Dankowski przytaknął w milczeniu. Wroński zaciskał zęby tak mocno, że zgrzytały. Trzymał kurczowo strzelbę, jakby się bał, że znów mu ją odbiorę.

– Jeżeli ją zobaczysz, strzelaj, tylko dobrze celuj, żebyś nie trafił nikogo z nas – powiedziałam.

– Byłem strzelcem wyborowym, kiedy ty jeszcze szczałaś w pieluchy – warknął.

Wspaniałomyślnie nie wypomniałam mu ostrzelania na ślepo domu Dankowskiego.

Zaczęłam od ostrożnego rekonesansu i zajrzałam do środka przez brudne okna. Ciemne wnętrze wyglądało na niezamieszkane od lat, nie zauważyłam też śladów niczyjej niedawnej bytności. Gdy obchodziłam dom w poszukiwaniu wejścia, zrozumiałam, że to nie on kryje tajemnice, ale teren na tyłach. Kilka zdziczałych, pokrzywionych jabłonek z poczerniałymi jabłkami, które zgniły na gałęziach, otaczało serce tego dziwnego sadu – wielką, starą wierzbę, która emanowała magią tak brudną, że ścisnęło mnie w żołądku, a kwas napłynął do gardła.

Jej potężny pień rozdzielał się na szczycie na trzy bulwy, z których wyrastały długie, zgrubiałe gałęzie. Z ziemi wokół wystawały masywne powróśla korzeni, a wszędzie, gdzie sięgały, gleba wydawała się martwa i jałowa, nic nie chciało tam rosnąć. Podeszłam bliżej, walcząc z instynktem, który kazał mi się cofnąć. Spod spękanej kory wyłaniało się wnętrze wierzby, które ociekało czerwienią, jakby krwawiło. Ktoś niedawno wyciął na pniu nowe, głębokie rysy. Jeśli były to runy czy sygile, nie potrafiłam ich przeczytać, ale czułam pulsowanie magii.

Nagle usłyszałam cichy jęk dobiegający spomiędzy gęstej plataniny korzeni. Uklęknęłam i zaczęłam rozgarniać liście, spod których po chwili wyłoniła się brudna dziecięca twarzyczka. Włosy chłopca były oblepione ziemią i czerwonym drzewnym sokiem... albo krwią. Korzenie tworzyły wokół drobnego ciała organiczną klatkę, jakby wierzba trzymała je w uścisku. Zaczęłam szarpać te zgrubiałe macki, ale ani drgnęły. Sięgnęłam po miecz i raz za razem cięłam korzenie, trysnął czerwony sok, a chłopiec

krzyknął z bólu, gdy uścisk na jego klatce piersiowej się wzmocnił. Cholera!

– Zostaw go! Jest mój! – usłyszałam za sobą. Rozpoznałam głos Ilony Dankowskiej.

Odwróciłam się gwałtownie i stanęłam twarzą w twarz z koszmarem. Atrakcyjna i elegancka kobieta zniknęła. Przedemną stała kania w swojej demonicznej krasie, z twarzą, w której mieszały się elementy ludzkie i ptasie, z przylegającymi do czaszki pasmami pajęczynowych włosów. Zza jej pleców wyrastały potężne, prawie nietoperzowe skrzydła. Wysokie, żylaste ciało ledwie przypominało kobiece, a strzępy pożółkłego płótna okrywały tylko biodra kani. Wyciągnęła w moją stronę dłoń uzbrojoną w czarne pazury i wydała z siebie wysoki pisk, zacisnęła pięść, a fala magii wyrwała się z niej jak rwący potok ciemności. Nie zdążyłam sięgnąć po pistolet, nie zdążyłam uskoczyć, magia uderzyła we mnie jak młot. I zaraz wygasła! Za to bransoletka od Jemioły zrobiła się gorąca, parzyła mi skórę, a lustreczka wibrowały i podzwaniały pod mankietem bluzy. Usłyszałam wystrzał, a ułamek sekundy później krzyk kani. Korzystając z chwili jej nieuwagi, ruszyłam na nią, mając nadzieję, że nie wejdę w linię ognia Wrońskiego. Z impetem wbiłam jej miecz w brzuch, aż poczułam uderzenie rękojeści o żebra. Kobieta krzyczała, fale magii wylewały się z niej wraz z furją, biła na oślep pazurzastymi dłońmi. Rozbrzmiał kolejny wystrzał, ciało kani szarpało się na ostrzu. Musiałam to skończyć, bransoletka była już tak gorąca, że zaczynała dymić! Wyszarpnęłam miecz z trzewi kani i wbiłam go od spodu w jej zuchwę. Natychmiast wyszarpnęłam, czując ostre pazury rozdrapujące mi skórę na szyi. Odkoczyłam i wykorzystałam ten dystans, by wziąć zamach. Mój miecz ze stali piekielników, najlepszy prezent, jaki w życiu dostałam, wszedł w krtań demona jak w masło. Dankowska wreszcie opadła na kolana, ale wciąż nie zamierzała umierać, jej magia zalewała mi gardło jak kwas, dławiąca i gęsta. Przewróciłam ją na plecy i raz jeszcze cięłam przez gardło. Musiałam przydepnąć rękę, którą kobieta zacisnęła na ostrzu, próbując mi je wyrwać. Czy ta cholera nie może po prostu zdechnąć?!

Nagle zjawił się przy mnie Wroński.

– Odsuń się! – warknął i zamachnął się znaną gdzieś siekierą.

Miała krótkie drzewce, który nie pozwalało wziąć solidnego zamachu, jak katowskim toporem, ale stary glina był zawziętym skurczybykiem i rąbał kanię raz za razem, trafiając to w szyję, to w głowę. Jucha tryskała

dookoła, zalewała liście, twarz i kurtkę Wrońskiego, moją odzież także. Uderzał na oślep, w amoku, aż złapałam go i odciągnęłam od zdekapitowanego ciała. Rzucił we mnie wiązanką przekleństw, a potem złapał głowę kani za włosy i odsunął ją od ciała, jakby chciał mieć pewność, że demon nie wstanie. Klapnął na tyłek, zmordowany i zalany posoką, jakby się w niej wykapał.

– Nie żyje – stwierdził z lekkim niedowierzaniem. – Nie żyje! – powtórzył z wyraźną radością.

– Nie żyje – potwierdziłam.

Dotknęłam szyi. Rany nie były głębokie, tyle że mocno krwawiły. Docisnęłam do nich szalik. Nikomu nie pomogę, jeśli zemdleję z upływu krwi.

Kątem oka zobaczyłam, że Dankowski staje nad demonicznym truchłem, które przez dwadzieścia dwa lata nazywał żoną.

– Jak mogła to przede mną ukrywać? – powiedział zbolalym tonem.

– Nie takie rzeczy baby potrafią ukryć przed chłopem, gdy ten gapi się w nie jak w obrazek – burknął Ludwik. Myślę, że chciał być pomocny.

– Bierz tę siekiere, musimy ratować dziecko – zawołałam, biegnąc do wierzby.

Za pomocą siekiery, miecza, mięśni i uporu wycięliśmy drogę do chłopca. Od pasa w dół tkwił w ziemi, więc wygrzebywałam go gołymi rękami, aż wreszcie zdołałam go wyciągnąć. Był cały mokry od krwawego soku wierzby, trząsł się z szoku i zimna. Zabrałam go do samochodu i tam pospiesznie otuliłam kocem i płachtą termiczną.

– Trzeba spalić to cholerstwo – odezwał się za moimi plecami Wroński.

Zgadzałam się z nim, ale pierwszeństwo miało ratowanie dziecka. Nie darowałabym sobie, gdyby zmarło mi w aucie.

– Najpierw zawieziemy małego do Jemioły. Potem wrócimy zrobić tu porządek – zarządziłam.

Pędziliśmy w stronę miasta. Na tylnym siedzeniu Dankowski uspokajał Krzysia, u którego szok przeszedł w histerię. Mały szlochał i krzyczał, wciąż przeżywając swój koszmar. Nie wiedziałam, co dokładnie zrobiła mu kania, ale domyślałam się, w jaki sposób skrzywdziła go wierzba. Miałam nadzieję, że się nie spóźniliśmy, że nie zabrała mu zbyt wiele...

Gdy dotarliśmy do Sanktuarium, zaczynało się ściemniać. Uzdrowicielka stała w oświetlonych drzwiach, jakby się spodziewała, że przyjedziemy

właśnie teraz. Wyglądała źle, jak gdyby pod naszą nieobecność się postarzała – jej twarz była szara, a oczy zapadły się w głąb czaszki.

Dankowski wniósł chłopca po schodach, ja i Wroński szliśmy za nim. Nie chcieliśmy powiększać traumy Krzysia, który rozglądał się przerażony, a my wyglądaliśmy, jakbyśmy grali w horrorze i byli tymi bohaterami, którzy przeżyli do ostatnich minut slashera.

– Wy też do środka – zawołała Jemioła, jakby podejrzewała, że zamierzamy się urwać. – Dora, nie myśl, że nie czuję twojej krwi pod całym tym smrodem – dodała, dusząc w zarodku mój ewentualny protest.

*

Uspiała chłopca naparem z ziół i zajęła się jego obrażeniami. Obmyła go z czerwonej wierzbowej mazi, która zgęstniała na jego skórze jak melasa. Opatrzyła skaleczenia i otarcia, posmarowała maścią z arniki siniaki na żebrach i ramionach, założyła kilka szwów na ranę na czole. Żadne z obrażeń nie wyglądało na zagrażające życiu, ale obrażeń magicznych, najgroźniejszych w tej sytuacji, często nie widać na pierwszy rzut oka. Nie byłam pewna, czy najgorsze miał już za sobą. Nie z kanią i jej wierzbą, będącą jej wiedźmowymi korzeniami, które Dankowska karmiła niewinnym życiem i świeżą magią. Tyle śmierci i bólu, tylko po to, by zachować młodość i wzmocnić swój magiczny potencjał. Gdy powiedziałam Jemiole, gdzie znaleźliśmy chłopca i co się z nim działo, zaczęła dzielić mój niepokój.

– Jego aura jest bardzo słaba – orzekła. – Dużo mu zabrała, co najmniej kilka lat życia. Ale myślę, że ma szansę. Jeśli dożyje do rana, będę zadowolona.

Kiedy skończyła opatrywać Krzysia, poprosiła Dankowskiego, by przeniósł go na łóżko w sąsiednim pokoju. Okryła małego kołdrą.

– Ściągnijcie jego rodziców, myślę, że już się obudzili – poprosiła.

Wykonałam telefon. Pan Miechunka zapewnił, że będą w ciągu kilku minut, w tle jego żona płakała z ulgi i strachu o syna.

Podwinęłam mankiet bluzy, by oddać Jemiole bransoletkę, czy raczej to, co z niej zostało. Czerwona włóczka niemal zniknęła, lusterka poczerniały, metalowe elementy były pokrzywione, jakby oberwały palnikiem, a nie potężnym zaklęciem. Jemioła przecięła supełek i wsunęła resztki bransoletki do kieszeni. Wtedy dostrzegłam coś, co wcześniej przykrywała

czerwona włóczka – pasmo srebrnych, prawie białych włosów. Zrozumiałam, jak wiele ryzykowałam, i nie omieszkłam jej tego powiedzieć.

– A co? Tylko ty, moja panno, możesz nadstawiać karku i popełniać głupstwa? – zapytała, opierając dłonie na biodrach. Teraz było jasne, czemu wyglądała na tak potwornie zmęczoną. Widząc moją zmartwioną minę, wyjaśniła: – Ryzykowałam mniej niż ty, gdybyś tam pojechała bez tej osłony. A pojechałabyś, prawda? I nic mi nie groziło, nie naprawdę. Siedziałam w kręgu wzmocnionym świecami i czekałam na uderzenie. Była z mojego panteonu. Polowała na dzieci w moim mieście. Musiałam pomóc ci się z nią uporać. Gdybym miała dwieście lat mniej, może sama stawiałabym jej czoła.

– Ustalmy, że od łapania demonów porywających dzieci masz ludzi – poprosiłam.

– Dobra, ustalone. A teraz pokaż mi, co tam chowasz pod tym szalikiem – burknęła Jemioła.

Stało się już tradycją, że opatrując mnie, musiała narzekać na moją lekkomyślność, głupotę i nieuwagę, które owocowały różnymi obrażeniami. Ale kiedy już nakleiła mi opatrunek na szyję, ucisnęła mnie mocno i zapytała:

– Załatwiłaś ją, tak na dobre? Żadne dziecko już nie wpadnie w jej łapy?

– Załatwiłam. Z wydatną pomocą Wrońskiego. Odrąbał jej głowę.

– Bardzo dobrze. Takie jak ona nie zasługują na nic lepszego.

Za plecami usłyszałam jęk. Z Dankowskiego uszła cała energia. Zjechał po ścianie na podłogę, skulił się i płakał jak dziecko.

– Jest empatą – szepnęłam Jemiole, która wystraszyła się, że przegapiła u niego jakieś zagrażające życiu obrażenia.

Wszystko, co butelkował w sobie przez ostatnie godziny, teraz się wylało gwałtownym szlochem.

– Och, biedactwo, przeklęta magia w tych okolicznościach!

Chwilę później napiła go ziółkami uspokajającymi i zaprowadziła do drugiego pokoju dla pacjentów.

Wroński siedział sztywno na krześle. Sposób, w jaki trzymał rękę, świadczył, że musiał ją sobie nadwyreżyć podczas zapamiętałego machania siekierą.

– Rozwiązałeś sprawę – powiedziałam po prostu.

Spojrzał na mnie, nie rozumiejąc.

– Wtedy, dwadzieścia lat temu, rozwiązałeś sprawę. Złapałeś ją na gorącym uczynku, a ona praktycznie usmażyła ci mózg, bylebyś zapomniał o niej i wszelkich szczegółach swojego odkrycia. Nie potrafiłeś odpuścić, nawet zamroczony urokiem. Myślę, że dlatego tak się zawzięłeś na Dankowskiego. Urok uniemożliwił przyskrzynienie winnej, ale krążąc wokół jej męża, krążyłeś wokół niej – wytłumaczyłam.

Pokręcił głową.

– Naprawdę myślałem, że to on. Zanim rzuciła na mnie urok.

– Wszyscy popełniamy błędy. Ale gdybyś tam wtedy nie pojechał, nie znaleźlibyśmy jej dziś. Nie znaleźlibyśmy Krzysia.

– Nie znam się na magii... Po co jej byli ci chłopcy?

– Kradła im magię, siły witalne, młodość. To drzewo jest jak bateria. Porządnie naładowane, wystarczało pewnie na dwie dekady, może ciut mniej, bo chciała tu wrócić, zanim jeszcze zmarł jej teść. Nie mogłaby się nakarmić nigdzie indziej, tu miała swoje wiedźmie korzenie.

Nie dodałam, że nie zdziwiłoby mnie, gdyby pomogła staremu Dankowskiemu dokonać żywota i w ten sposób nakłonić męża na powrót do Thornu. Czemu nie przyjechała tu sama? Może naprawdę kochała Szczepana, może była z nim związana w jakiś inny szczególny sposób? Może nie chciała go zostawiać samego na zbyt długo? Choć powody mogły być dużo mniej przyjemne – może musiała go mieć blisko, by podtrzymać urok? Zapewne nigdy tego nie odkryję, a przesłuchiwać Dankowskiego na tę okoliczność nie zamierzałam. Jego świat i bez tego zmienił się w zgliszcza.

– Ten mały, przeżyje? – zapytał Wroński.

– Mam nadzieję. Czas pokaże.

– Byłoby do dupy, gdybyśmy go znaleźli, ale trochę za późno – burknął.

– No, byłoby – przyznałam. Potrzebowałam jakiegoś happy endu dla tej chujowej, na wskroś listopadowej historii.

– Pojedziesz tam teraz spalić to wszystko?

– Rano. Lepiej nie szwendać się w Lesie Brzozowych Wiedźm po nocy.

– Zabierzesz mnie ze sobą – stwierdził, nie zapytał.

Zgodziłam się. Miał prawo do takiego zamknięcia tej sprawy, jakie da mu najwięcej satysfakcji. Jeśli poczuje się lepiej, puszczając przekłętę drzewo z dymem, niech to zrobi.

– Musimy wykopać ciała, zanim podpalimy wierzbę – powiedziałam.

Poderwał głowę, jakby dopiero teraz do niego dotarło, że porwani chłopcy byli tam cały ten czas.

– Załatwię wszystko rano. Odpocznij.

– Możesz zostać tutaj, mamy więcej pokoi – zaproponowała Jemioła, która zdążyła już ululać Dankowskiego. – Weźmiesz prysznic, wyśpisz się, mam zioła, po których przekimasz noc jak niemowlę.

Zgodził się bez protestu. Nie przyznał tego głośno, ale widziałam, że jego ciało szwankuje coraz bardziej, a ból staje się trudny do zniesienia.

*

Wracałam do domu na ostatnich nogach. Starczyło mi fasonu, by nie jęczeć z bólu przed Jemiołą, ale oberwałam naprawdę porządnie, w całym ciele mnie rwało, jakbym miała zakwasy stulecia. Jemioła zdołała unieszkodliwić urok, nie mogła mnie jednak osłonić przed falą uderzeniową. Czułam się, jakbym przywalała w ścianę. Miałam nadzieję, że poprawi mi się po prysznicu. Sól morską powinna usunąć resztki obrzydliwej magii.

Byłam cholernie głodna, ale wiedziałam, że jeśli gdziekolwiek zatrzymam się po jedzenie, rozejdą się wieści, że biegam po mieście zakrwawiona od stóp do głów, z wielkim opatrunkiem na szyi. Wkrótce dotrą do Leona i zanim się obejrzą, będą wiedzieli o tym moi piekielnicy.

Wspinałam się po schodach, snując grzeszne fantazje o ramenie z paczki i resztkę lodów pistacjowych, które powinnam mieć jeszcze w zamrażarce. Droga dłużyła mi się niemiłosiernie, ale po otwarciu drzwi mieszkania czekała mnie nagroda: zapach sosu pomidorowego i zapiekanego sera uderzył w mój nos z intensywnością, od której zaczęłam się ślinić.

W zalanej światłem kuchni siedziała przy stole dwójka najbliższych mi na świecie ludzi. Metaforycznie rzecz ujmując, bo jako diabeł i salamandra z gatunkiem ludzkim mieli niewiele wspólnego.

– Hej, hałastro – przywitałam się, stając w progu.

– O rany, mamó – jęknęła Salcia, przewracając oczami – nie było nas tylko kilka dni, a ty zdążyłaś wpaść w kłopoty?

– Już rozwiązane – zapewniłam. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. – Stęskniliście się?

– Okropnie. Poza tym, skoro pan Cieślik się już wyniósł, to właściwie dlaczego nie miałabym ćwiczyć na podwórku? – zapytała rezolutnie moja

mała spryciula.

– Ogarnij się, za kwadrans wyciągam lasagne z piekarnika – powiedział Miron, przyglądając mi się spod zmrużonych powiek.

Zdażyłam wziąć prysznic i przebrać się w domowe dresy i pluszowe skarpety. Listopad jest dużo mniej uciążliwy, kiedy siedzisz w domu w puchatych skarpetkach i pod kocykiem. Wróciłam do kuchni, czując się już lepiej. Może sprawiła to nie tylko sól i woda, ale ta dwójka. Uściskałam mocno Mirona i Salcię, ze wszystkich sił starając się nie rozkleić, bo musiałabym się im z tych łez tłumaczyć, a sama nie byłam pewna, czemu pchały mi się do oczu. Czy chodziło o tę sprawę? O Ludwika, jego pusty dom? O to, że czasem nie zauważasz, kiedy praca pożera wszystko i zostajesz na starość z duchami białych wielorybów?

Zjedliśmy przy kuchennym stole. Salcia opowiadała mi o swoich przygodach z Irminą, która bardzo poważnie traktowała jej przygotowania do egzaminu i wywierała na nią nadmierną presję. Potem ja podzieliłam się historią o kani, pomijając drastyczne szczegóły.

– Przyda mi się jutro wasza pomoc – rzuciłam w natchnieniu. – Zaoszczędzę mnóstwo na benzynie i zmniejszę ryzyko, że przy okazji sfajczę pół lasu.

Musiałam jeszcze zadzwonić do Katii, ale to mogło poczekać do rana.

Resztę wieczoru spędziliśmy na kanapie, każde owinięte w koc i wyglądające niczym burrito błogości. Oglądaliśmy kreskówkę Pixara, zaśmiewając się aż do bólu brzucha.

– Myślę, Salciu, że po twoim egzaminie powinniśmy zrobić sobie porządny urlop – powiedziałam, wygrzebując resztkę lodów z dna kubelka.

– Urlop? – zapytało moje dziecko, które chyba nigdy wcześniej nie słyszało tego słowa z moich ust.

– Moglibyśmy się wybrać do Olafa i do stada – zaproponowałam. – Zapraszali nas na święta, może zniosą nas przez kilka tygodni?

– Roman się zgodzi na taki długi urlop? – powątpiewało dziecko pracoholiczki.

– Nie będzie miał wyboru. Jeśli się nie zgodzi, będzie szukał nowej Namiestniczki. Ma doświadczenie, na pewno sobie poradzi. – Mrugnęłam rozbawiona.

Już osiem lat piastowałam to stanowisko. Kawał czasu. Na palcach obu rąk mogłam policzyć, ile w tym czasie wybrałam dni wolnego. Pora zadbać o legendarną równowagę pomiędzy życiem i pracą.

21 listopada

Rano zadzwoniłam po Katię. Nie miała lepszych planów na przedpołudnie. Umówiliśmy się pod Sanktuarium, gdzie czekając na nią, chciałam sprawdzić, co z Krzysiem, Dankowskim i Wrońskim. Odetchnęłam, widząc, że Jemiola znów wygląda normalnie.

– Jak tam twoi pacjenci? – zapytałam.

– Wszyscy dożyli rana – powiedziała zadowolona. – Mały Miechunka już się obudził, wszamał spore śniadanie i rodzice zabrali go do domu. Myślę, że dojdzie do siebie bez większych skutków ubocznych. Ma koszmary, ale z tym możemy sobie poradzić. Zdążyliście, zanim zrobiła mu nieodwracalną krzywdę.

– Kamień z serca – westchnęłam.

Wroński wyłonił się z pokoju, w którym nocował, w świeżych ciuchach, nieco na niego przydużych. Jemiola musiała je dla niego zdobyć od kogoś dobre trzydzieści centymetrów wyższego i szerszego w barach, za to węższego w talii. Mimo to wyglądał lepiej niż wczoraj w nocy. W duchu przyznałam, że część mnie obawiała się, że Ludwik nie dożyje rana.

– Jedziemy? – zapytał niecierpliwie.

– Nekromantka zaraz tu będzie. Drużyna ogniowa dotrze trochę później.

Ustaliliśmy z Mironem, że lepiej, by Katia wykopała szczątki przed przybyciem jego i Salci. Małej i bez takich obrazków nie brakowało traum. Miałam po nich podjechać, kiedy nekromantka będzie na finiszu pracy. Nie wiedziałam, czy zajmie jej to godzinę, czy pięć, bo trudno to przewidzieć, zwłaszcza w takim paskudnym miejscu.

Za dnia Las Brzozowych Wiedźm wcale nie wydawał się mniej przytłaczający i przerażający. Mroczna magia wciąż pełzała po moim ciele, przyprawiając mnie o gęsią skórkę. Katia była na nią dużo bardziej odporna, jako że nekromancja i magia śmierci należały w najlepszym wypadku do magicznej szarej strefy.

– Trzy osoby pod wierzbą, małe dzieci – stwierdziła moja przyjaciółka, kiedy okrążyła już zapuszczony dom i przeszła się po sadzie. – Dwie w studni, stamtąd ich nie wyciągniemy, ale leżą tam prawie sto lat, więc niewiele z nich zostało. Sporo szczątków zwierzęcych, tam dalej, pod płotem.

– Dasz radę wydobyć te spod wierzby czy musimy wykopać i pociąć korzenie? – zapytałam.

Spojrzała na mnie, jakbym upadła na głowę.

– Może i jesteśmy w Lesie Brzozowych Wiedźm, ale ziemia mnie słucha – oświadczyła. – Wierzba nie zdoła mi przeszkodzić.

Gdy śpiewała pieśń Matce Ziemi, prosząc ją o oddanie szczątków trzech chłopców, Wroński przysiadł na zwałonym pniu parę metrów dalej, jakby nie chciał, by magia Katii go dotykała. Wpatrywał się w skłębione korzenie, które magiczna moc wypychała spod ziemi, rozplątywała, łamała, oczyszczając drogę dla szczątków. Wystarczyło kilka minut, a między grudami ziemi i odłamkami drewna zaczęły się bielić pierwsze kości. Katia śpiewała niestrudzenie, póki wszystkie nie wydostały się na powierzchnię. Tak niewiele zostało po tych chłopcach, pomyślałam, patrząc, jak nekromantka pakuje kości do plastikowych kontenerów.

– Chcesz, żebym je zawiozła do domu pogrzebowego? – zapytała, otwierając bagażnik.

– Tak. Dam znać Boginie, że będzie potrzebna do identyfikacji, a potem zawiadomię rodziców, że mogą przygotowywać pochówek.

– Ja to zrobię – wtrącił Wroński i dodał ciszej: – Jestem z nimi w kontakcie.

Salcia i Miron uporali się z wierzba i domem w niecałą godzinę. Przed przywiezieniem ich tutaj ukryłam w nim kanię, by nie traumatyzować dziewczynki widokiem zwłok. Ogień trawił wszystko, gorętszy niż zwykle, napędzany i w pełni kontrolowany przez pyra i salamandrę. Czułam, jak oczyszcza to miejsce z mrocznej energii, śmierci i cierpienia, które podkreślały magię kani, a wcześniej kowen Brzozowych Wiedźm. To miejsce już nigdy nie będzie zwyczajne i zawsze będzie przyciągało zdeprawowane istoty i adeptów czarnej magii, dlatego postanowiłam mieć je na oku. Dopiero kiedy przesypywałam popioły gruboziarnistą solą drogową, poczułam, że to naprawdę koniec.

*

Prawie koniec. Potem nastąpiła seria pogrzebów. Staś Modrzewski, Marcin Błaszowski i Piotruś Zdziechowski doczekali się wiecznego odpoczynku, a rodziny wreszcie mogły pożegnać zaginionych chłopców. Byłam na każdej ceremonii pogrzebowej. Wroński też. Staliśmy z boku, by nie rozpraszać bliskich, i w milczeniu obserwowaliśmy małe białe trumny składane do ziemi. Kapłan za każdym razem miał tę samą garść

pocieszających formułek i przypowieści o przedwcześnie zerwanych kwiatach, ale to nie było istotne. Rodziny pogrążone w rozpacz przez ostatnie dwadzieścia lat wreszcie doczekały się finału tej przygnębiającej historii i zyskały pewność co do losu utraconych dzieci. Mogły je teraz pochować i postawić pomniki na ich grobach, by mieć gdzie zapalić świeczkę czy złożyć kwiaty.

Listopad był bezlitosny dla żałobników. Na każdym z pogrzebów padało. Na ostatnim, Piotrusia, lało tak mocno, że gdy grabarze opuścili trumnę na dno grobu, rozległo się głośne chlupnięcie. Wszyscy wracali do domów przemoknięci i przybici. Nikt chyba nie spodziewał się po listopadzie niczego miłszego.

Z pierwszego pogrzebu wróciłam z katarem, z drugiego z gorączką, po trzecim kasłałam jak ze studni. Poszłam do Romana i uprzedziłam go, że na miesiąc znikam z miasta. Nie wiem, co zobaczył w moich oczach, bo nie tylko nie dyskutował, ale nawet zaproponował, że sam się zajmie całą tą kołomyją z remontem, a ja mam wypocząć i wrócić w lepszej formie.

*

Minął grudzień, minęły święta ze stadem i urlop dobiegł końca. Wróciłam do Thornu i wplątałam się w polityczną chryję w Hexenwaldzie. Najwyraźniej wtedy, w listopadzie, pomyślałam o nim w złą godzinę. Kolejny raz po sprawie została kupka kości mieszcząca się w plastikowym pudełku. Czekałam wiosny jak zbawienia.

Wroński jej nie doczekał. Trzy dni przed walentynkami zadzwoniła Jemioła. Zmarł we śnie. Rak go pokonał. A może zabrakło mu tej złości i pragnienia zemsty, które trzymały go przy życiu dłużej, niż wskazywały rachunek prawdopodobieństwa i brutalna diagnoza.

12 lutego

Śnieg z deszczem padał na trumnę i niewielką grupkę żałobników zgromadzonych wokół niej. Rozpoznawałam większość. Rodziny zaginionych chłopców, państwo Miechunkowie i Krzyś, Jemioła, Katia, pojawił się nawet Roman. Niestety nie zauważyłam żadnej rodziny Ludwika.

Stojący blisko trumny sąsiad zmarłego zaciskał szczęki, jakby ze złości, że Wroński zdezerterował, a on został już prawie sam w tej zapomnianej

przez boga i ludzi wsi.

Garbiłam się, naciągając kołnierz kurtki. A mogłam wziąć szalik! Uznałam jednak, że czerwony kolor jest zbyt krzykliwy jak na pogrzeb, a teraz składałam ofiarę z własnego zdrowia na ołtarzu konwenansów. Termometr wskazywał sześć stopni poniżej zera, ale silny, porywisty wiatr sprawiał, że temperatura odczuwalna była bliżej minus dwudziestu. Współczułam tym, którzy wczoraj kopali dół w zamarznętej ziemi.

Kapłan klepał wytarte formułki, szcękając zębami mimo długiego płaszcza i futrzanej czapy. Może gdyby Ludwik doczekał wiosny, na pogrzeb przyszłoby więcej osób, a może zwyczajnie przeżył większość bliskich i znajomych. Została tylko garstka ludzi, których łączyła z nim praca, i bliscy ofiar, o których nie mógł zapomnieć przez dwadzieścia lat, więc i oni o nim nie zapomnieli i przyszli go pożegnać.

I to koniec tej historii.

Na nagrobku ufundowanym przez Romana wyryto napis: „Ludwikowi Wrońskiemu (1949–2018) Obywatele Thornu w podziękowaniu za służbę namiestniczą”.

Wracając do domu, nie mogłam przestać myśleć o tym, że gdyby rak pokonał go kilka miesięcy wcześniej, nie dostałby konduktu pogrzebowego ani nagrobka z wzniosłą formułką.

Może ten listopad nie był taki najgorszy. Pomógł staremu glinie złapać białego wieloryba i odzyskać szacunek miasta, dla którego poświęcił wszystko, co miał. Tyle. Lepszego happy endu nie będzie.



JAK DŁUGO
TRAWI LEW

Marta
Kisiel

– Moje małżeństwo znalazło się na krawędzi – oznajmiła uroczyście Tomira, przystając przed stolikiem. Choć ogółem sprawiała wrażenie opanowanej, ręce jej się trzęsły, aż porcelana, którą przyniosła na tacy, brzęczała cichuteńko. – A za tą krawędzią... jeno otchłań i krokodyle.

– Znowu?

– Tak. – Przełknęła gulę wzbierającą jej w gardle. – Znowu.

Pierwsza fala klientów desperacko złąknionych czegoś, co osłodzi im ten szarobury grudniowy poniedziałek, zdążyła się już przewalić przez cukiernię, należycie pachnącą przyprawą korzenną i przystrojoną w duchu nadchodzących świąt. Teraz, kwadrans po dziewiątej rano, lokal świecił pustkami, mogły więc rozmawiać swobodnie, bez obaw, że któraś z nich coś palnie w obecności osób postronnych i trzeba będzie podjąć decyzję przykrą, acz konieczną. Tomira odstawiła pustą tacę na stolik obok i przysiadła się do przyjaciółek.

– No i co? – dopomniała się po chwili, bo obydwie zamiast na niej skupiły się na gorących napojach, jak gdyby ten dramatyczny wstęp umknął ich uwadze. – Nie macie mi nic do powiedzenia?

– Najpierw może ustalmy rzecz podstawową – zaczęła Kira, gdy już wymoczyła i wycisnęła do cna torebkę earl greya. Rozejrzała się, ale najbliższy kosz na śmieci stał przy drzwiach, a jej stanowczo nie chciało się dźwigać z krzesła. Rzuciła zatem torebkę na skraj spodka, nie przejmując się ewentualną kałużą, i chwyciła za widelczyk, żeby zabrać się do ciasta. – Oczekujesz od nas rady czy ojojania?

– Rady. I ojojania. Ale najpierw ojojania.

– Ojoj... – Kira przerwała tę kaskadę współczucia i przyjrzała się badawczo wypiekowi, którego pierwszy kawałek trafił właśnie do jej ust. Poruszyła językiem, sprawdzając teksturę i smak. – Tomciu, co ja właściwie jem? – wybełkotała z pełną buzią.

– Jagielnik.

– Dlaczego?

– Dlaczego jesz czy dlaczego jagielnik?

– Tak?

– Och, przestań. Wszyscy teraz zamawiają jagielnik, to nowy zielony mech. Tylko mniej zielony.

– Nie, kochanie. Nie. – Kira, kręcąc głową, odłożyła widelczyk, wypluła to, co miała w ustach w papierową serwetkę, po czym odsunęła od siebie talerzyk wraz z hitem dzielnicy. – Po prostu... nie.

– Ale jagielnik to bardzo zdrowa alternatywa dla klasycznego sernika, a twój cholesterol...

– Ja nie mam cholesterolu – przerwała przyjaciółce Kira. – Okej? Ty też nie masz cholesterolu, żadna z nas nie ma cholesterolu, bo cholesterol jest dla mięczaków, którzy potrzebują tętna i takich tam różnych. Biała mąka. Cukier. Jajka. Tłuszcz – wyliczyła na palcach. – Plus czekolada, ma się rozumieć. Odpowiednia dawka czekolady uratuje wszystko. No, prawie wszystko – dodała, mierząc porzucony jagielnik pełnym obrzydzenia spojrzeniem.

Filomena przysłuchiwała się tej wymianie poglądów, miarowo kręcąc długą łyżeczką w wysokiej szklance z tycim uszkiem. Uwielbiała te wymyślne kawy z tych wymyślnych maszyn – latte macchiato, cappuccino, marocchino, mokka, dolce far niente, pod warunkiem że przed spożyciem wszystkie warstwy zostały należycie wymieszane, smaki się połączyły, a pianka opadła i nie drażniła jej w podniebienie. Podniebienie Filomeny nie lubiło, kiedy się z nim drażnić. Reszta Filomeny zresztą też.

– Dobrze, to co z tą otchłanią? – podjęła temat, kiedy Tomira wróciła do stolika z nową, bardziej standardową słodkością dla Kiry, która mruknęła:

– O, i teraz to ma sens. – I z lubością wgryzła się w słusznych rozmiarów pączka z powidłami, oblanego czekoladą. Gorzką, bo gorzką, ale czekoladą.

Tomira odetchnęła dramatycznie, aż jej zadrżała falbanka na gorsie. Czy też raczej jedna z wielu falbanek na gorsie. Bo Tomira uwielbiała falbanki. Podobnie jak marszczenia, zakładki, plisy, bufki, wstążki i kokardki. Miała też wielką słabość do pasteli, przez co w firmowym wdzianku własnego projektu wyglądała jak słodka, wyrośnięta beza – czyli w sumie tak, jak właścicielka uroczej, kameralnej cukierni wyglądać powinna. Wydeła usteczka, podniosła na przyjaciółki wzrok zranionej łani i w końcu wypaliła:

– Bo Hubercik chyba planuje mnie zabić.

O ile Tomira przypominała bezę, o tyle czarnowłosej, zielonookiej Kirze najbliżej było do drapieżnego ptaka wpatrującego się intensywnie w puchatą ofiarę, jeszcze nieświadomą, jeszcze kicającą radośnie przez kwietną łączkę czy zagon inszej kapusty.

– Co mu zrobiłaś?

– NIC!!!

– Aha. – Kira przełknęła kęs pączka i uniosła gęstą, kruczoczną brew, na której widok połowa kosmetyczek w mieście dostawała bezdechu. – Już my znamy to twoje nic. A zabić to cię próbuje tak dla urozmaicenia pożycia małżeńskiego?

– Nie wiem, w jakim celu on planuje mnie zabić, skąd ja mam wiedzieć, w jakim celu on planuje mnie zabić?!

– Zapewne w takim celu, żebyś była mniej żywa, a bardziej martwa – podsunęła Filomena równie rzeczowo, co łagodnie. Przeczucie podpowiadało jej, jak to się skończy, i to przeczucie najgorsze z możliwych, bo rosnące bujnie na żywocze z bogatego doświadczenia. Wolą jednak nie uprzedzać wypadków, tylko pozwolić, by rozwinęły się w naturalnym tempie. Tak będzie lepiej, uznała, lepiej dla Tomci, którą czekało sporo emocji najgrubszego autoramentu, i lepiej też dla nich, którym przyjdzie ją w tym wspierać. Odstawiła szklanę i powściągliwym gestem poprawiła siwy pukiel, który osunął jej się nieco na czoło, burząc ogólny ład wizerunku. – Ale może zacznijmy od początku. Skąd wysnułaś taki wniosek?

– Bo Hubercik zrobił się ostatnio taki trochę niemrawy – zaczęła Tomira, nieco naburmuszona, że z takim lekceważeniem podeszły do dramatu, jaki rozgrywał się w jej życiu prywatno-uczuciowym. – Z początku sądziłam, że wdał się w romans, w końcu to już ten wiek, że ludziom chodzą różne rzeczy po głowie, prawda, że nagle zaczynają o sobie dbać, zapisują się na boks albo na siłownię, albo na garncarstwo, zmieniają nawyki, samochody, dezodorant... A potem pomyślałam sobie, że nie no, gdzie, Hubercik nie jest przecież romansowy, więc może to przez tę pogodę, ludzie kiepsko znoszą listopad. I grudzień. I w ogóle... różne miesiące. Dlatego zaproponowałam, żebyśmy może wyskoczyli gdzieś na tydzień lub dwa, tak dla odmiany. Może jakieś spa, jakieś narty, a może Afryka, przecież zawsze chciał zobaczyć dzikie... afrykańskie... rzeczy. Słońce, safari, no wiecie. Nawet się ożywił, zaangażował, zaczął szukać ofert, czytać komentarze, porównywać, więc się ucieszyłam. Aż pewnego dnia akurat przechodziłam

sobie czystym zrządzeniem losu obok i tak mi się rzuciło w oczy, co miał otwarte w przeglądarce. Tak... Jak sądzicie, czego chciał się dowiedzieć mój mąż, szykując się do wyjazdu do Afryki? Bo ja na przykład chciałabym wiedzieć, na co się powinnam zaszczepić, jakie lekarstwa zabrać, jaki filtr, czy plaża będzie piaszczysta, czy kamienista, czy wszędzie strone urwisko i śmierć w bezdennej kipieli. Podstawowe rzeczy, kiedy się planuje wyjazd do Afryki, prawda? Prawda? No więc nie. Mój mąż... – przerwała i przez moment nieprzytomnie trzepotała rzęsami, walcząc ze łzami zdradziecko napływającymi do oczu – mój mąż najbardziej chciał się dowiedzieć, jak długo trawi lew.

– Czekaj, bo nie wiem, czy dobrze zrozumiałam. – Kira chwyciła za filiżankę i pociągnęła z niej łyk herbaty, nie przejmując się w ogóle temperaturą płynu. – Twoim zdaniem Hubercik planuje cię rzucić lwom na pożarcie?

– Sądziłam, że była mowa o krokodylach? – Filomena uniosła brew.

– Krokodyle były chyba w przenośni.

– A lwy?

– Lwy ciut dosłowniej.

Tomira oblała się rumieńcem, bo concept, który od paru nocy skutecznie spędzał jej sen z oczu, w ustach Kiry zabrzmiał nedorzecznie. Naprawdę nedorzecznie. Kompletnie, całkowicie, absolutnie.

Sęk w tym, że nie był to pierwszy raz.

Ani drugi.

Ani nawet trzeci.

– Może... może źle się wyraziłam – bąknęła. Próbowwała wycofać się rakiem, udąć, że to nie tak, że to nieprawda, choć było już za późno, widziała po ich twarzach. – Nie tyle planuje, ile... tak mu się marzy?... Tak trochę...

– Biedny... – Filomena ze współczuciem pokręciła głową.

– Biedny?! Że niby on?!

– Och, Tomciu. – Filomena położyła dłoń na dłoni przyjaciółki i delikatnie ścisnęła. – Wiesz, że jak mało kto doceniam klasyczne rozwiązania, ale czy ty wyobrażasz sobie, jaki on musi przeżywać konflikt wewnętrzny? Jemu na gwałt potrzeba solidnego katharsis. Rzucenie żony lwom na pożarcie to nie jest najlepsza metoda radzenia sobie z emocjami i stresem. Jeszcze mu się utrwali.

– Słuchaj, jeśli chcesz zyskać na czasie, mogę z nim pogadać... – podsunęła Kira, którą drugi pączek na talerzyku nastroił nieco życzliwiej do problemów przyjaciółki.

– Nie będziesz prała mózgu mojemu mężowi! – oświadczyła dobitnie Tomira, nie zostawiając żadnych niedopowiedzeń.

– No teraz to się powinnam obrazić. Próbuję pomóc, z wrodzonej dobroci serca i starannie wypracowanych mechanizmów kompensacyjnych, a ty najpierw karmisz mnie jagielnikiem, a potem łzysz etykę zawodową! I coś na kształt godności!

– Gdybyś naprawdę chciała komukolwiek pomagać, poszłabyś na psychologię – odgryzła się Tomira. – Ale zamiast tego wybrałaś coaching. Jedenastą plagę egipską!

– E, nie. – Kira zmarszczyła nos i sięgnęła po drugiego pączka. – To nie dla mnie. Psycholog głównie słucha, a ja wolę głównie mówić. Ludzie i tak powinni się cieszyć, że poszłam w coaching zamiast w marketing bezpośredni. Sprzedałabym tyle kołder, że zabrakłoby wielbłądów.

– A próbowałaś może... no wiesz... – Filomena pieczołowicie dobierała słowa, żeby nie wpędzić Tomiry w jeszcze głębszy popłoch. – Nie osaczać swojego męża? Tak dla odmiany?

– Oczywiście! – Tomira aż się zarumieniła z oburzenia. – Jestem dobrą żoną... tym razem. Troszczę się, dbam o dobrostan, wysyłam co rano buziaczkowe emotki, piekę zdrowe ciasta i domowy chleb, pilnuję ciśnienia, wybieram skarpetki z odpowiednim ściągaczem, nie za mocnym, ale też nie za słabym, odnawiam subskrypcje, przypominam o badaniach okresowych...

– Faktycznie, to brzmi totalnie jak nieosaczanie – mruknęła Kira. – Totalnie. Co mogło pójść nie tak...

– Byłoby dobrze, gdyby nie ten przeklęty lockdown!!! – ryknęła naraz ludzka beza z furkotem falbanek, aż echo poniosło się po pustym lokalu. – Musiałam zamknąć cukiernię na pewien czas, potem niby otworzyłam, ale nie do końca, no bo ciągle były jakieś obostrzenia. A Hubercika wypchnęli na zdalną. Początkowo jakoś bardzo nie narzekał, miał przecież swój kąt do pracy, poza tym nie tracił czasu w korkach, wysypiał się, jadł świeże ciepłe obiady...

– A ty? – Kira weszła jej w słowo. Nie odrywała przy tym oczu od zdyszanej Tomiry i dałaby sobie rękę uciąć, że Filomena robi dokładnie to samo. – Co ty wtedy robiłaś?

– Ja? – odparła niby nonszalancko, ale zbyt piskliwie. Odkaszlęła nerwowo. – Ja tylko... ja... siedziałam sobie w kąciku i patrzyłam... i patrzyłam... i... i to jakoś tak samo...

– Wy dwoje. Razem. Co do minuty. Przez caluteńką dobę.

– Mniej więcej.

– A ty na niego patrzyłaś?

– Troszeczkę...

Kira wydała z siebie przeciągły bulgot, Filomena natomiast, jak na stateczną starszą panią przystało, rzuciła sponad kawy tonem łagodnej przygany ze szczyptą rozczarowania:

– Kiedy ty wreszcie zmądrzejesz...

– A to jest jakiś obowiązek?! – nadeła się Tomira. – A może ja wcale nie chcę zmądrzeć, może chcę czasem zrobić coś głupiego?!

– To sobie wytatuuj zezowatego aniołka na półdupku! – Wepchnąwszy sobie do ust resztę pączka, Kira dokonała szybkiej rewizji poglądów. – Okej. Po namyśle stwierdzam, że te lwy to nawet humanitarna opcja. Nie patrz tak na mnie, ty wiesz, co ludziom porobił w głowach ten cały lockdown? Nawet bez twojego... PATRZENIA?

– A mnie tam się nawet podobało – przyznała Filomena. – Może nie wszystko, ale te pustki w tramwajach, na ulicach... ta cisza... Zupełnie jak kiedyś. Albo godziny dla seniorów, świetny wynalazek. Trzeba było widzieć miny tych szczyli, kiedy wychodziłam ze sklepu z ostatnią konsolą na stanie.

– Tych samych szczyli, którzy poszli za tobą i próbowali cię napaść w ustronnej parkowej alejce? – upewniła się sucho Kira.

– No. Próbowali, próbowali. – Filomena pokiwała głową. – Już więcej nie spróbują.

Kira przewróciła oczami, darując sobie dalsze komentarze, po czym zwróciła się do drugiej przyjaciółki:

– Okej, zatem kontynuując. Który to już będzie?

– A bo ja wiem? Siódmy? – strzeliła Tomira w popłochu, bo nigdy nie potrafiła nic policzyć na chybcika, kiedy ktoś patrzył. Odkąd przyszła raz osobiście złożyć korektę, po miejscowej skarbówce krążyło na jej temat kilka dowcipów. I co najmniej jedna legenda.

– I nic? Zero wniosków? Spostrzeżeń? Skojarzeń? – Zielone oczy Kiry wykonały kolejny dynamiczny obrót. – Ty się naprawdę nigdy nie nauczysz, co?

– Taka moja natura! – zaprotestowała z całą mocą, aż tu i tam zafurkotały jej falbanki. – Taka już jestem i... i... i już. Podążam za głosem serca, a moje serce pragnie Hubercika. Aktualnie. Nic na to nie poradzę!

– Owszem, poradzisz. – Kira twardo obstawała przy swoim. – Tłumaczyłyśmy ci to już wielokrotnie. Po pierwsze, człowiek to nie chomik. Żyje ciut dłużej niż dwa lata i z reguły do pełni szczęścia nie wystarczy mu kołowrotek oraz garść trocin. Potrzebuje przestrzeni, sporego wybiegu, rozsądnej rutyny i precyzyjnie dawkowanego urozmaicenia, żeby nie zszedł z nadmiaru emocji. Gdyż, po drugie, co za dużo, to niezdrowo. Ludzie są delikatni, a ciebie jest bardzo dużo nawet bez falbanek. I jesteś bardzo, bardzo niezdrowa. Zlituj się, Tomciu, zlituj się nad tym mizernym gatunkiem.

– Ale co ja mogę...

– Możesz iść w pełną ascezę – podsunęła natychmiast Kira. – Możesz iść w okazjonalny seks bez zobowiązań, polecam gorąco. Albo, skoro już się upierasz przy budowaniu relacji na długie dystanse, możesz zacząć się wiązać z samcami bardziej z naszego grajdołka. Proponowałam przecież, że cię umówię z jednym szakalem. Ułożony, trzyma czystość, wierny jak pies, aktywny, odrobacza się regularnie. Ale nie, nie, bo po co, najwyżej znów będziemy szukać naprawdę dużego pudełka po naprawdę dużych butach...

Urwała, bo zamyślona Tomira wcale nie słuchała jej gderania.

– A może Hubercik wcale nie marzy o tym, żeby się mnie pozbyć? – wyszeptwała, zapatrzona w przestrzeń. – Może to tylko kryzys wieku średniego?

– Tak, Tomciu. – Filomena uśmiechnęła się dobrodusznie. – Twój kryzys wieku średniego. Średnio raz na wiek zaczyna ci się cknić do męskiej piersi pod ręką. A to prędzej czy później zawsze ma swoje konsekwencje. Przykre, przykre konsekwencje...

– No niestety – przytaknęła Kira ponuro. – Związki ze śmiertelnikami zawsze źle się kończą.

– Zwłaszcza dla śmiertelników – dodała Filomena.

– Tak czy siak, Tomciu, lockdown czy nie lockdown, facet ewidentnie zaczyna mieć dość. Zerwijże ten plaster. Daj mu rozwód i po sprawie.

– Nie, dziękuję. Mam swoje zasady, nie uznaję rozwodów. I wydoskonale o tym wiecie, bo, jak zdążyłyśmy ustalić, to już mój siódmy mąż. Lub ósmy. Prawdopodobnie. Choć mogłam się pomylić o... trzech? Nie, czekaj...

– A zgony uznajesz? – zapytała słodko Kira. – Bo przypominam, że mamy dwudziesty pierwszy wiek. Bazy danych, technologie, internet, monitoring, social media i teorie spiskowe. Nikt już nie kupi izolowanego przypadku czarnej ospy, diabelskich czarów, samozapłonu czy cudownego wniebowstąpienia. Pozostaje zatem albo legalny rozwód, albo równie legalny zgon.

W sarnich oczach Tomiry rozblęskło przerażenie.

– Nie... Nie! – wydusiła, podrywając się z krzesła. – Ja Hubercika zabić nie dam! Nie dam!!! Po... po moim trupie!!!

Kira też wstała i zaczęły się zawzięcie kłócić. Mało brakowało, żeby skoczyły sobie do gardeł nad porzuconym jagielnikiem, bardzo możliwe też, że ucierpiała przy tym jakaś kokardka.

A Filomenę jakby grom z jasnego nieba strzelił.

– Ale to jest dobre rozwiązanie... – szeptała w oszołomieniu. – Nawet bardzo dobre. Humanitarne takie. Tomciu, skarbie... Och, przestańcie już! – fuknęła na obydwie przyjaciółki. – Dość tego, siadaj! I ty też, potem jej łeb ukręcisz. A teraz posłuchaj – zwróciła się do wciąż wzburzonej bezy. – Nie będziemy krzywdzić Hubercika, skoro tak go lubisz. Zrealizujemy jego fantazję i zabijemy ciebie. Rozumiesz? Sfingujemy twoją śmierć.

Była to myśl. Śmiała. Szalona wręcz. Kusząca, a nade wszystko, wbrew wszelkim pozorom, przyjaźniejsza Hubercikowi.

– Czy mogę wtrącić konstruktywną krytykę bez ryzyka spazmów i obrażeń? – zapytała Kira z przesadną ostrożnością. – Jak już, to musimy sfingować śmierć, pogrzeb i postępowanie spadkowe. Taki pakiet.

– Da się załatwić. Znam paru fachowców z naszego, jak to ujęłaś, grajdołka.

– Wy to sobie wybijcie z głowy! – zaprotestowała Tomira. – Żadnych zgonów, nie mówiąc już o pogrzebach. Zamierzam żyć długo i szczęśliwie, bo mnie z Hubercikiem jest bardzo dobrze.

– Tak, tak. A Hubercikowi jest tak dobrze z tobą, że zaczyna fantazjować o dokarmianiu zwierzątek. Bardzo dużych, bardzo zębatych zwierzątek – wytknęła jej Kira, zaraz jednak zmieniła podejście. – Słuchaj, kochanie, ja wszystko rozumiem, przywiązałaś się, no bo kto by się nie przywiązał? To bardzo uroczy Hubercik.

– Posłuchaj, Tomciu. – Filomena przypuściła atak z drugiej flanki. – Wiemy, że bardzo kochasz Hubercika, ale sama widzisz, co się dzieje.

Znowu. Tak będzie najlepiej. Dla ciebie też, choć przede wszystkim dla niego. Rozwód jest doświadczeniem bardzo traumatycznym...

– A śmierć to niby nie?!

– Och, Tomciu, nie piskaj. – Tym razem do głosu Filomeny wkradł się ton przygany. – Przecież nie przykujemy cię do skał Kaukazu. Sama pomyśl. Skąd ja ci tu wezmę sępa?

– Sęp to nie problem, skąd ty jej tu weźmiesz Kaukaz?

– Załatwimy to humanitarnie – obiecała Filomena. – Z głęboką troską o walory estetyczne oraz kruchą ludzką psychikę. Żadnych drastycznych widoków, żadnych fontann płynów ustrojowych i wewnętrzności luzem. A twoja śmierć naprawdę rozwiązuje problem. Sama pomyśl. Hubercik przeżyje żałobę, owszem, za to zachowa czyste sumienie i nieskazitelną kartotekę, a dodatkowo oszczędzimy mu przytłaczającego poczucia, że poniósł życiową porażkę.

– Właśnie! – Kira pośpieszyła ze wsparciem, bo dostrzegła w tym ostatnim argumencie wielki potencjał do wykorzystania. – Spójrz na sytuację z tej strony. W oczach innych kobiet Hubercik nie będzie odpadem atomowym ze złą, niedobrą eks na karku, strzępem mężczyzny czy tam innym ochłapem porzuconym w byle kącie, żeby sobie gnął i ewoluował, tylko pocziwym, biednym misiem, którego trzeba przytulić i skleić mu pęknięte serduszko. Ułoży sobie życie na nowo... – Szurnęła krzesłem, przysuwając się bliżej, chwyciła przyjaciółkę za drugą dłoń i uśmiechnęła się prawie nie krwiożerczo. – No. Tomciu. Nie bądź taka. Wyjdź z bąbelka, przełam schemat. Zaplanuj sobie śmierć.

*

– Sama nie wiem... – powtarzała Tomira raz po raz. – Źle mi z tym. Czuję się, jakbym wrabiała niewinnego człowieka w coś bardzo przykrego.

Był trzydziesty pierwszy dzień grudnia, wczesne piątkowe przedpołudnie. Pracownicy sklepu przemykali chyłkiem, skupieni już tylko na przetrwaniu tych ostatnich godzin czystego szaleństwa, w jakie zwykle przeistaczała się druga połowa grudnia. Klienci próbowali zapanować bądź to nad korelacją listy zakupów z zawartością koszyka, bądź nad bąbelkami spragnionymi przygód, w szczególności zaś lizania powierzchni płaskich. Szloch ostatecznej rozpaczyny niósł się hen, z działu ze słodyczami, w którym jakiś znępany ojciec stracił pośród żelków i cukierków resztki nadziei,

godności i człowieczeństwa. W tych warunkach nikt nie zwracał uwagi na trzy kobiety w wieku różnorodnym, snujące się sklepową alejką niczym widma, które powróciły na ten łez padół, bo znów czegoś zapomniały. Na przykład kupić ciasto francuskie albo płyn do płukania tkanin.

Albo ostatni raz omówić mniej więcej zaplanowaną zbrodnię.

– W nic nikogo nie wrabiasz, wprost przeciwnie. – Nieskończenie cierpliwa Filomena nie przestawała zapewniać Tomiry. – Starannie odsuwasz od wciąż niewinnego człowieka wszelkie podejrzenia, wykazując przy tym głęboką troskę o jego przyszłość. Którą to przyszłość będzie mógł dzięki tobie realizować z dala od murów najbliższego zakładu karnego. Same plusy.

– To co? Może być pizza? – zapytała Kira, która z pogardą minęła warzywa i przystanęła przed lodówką z gotowcami. Z tego wszystkiego całkiem zapomniały, że wypadałoby kupić na wieczór jakieś przekąski i może coś konkretniejszego. – Ta z salami naprawdę daje radę, a skoro nikt nie będzie miał głowy do gotowania...

– Tam nie ma piekarnika – poinformowała ją Filomena.

– Okej. – Zmarszczywszy brwi, Kira szybko rozejrzała się po półkach. – W takim razie może pierogi? Do pierogów wystarczy garnek z wrzątkiem.

– Garnków też nie ma.

– Nie no, ręce opadają. Nie ma piekarnika, nie ma garnków... To co tam jest?!

– IDEALNE WARUNKI – warknęła Filomena, definitywnie zamykając dalszą dyskusję na temat wyposażenia domku w górach, w którym miały spędzić nadchodzący wieczór i noc.

Próbowała pociągnąć Tomirę dalej, lecz ta jakby wrosła w posadzkę. Odkąd spotkały się pod sklepem, zachowywała się nerwowo, choć starannie to kryła. Chyba uznała, że dość zachodu.

– Naprawdę musimy to robić? A ty byś nie mogła... no wiesz? – Obejrzała się tęsknie na Kirę, lecz ta z miejsca rozwiąła wszelkie nadzieje.

– Bym nie mogła. Jestem wspaniała, to fakt, ale nawet ja nie dam rady wmówić twojej śmierci całemu współczesnemu światu. Znaczy, nie bez sfabrykowania paru solidnych dowodów, na co w obecnej sytuacji nie mamy już czasu, oraz użycia środków masowego przekazu i social mediów, a dostęp do nich z jakiegoś powodu jest dla mnie...

– Wykluczony – ucięła Filomena.

– Drugi raz nie popełnimy tego błędu – poparła ją Tomira twardo i niewzruszenie, mimo ogólnej nerwowości, jaka od niej była.

– Rany boskie, przecież nie rozpętałam żadnej wojny...

– Ależ skąd, skarbie. Jedynie wmówiłaś rzeszom ludzi na całym świecie, że polewanie się lodowatą wodą z wiadra to wymarzona rozrywka dla singli, par oraz rodzin z dziećmi.

– Oraz Supermana – dodała Kira, dumna z siebie jak rzadko. – Nie zapominajmy o Supermanie! Jak on się wzdrygnął pod tym wiadrem...

– Przykro mi, Tomciu. – Filomena emanowała współczuciem i dobroduszością. – Bardzo bym chciała, żeby tym razem wyszło inaczej, ale jak głosi wieszczba, nic nie może przecież wiecznie trwać.

W ułamku sekundy Kira była już przy nich.

– Przypominam, że jesteśmy w miejscu publicznym – wycedziła do Filomeny z osobliwym trelem, jak gdyby ta groźba wzbierała jej aż w zatokach. – Takim ze świadkami i monitoringiem. Jeśli zaczniesz śpiewać i płasnąć między białym serem a mielonym z indyka, przysięgam, albo zacznę śpiewać razem z tobą, albo przestanę się krępować i odgryzę ci głowę, a wtedy cały plan pójdzie się paść. – Odsunęła się, odrzuciła włosy i zrobiła głęboki wdech, żeby odzyskać panowanie nad sobą. – Parówki! Tak! Parówki nadadzą się doskonale.

Korzystając z tego, że Kira rzuciła się na poszukiwanie parówek, Filomena prędko ujęła otępiałą Tomirę pod łokieć i poprowadziła ją dalej alejką, w stronę pachnącego pieczywa.

– Przecież wiesz, jak to jest – tłumaczyła zniżonym głosem. – Najpierw zachwyty, że lata mijają, a ty nadal taka piękna i młoda. Potem narastające stopniowo podejrzenia, wreszcie pewność, że coś tu przeczy naturze, aż którejś nocy tłum z pochodniami puka do drzwi i pyta, czy wyjdiesz się pobawić. Ewentualnie budzisz się, a tu twój mąż właśnie bierze zamach siekierą, z którą od pewnego czasu zwykł sypiać. I nie żebym ci wypominała bądź czyniła wyrzuty, ale nadal masz na karku ścieg mereżkowy.

– Tobie to łatwo powiedzieć...

Filomena zachnęła się na te słowa.

– Och, już nie marudź. No... no dobrze, nie przeczę, mam nad wami tę małą przewagę. Ale czasy się zmieniają. Teraz połowa kobiet się farbuję, ostrzykuje i naciąga. Dobrze zrobiona sześćdziesiątka może z powodzeniem

uchodzić za czterdziestkę, nawet przez dekadę lub dwie, i nikt nie zgłasza zastrzeżeń ani nie ostrzy siekiery. W zasadzie też byś tak mogła.

– Ale? – zapytała Tomira.

Wypisana na jej twarzy grobowa posepność nijak nie komponowała się z bladoróżowym płaszczykiem i berecikiem w pastelowe paseczki, spod którego wystawały dwa złociste kucyki. Filomenie aż się serce krajało.

– Ale Hubercik najwyraźniej by nie mógł – odparła. – Niektórzy ludzie kiepsko znoszą upływ czasu. Nie wszyscy sprawdzają się w dłuższych związkach.

Tomira ze świstem wciągnęła powietrze i zacisnęła wargi. Do oczu napłynęły jej łzy. Od stóp do głów była teraz kupką pastelowego nieszczęścia.

– No już, już. – Przyjaciółka przyciągnęła ją mocno do siebie i zaczęła z zapamiętaniem głaskać po plecach. – Przywiązałaś się, ja wiem. Ja wiem. Jakoś przez to przejdziemy. Aczkolwiek nadal uważam, że dla złagodzenia szoku należało to zrobić w święta, ale cóż. Było, minęło.

Kira, która właśnie dogoniła je przy pieczywie, aż się skrzywiła z niesmakiem.

– No weź, Fila, tego się nie robi człowiekowi. Żeby mu się potem już zawsze święta kojarzyły ze zgonem? Nie, nie. – Pokręciła głową i dorzuciła jeszcze trzy paczki chleba tostowego do parówek zalegających w sklepowym wózku. – Mówię wam, noc sylwestrowa to najlepsza okazja na głupią i bezsensowną śmierć. Ludzie durnieją masowo i nikt nie jest tym zaskoczony, a służby mają taki kocioł, że wszystko przejdzie. Musimy się tylko trzymać prostych, sprawdzonych rozwiązań. Żadnego cudowania, żadnych niewyjaśnionych okoliczności i wymyślnych przyczyn zgonu. Pros-to-ta.

Tomira wydała z siebie coś między rzewnym westchnieniem, jękiem spłoszonego ptaszęcia a bulgotem konającego bawołu. Powoli godziła się z nieuniknionym, docierając do tego przykrego punktu, w którym czekały na nią przyjaciółki.

– A czy ja się mogę chociaż dowiedzieć, co mnie zabije? – wyszeptała przez łzy.

– A to nie wolisz mieć niespodzianki? – zdziwiła się Filomena.

– NIE.

– Uniwersalny morderca wszelkiej niewinności, nadziei i marzeń. Alkohol – orzekła Kira uroczyście.

Na ułamek sekundy oczy Tomiry pociemniały z oburzenia.

– Mowy nie ma! – palnęła bez ogródek. – A gdzie cześć mej pamięci?! Albo umrę na trzeźwo, albo wcale, więc lepiej wymyśl coś innego!

– Ale...

– WYMYŚL!!! – powtórzyła Tomira strasznym głosem, kompletnie nielicującym z osobowością bezy, i ze stukotem obcasów oddaliła się ku słonym przekąskom.

– Ja wiem, że Tomcia istnieje na tym świecie, żeby chłonąć promienie słońca i czuć wiatr we włosach... – Kira urwała i wzniosła oczy ku sufitowi. – Ale jeśli sądzi, że najlepsze wypadki ze skutkiem śmiertelnym dzieją się na trzeźwo...

– Jakoś ją przekonasz. A alkohol przyda się tak czy inaczej – słusznie zauważyła Filomena i udała się w kierunku wiadomym.

Nie musiała oglądać się za siebie, rytmicznie pobrząkiwanie sprzączek za plecami mówiło jej, że nadal ma towarzystwo. Wyjątkowo milczące.

Co innego młody facet w sportowym ubraniu, który kuczał przed regałem i kontemplował różnorodną ofertę czteropaków. On nawet nie zauważył zbliżających się kobiet, dopóki jedna z nich nie postanowiła go bezpośrednio zagaić:

– Przepraszam pana bardzo. Czy mógłby mi pan przeczytać, co tu jest napisane?

Oderwawszy się na moment od czteropaków, facet ze zdumieniem stwierdził, że stoi nad nim starsza pani, model klasyczny – łagodnie pomarszczona, z siwymi włosami zgarniętymi w kok, postury drobnej, w beżowym płaszczu ożywionym apaszką w malowane kwiecie – i podsuwa mu pod nos flaszkę wiśniówki.

– Ale... że gdzie?

– O tu, tu, te cyferki... – Wskazała palcem na dolną część etykiety. – Czy to, proszę pana, jest może osiem?

– Nie, to jest zero.

– Jak to zero? Trzydzieści procent? Boże drogi... toż ja mogłabym umrzeć! – stwierdziła z oburzeniem i czym prędzej odstawiła butelkę na regał. – Jednak co młode oczy, to młode.

– Twój *vibe* niemieckiej emerytki zaczyna mnie coraz bardziej niepokoić – stwierdziła Kira, kiedy zdezorientowany facet na wszelki wypadek umknął czym prędzej z dwoma czteropakami, a Filomena przestała wreszcie szatańsko chichotać.

– Och, przestań. – Machnęła lekceważąco ręką i sięgnęła po inny trunek, z wyraźniejszą etykietą. – Trzydzieści... osiem. O! I to rozumiem!

– Nie zmieniaj tematu.

– Kiedy mnie tak jest bardzo dobrze – poinformowała uprzejmie, acz nieugięte. Wstawiła flaszkę do koszyka i po szybkim zastanowieniu wzięła z półki jeszcze drugą. – Mówię, co chcę, zawsze mam miejsce siedzące w tramwaju i przez większość doby jestem niewidzialna dla większości społeczeństwa.

– To bardzo źle i to się nazywa ejdżyzm – wyłożyła Kira, nawet nie próbując ukryć głębokiego zniesmaczenia.

– Ogółem tak – zgodziła się bez mrugnięcia okiem Filomena. – Lecz obydwie dobrze wiemy, że z nas trzech taki ogół jak z koziej dupy waltornia, więc pozwolisz, że pozostanę przy swoim. Mam kamuflaż doskonały oraz święty spokój.

– I konsolę.

– I konsolę!

W kolejce do jedynej czynnej kasy czekała już zniecierpliwiona pastelowa beza z naręczem przekąsek. Kiedy dołączyły do niej z wózkiem, z tyłu poniósł się cichutki pomruk niezadowolenia, nikt się jednak nie ośmielił zaczepić starszej pani i zaproponować wprost, żeby spadała na koniec. Ani tym bardziej zrobić tego czarnowłosej furii, która jej towarzyszyła. Kiedy furia odwróciła się i omiotła ogon kolejki wzrokiem, który w sposób przykry nasuwał skojarzenia z drapieżnym ptaszyskiem wypatrującym obiadu, zapadła cisza jak makiem zasiał.

I właśnie w tej ciszy spośród chaosu oferty promocyjnej, spośród rondli, narzut, puzzli i pościeli – wyłonił się mężczyzna wzrostu zdecydowanie powyżej średniej i masy proporcjonalnej, acz nieprzesadnej, z krótką, jasną brodą i zakolami sięgającymi tam, gdzie wzrok nie sięgał. Bledszy niż szanse polskiego reggae w kolejnej odsłonie Eurowizji. Wymemłany życiem. Zadumany.

Hubercik w całej swej okazałości.

Ani wijący się przez kilkanaście metrów ludzko-wózkowy ogonek, ani powszechna konsternacja z elementami lęku nawet nie musnęły jego uwagi. Dążył ku małżonce niczym samonaprowadzany pocisk Hubercik-Tomira, aż wreszcie dotarł do celu. Podniósł wzrok, za wzrokiem – ręce, w rękach zaś rozpościerał się złączony żyłką trójpak majtek, których fason klócił się nawet z przesadnie emeryckim vibe'em Filomeny.

– Znalazłem. Dla ciebie – poinformował żonę i okolice tubalnym głosem. – Powinny pasować, co?

Na moment w sklepie zapanowało głucho milczenie i równie martwy bezruch, jak gdyby wszystkim, od klientów po pracowników, odpalił się ten najbardziej pierwotny mechanizm nakazujący człowiekowi stopić się z tłem w obliczu śmiertelnego zagrożenia.

– Przypomnij mi, za co ona go tak kocha? – wymamrotała Kira dwadzieścia minut później, gdy zapłaciły i ruszyły z zakupami do samochodu, zostawiając w tyle Tomirę z Hubercikiem oraz bielizną.

– Nie kocha się za coś, tylko wbrew – wytknęła przyjaciółce Filomena, chociaż jej ręka jakoś tak sama sięgnęła po skasowaną flaszkę, przycisnęła ją do emeryckiej piersi i tak już została.

– A, to nie. Luz. To ja tu widzę bardzo dużo... wbrew.

– Naprawdę nie chcę brzmieć jak starożytna skorupa, ale za moich czasów mężczyźni... wiesz.

– Tak, tak, wiem. Łby urywali hydrze, młode dusili centaury. Przypominam, że epoka aleksandryjska minęła już ładnych parę lat temu. Zapomnij o sandałkach do luźnej togi. Nikt już nie przesiaduje w beczkach, wymyślając filozofię. Teraz w modzie są drwale w rurkach.

– A czy to się musi tak od razu wykluczać...?

– Drwal i sandałki? – Kira uniosła brew i usiadła za kierownicą. – To rani moje uczucia religijne.

– BHP to nie religia – wytknęła Filomena, wciąż z flaszką w objęciach pakując się na siedzenie obok.

– Aha. Powiedz to Sabince...

*

Rzeczywiście, domek, który wynalazła Filomena, wprost idealnie nadawał się na miejsce zgonu – czy to zaplanowanego z dbałością o szczegóły, czy też improwizowanego. Z braku lepszych rozwiązań mogły wykorzystać choćby naturalne ukształtowanie krajobrazu, ponieważ chatka stała sobie samotnie między zboczem biegnącym stromo w dół a zboczem biegnącym stromo w górę. Żeby tam dotrzeć, trzeba było odbić od głównej drogi i przez kilka minut wspinać się z mozołem zaśniewoną, wąską serpentyną. Drzewa wokół rosły na tyle gęsto, że nawet przy braku listowia, naturalnym o tej porze roku, ledwo dało się wypatrzeć od strony szosy choćby zarys

budynku. Wystarczyło jednak odejść kawałek dalej, żeby odnaleźć prześwit i dość płaską skałę sterczącą ponad przepaścią, skąd rozpościerał się zapierający dech w piersi widok na ośnieżone Karkonosze. W dole blask ostrego zimowego słońca odbijał się w oknach i dachach pobliskiego miasteczka, chyba Szklarskiej Poręby. Żadnego krępującego sąsiedztwa, żadnych przypadkowych przechodniów, żadnych potencjalnych świadków. Gdyby nie obecność Hubercika, w zasadzie mogłyby zakończyć oficjalny żywot Tomiry choćby na samiutkim progu.

No właśnie.

Hubercik.

Obecność przyszłego wdowca była zmienną, której nie przewidziały. Wepchnęła im się do równania w ostatniej chwili, na parkingu pod sklepem. Kira i Filomena zaniemówiły, widząc we wstecznym lusterku, jak Hubercik, zamiast wziąć chrupki, życzyć żonie udanej zabawy i podrażować z powrotem do małżeńskiego mieszkania, pakuje się na tylne siedzenie razem z Tomirą. Przez całą drogę w samochodzie rozbrzmiewały jedynie przeboje muzyki współczesnej, przerywane zdawkowymi komunikatami nawigacji. Filomena skupiała się na hołubieniu flaszki, Kira na prowadzeniu i trzymaniu języka za zębami, a Tomira z całych sił udawała, że wszystko gra, tak miało być, ona nie wie, o co im chodzi i dlaczego się czepiają.

Filomena wprowadziła kod do skrytki przy drzwiach i wydłubała z niej klucze. Wnętrze domku powitało ich chłodem, poza tym nie budziło jednak większych zastrzeżeń. Co prawda aneks kuchenny składał się ze zlewu na jeden talerz i góra dwie szklanki oraz z pojedynczej szafki z czajnikiem elektrycznym i opiekaczem, ale to wystarczyło, żeby przez kilka dni nie umrzeć z głodu. Pstrokaty narożnik, dwa pufy do kompletu i podłużny stolik z korbką podnoszącą rozkładany blat może i trąciły mocno latami dziewięćdziesiątymi, za to zapewniały warunki do konwersacji, socjalizacji i kolacji, czyli spełniały swoją podstawową funkcję. Filomena doszła widać do podobnych wniosków, bo orzekła:

– Trochę tu zimno, ale zaraz się napali.

– Napali się, napali. – Kira z uznaniem pokiwała głową. – W tym oto wolno stojącym żeliwnym kominku. Bardzo kanciastym wolno stojącym żeliwnym kominku.

– Prąd... jest. – Filomena kilkakrotnie pstryknęła włącznikiem światła, a następnie sięgnęła do kranu w aneksie. – Bieżąca woda... również.

Warunki do życia stwierdzono. Chodźcie, dziewczęta, zobaczymy, co jest na górze.

– No i sama zobacz, Tomciu – ćwierkała głośno Kira do bezowej przyjaciółki, gdy wspinały się po wąskich drewnianych stopniach. – Dwie sypialnie na piętrze, łazienka na parterze, a pomiędzy nimi... kręte, ażurowe schody ze słabym oświetleniem, za to bez poręczy. Nic, tylko umierać!

– Idę do samochodu po rzeczy – zawołał z dołu Hubercik.

Chwilę później usłyszały dźwięk zatraskiwanych drzwi.

Kira ani myślała marnować takiej okazji. Przez te trzy godziny jazdy trochę jej się nzbierało do wykrzyczenia.

– Co ci strzeliło do łba, żeby zabierać go ze sobą?! – ryknęła bez wahania. – Mało facetowi nadchodzącego wdowieństwa, musisz mu koniecznie dorzucić przykre widoczki do pakietu wspomnień?!

– Spanikowałam!!! – wycharczała Tomira i zaczęła się gorączkowo tłumaczyć.

Z samego rana miotała się po mieszkaniu, szykując do ostatniej drogi – zwanej przez nie roboczo „sylwestrem P&P” – gdy jej mąż wyłonił się z sypialni i oświadczył nieoczekiwanie, że tak w zasadzie to chętnie zabierze się razem z nimi. Co prawda nigdy dotąd nie świętował zmiany kartki w kalendarzu, nie pił też szampana ani w zasadzie żadnego innego alkoholu, no i pierwsze P jak przyjaciółki trochę go nie dotyczyło, bo z najlepszymi kumpelami żony nie było mu za bardzo po drodze. Ale to drugie P, jak planszówki, dotyczyło go, interesowało, ba, wręcz przyzywało namiętnym głosem. Był więc gotów znieść całą tę towarzysko-improwowaną otoczkę, żeby spędzić noc na upojnym turlaniu kostek oraz liczeniu zysków i obrażeń. Tomira w ostatniej chwili ugryzła się w język, bo już w niej wezbrała instynktowna radość bezbrzeżna wraz ze stosownym okrzykiem, że och, jak cudownie, obrażenia miały przecież w planach!

Gdyby zachowała zimną krew, gdyby najpierw zadzwoniła do dziewczyn... Albo gdyby Hubercik chociaż miał katar, żeby go mogła odesłać do łóżka, odmawiając obcowania z zarazą nieustalonego pochodzenia. Ale nie. Był zdrow jak rydz, a spakował się szybciej niż ona.

Więc – spanikowała.

I teraz miała za swoje, bo dotarło do niej, że w istocie mógł to być niezbyt szczęśliwy pomysł, biorąc pod uwagę całokształt planów, jakie miały na nadchodzący wieczór. Widok martwej małżonki mógł

pokrzyżować Hubercikowi dalsze życiowe losy, a nawet zawiązać na nich spory supełek.

– Nie umiałam nic wymyślić, żadnej wymówki ani nic. A poza tym – dodała tonem narastającej rozpacz – może ja chciałam się nacieszyć ostatnimi wspólnymi chwilami, co? Nie pomyślałyście o tym?! Wy obie jesteście silne i niezależne. A ja tak bez drugiego człowieka nie potrafię! Samotność i niezależność nie leżą w mojej naturze! Bez człowieka nie umiem... nie potrafię... nie jestem sobą!!!

– Wiemy... – Kira delikatnie, niemal pieszczotliwie położyła dłoń na jej ramieniu. – Wiemy, Tomciu.

– Co się stało, to się nie odstanie – podsumowała Filomena tonem tęsknie filozoficznym. – Poradzimy sobie. Musimy tylko jakoś wpleść twoją śmierć w naturalny bieg prozaicznych wydarzeń.

– A ja nawet mam pewien pomysł! – pochwaliła się Kira i zbiegła prędko na parter. Kiedy do niej dołączyły, mieszała już z rozmachem drinka-mordercę. – Przykro mi, ale w zaistniałej sytuacji tak całkiem na trzeźwo się nie da. Wypij to. – Wręczyła Tomirze pełną szklanekę i nie spuściła jej z oka, póki cały drink nie trafił do żołądka. – Brawo. A teraz bądź dzielną dziewczynką, łap za tę wielką siekierę w kącie i leć narąbać drewna.

Śmiały plan diabli jednak wzięli, bo rozpędzoną bezę z siekierą już po kilku metrach zatrzymał troskliwy Hubercik. Wymieniwszy siekierę na kuferek z kosmetykami, sam zajął się rąbaniem i noszeniem drewna z przytulonej do domku niewielkiej dREWUTNI.

– No! – Hubercik z rozmachem klasnął w dłonie, kiedy w żeliwnym kominku buzował już ogień i atmosfera w środku zrobiła się bardziej sprzyjająca spotkaniom towarzyskim. Nie licząc, rzecz jasna, nuty zawodu, która unosiła się dyskretnie w powietrzu. – To w co gramy? Jakiś filerek na początek czy walimy od razu z grubszego kalibru?

– Gramy?...

– Miało być pe end pe – przypomniał. – Tak? Planszówki i planszówki?

– Przyjaciółki – poprawiła skrzętnie Kira.

– Tylko do pierwszej śmierci! – odparł Hubercik żartobliwie, kiwając palcem.

Z jakiegoś powodu żadna z nich się nie zaśmiała.

– To co zabrałyście? Jakieś ulubione tytuły?

Tomira spojrzała na Kirę.

Kira spojrzała na Filomenę.

Filomena sięgnęła do torebki.

– Chwileczkę... chwileczkę – powtarzała, podczas gdy na stoliku łądowały kolejne przedmioty: trzy motki włóczki, druty z żyłką, paczka mokrych chusteczek, tabletki na zgagę, scyzoryk, bidon z wodą, paczka miętusów, szydełko, składana parasolka, plastry na odciski...

– Serio? SERIO? – pytała raz po raz Kira, nie odrywając oczu od rosnącego stosu.

– Och, przestań już. Miętuska?

Podczas gdy Filomena i Kira kłóciły się o jakiś vibe, cokolwiek to znaczyło, Hubercik bardzo próbował ogarnąć sytuację rozumem, ale miał z tym spore trudności. W końcu postanowił zwerbalizować dręczący go dylemat, w nadziei, że upragniona odpowiedź przyjdzie do niego z zewnątrz:

– Nie zabrałyście na planszówkową imprezę żadnej planszówki?

– No... jakoś tak wyszło...

– MAM! – zakrzyknęła wreszcie Filomena i uniosła wysoko dłoń z płaskim tekturowym pudełkiem. – Proszę bardzo!

Piotruś. Piotruś... z jednoroźcami.

Następne godziny były jednymi z najtrudniejszych w życiu Hubercika. Wcale nie przez rozczarowanie – bo je przełknął dość szybko, zagryzając bananowymi babeczkami z żurawiną i orzechami włoskimi, które upiekła jego małżonka, a którymi nikt poza nim nie chciał się częstować. Przeboleł nawet jednoroźcowego Piotrusia, gdy się okazało, że przy tej karciance Kirę z Filomeną ponoszą emocje na skalę Monte Carlo.

Nie.

Jego koszmar zaczął się potem.

Hubercik wyciągał z walizki filerka za filerkiem, prezentował, tłumaczył, zachęcał szczerze i serdecznie – a w te trzy jakby zły duch wstąpił. Filomena stwierdziła, że skoro ma pod ręką i druty, i włóczkę, to w sumie czemu by nie ruszyć z jakąś ciekawą robótką i co z tego, że brakuje jej rąk do trzymania kart, po co szukać problemów tam, gdzie ich nie ma. Kira wprowadzała nerwową atmosferę, emanując jednoznacznie wrogim stosunkiem do szeroko pojętych gier planszowych, a w przerwach latała mieszać nowe drinki dla Tomiry, która robiła wszystko naraz. Piła, grała, przytrzymała włóczkę, żeby nie zlatywała z narożnika, dokładała do kominka, to wynosiła trunki na podwórko, żeby chłodziły się w śniegu, to znów po nie wracała, biegała do samochodu, na piętro, do łazienki i znów

do samochodu. Przy okazji rozdarła sobie rajstopy, oparzyła się w dłoń, wleciała w dwie zasy i prawie skręciła kostkę, wpadając w poślizg na zakręcie.

A kiedy już udało im się na chwilę usiąść w komplecie i skupić na grze, przy stoliku toczyły się dialogi, które stanowczo przekraczały Hubercikowe zdolności pojmowania:

- Makao!
- Jakie znowu makao, skoro gramy w Piotrusia?
- A gramy?!
- Aha. To ja... kupuję samogłoskę!
- Okej. Wchodzę za pięć.

Walcząc rozpaczliwie o resztki zdrowych zmysłów, Hubercik przeciągnął dłonią po twarzy. Okruszki bekonowych chrupek utknęły mu w brodzie.

– Jeszcze raz. W Piotrusia graliśmy na początku. Od dwóch godzin już nie gramy w Piotrusia. Ta gra polega na tym, że zadajemy sobie słowa. W parach. Jedna osoba z pary zadaje, a druga ma zgadnąć, o jakie słowo chodzi. Tak? Czy to jest może za trudne? – zapytał tak życzliwie, jak tylko mógł. – Bo z filerków mam jeszcze takie jakby scrabble, tylko bez liter. Wiem, brzmi dziwnie – uprzedził zastrzeżenia Hubercik – ale to bardzo proste. Zamiast liter są kolory i symbole. Gwiazdki, kółka, kwadraty i tak dalej.

- Lubię gwiazdki... – wymamrotała Tomira jakby do siebie.

Filomena szybko przemyślała koncept.

- Brzmi ciekawie. A kiedy się umiera?

– Wcale się nie umiera.

– Wcale? A dlaczego? Miało być z umieraniem. To po co my w to gramy?

Skonfrontowany z uprzejmym, lecz niezaprzeczalnym oburzeniem starszej pani Hubercik podniósł się bez słowa z pufa i podszedł do swojej walizki, którą porzucił w kącie. Aż stęknął z wysiłku, gdy wydobył z niej słusznych rozmiarów pudło w kolorach mrocznych. Odstawił je na stół i przystąpił do krótkiej, lecz konkretnej prezentacji:

– Kooperacja. Przygoda. Czynniki losowe. Krwiożercze monstra i ich mocodawcy. Samotni śmiałkowie stający twarzą w pysk z niebezpieczeństwem. Śmierć, pożoga, zniszczenie.

– No. – Filomena z uznaniem skinęła głową. – I teraz zaczynasz mówić z sensem.

Podniesiony na duchu Hubercik bez dyskusji zabrał się do rozkładania świata z przyległościami, zanim któraś z nich zmieniła zdanie. W tym czasie Kira odpaliła toster i zabrała się do szykowania obiadu w postaci sterty tostów z serem oraz zimnych parówek, które wsadziła do szklanek na piwo.

– Nie chciałbym krytykować twojej kuchni – zwrócił się do Kiry Hubercik, kiedy zasiedli wreszcie do rozgrywki z umieraniem – ale wiem z doświadczenia, że tosty z serem bardzo zyskują na smaku, jeśli doda się do nich ser.

– Wystarczy więcej keczupu. Okej, wydaję dwa złote, żeby kupić... jakiś tam karnisz.

– Dwa dukaty za Kostur Zagłady – poprawił Hubercik, starając się zachować klimat i nie tracić cierpliwości. I przełknąć ostatni kęs tosta z serem bez sera.

– No mówię przecież. Karnisz Zagłady. I lecę z nim do... – Kira pochyliła się nad planszą – ...do Londynu.

– Nie możesz do Londynu – zaniepokojony Hubercik przystąpił do mozolnych tłumaczeń. – W Timbuktu jest aktywna brama i trzy potwory, w tym Kolczasty Mordulec poziomu czwartego. Jeżeli przesuniesz się do Londynu, w następnej turze Mordulec zaatakuje najbliższego gracza, czyli Tomcię, a ona ma na sobie Ogłuszenie, Paranoję i Były Sobie Świnki Trzy.

– I... co w związku z tym?

– Zginie od byle pierdnięcia!!!

– No! To idealnie! Tomciu, giniesz.

– Czekaj, co masz na ręce? – Hubercik zawisł nad żoną i szybko przejrzał jej karty. – Zagraj to! To zagraj! To ci daje unik o większej wartości niż obrażenia zadane przez Mordulca, w swojej turze zdążysz uciec przed nim gdzieś dalej. No i git. Fila, twoja kolej.

Filomena, między kolejnymi ruchami pochłonięta emocjonującym dzierganiem na drutach, jak gdyby nigdy nic przerobiła rządę do końca. Dopiero potem, nie odkładając robótki, pociągnęła kartę z wierzchu talii i bez czytania podetknęła Hubertowi pod nos.

– Co to jest? – zapytała.

– Łaska Niebios. A czy mogłabyś zacząć sama czytać kar...

– I co to robi?

– Musisz wybrać gracza, który otrzyma dwa obrażenia mentalne. Dowolnego gracza, czyli możesz wybrać również siebie. Co byłoby nawet

rozsądne, bo masz z nas największą odporność na...

– Zatem dwa na Tomcię.

– Czyli umarłam? – zapytała Tomcia, wpatrzona w planszę zupełnie bez entuzjazmu. W ten sam sposób odnosiła się do trzeciego już drinka, którego właśnie sączyła, zakąszając zimną parówką. – Czy oszalałam, bo nie wiem?

– NIE! – zakrzyknął triumfalnie Hubercik. – Bo teraz ja zagrywam Łaskę Niebios, żeby cofnąć skutek dowolnej karty urazu! Słuchajcie, może jeszcze raz streszczę zasady, bo odnoszę wrażenie, że nie do końca łapiecie ideę kooperacji...

– Wprost przeciwnie – wymamrotała pod nosem Kira. – Ktoś inny tu nie nadaża.

– To teraz ja, tak? I to mnie zjada?

– NIE! Znaczy... znaczy tak, ale...

Filomena łypnęła kontrolnie na szklankę Tomiry, po czym odchrząknęła, przybierając minę nieszczęsnej, słabowitej staruszki.

– Zimno tu jakoś... – rzuciła płaczliwie. – Tomciu, bądź tak kochana i przynieś mi skarpetki. Te z torby. Tej na piętrze.

– Ja zaraz przyniosę – zaoferował Hubercik z nosem znów w kartach małżonki. – Tomcia musi teraz zagrać...

W odpowiedzi biedna staruszka przybrała na sile. Tomira bezbłędnie wyczuła presję. Dźwignęła się z narożnika i chwiejąc się nieco, rzuciła mężowi bardzo dumne i bardzo nieprzytomne spojrzenie.

– Jestem silną, niezależną kobietą, a ty mi nie mów, co mam robić! – wybełkotała kategorycznie.

– O słodki panie... no i zgubiłam oczko.

– Przecież mówię, że przyniosę! – zawołał Hubercik, a na jego pocziwym obliczu malowała się wstępna panika z nutą szczerzej troski. – Tomciu, siadaj, ty jesteś nietrzeźwa. Jeszcze się zabijesz na tych schodach!

– A czy... czy to byłby jakiś problem? – zapytała ostrożnie Kira.

Mężczyzna jednak nie słuchał.

– YOLO! – poniósł się z piętra wzgardliwy okrzyk Tomci.

– No i coś ty zrobił?! – naskoczyła na Hubercika Kira.

– Ja?!

– Podważasz jej sprawczość!

– I kompetencje! – wsparła przyjaciółkę Filomena.

– Jeśli coś podważam, to wyłącznie trzeźwość! – zaprotestował Hubercik. – I może jeszcze przyczepność jej rajstop na śliskim podłożu!

– A może ona sobie nie życzy przyczepności?! Może ona sobie życzy poślizgów, piruetów i potłuczeń?!

Hubercik czuł, że na przemian to się gotuje, to truchleje, przygwożdżony spojrzeciami tych dwóch kobiet, najlepszych przyjaciółek żony, które wpatrywały się w niego nieprzerwanie, aż od tego wpatrywania miał ochotę chwycić za topór i wrzasnąć albo uciec i wrzasnąć, albo... albo po prostu wrzasnąć. Tyle że wrzask nie leżał w jego naturze. Skonfundowany Hubercik, szukając jakiegokolwiek wybawienia, rzucił okiem na swój telefon.

– Wiecie co? – Podniósł się gwałtownie z pufa i z komórką w garści sięgnął do wieszaka po swoją kurtkę. – Ja... ja... ja sobie pójdę! Pójdę po... po coś. Zaraz wrócę.

Ledwie zniknął za drzwiami domku, Kira i Filomena zerwały się jak oparzone z narożnika i poleciały na piętro. Znalazły Tomirę w jednej z sypialni. Siedziała na podłodze po turecku i ściskając w dłoniach pasiaste skarpetki, kiwała się w przód i w tył. Całkiem przy tym zapomniała o mruganiu.

– Teraz, Tomciu, teraz mamy szansę!

– Ja nie mogę, ja nie mogę – powtarzała. – Ja tak nie mogę, nie mogę, nie mogę!!!

– Spokojnie, Tomciu, już, już. – Kira przyklękła obok. – Wszystko będzie dobrze. Nie czujesz się gotowa? Okej. Jeszcze dwa drinki i zginiesz na pierwszym stopniu. Albo zakręcie. Albo potworze. Zobaczysz. Chcesz? Damy ci siekiere, rączka ci się omsknie...

– Nie rozumiesz!!! – Oczy Tomci pociemniały o ton lub dwa. – Nie pamiętasz, kim ja jestem? Metabolizuję szybciej niż człowiek. O wiele szybciej. WSZYSTKO. Cukier, toksyny, alkohol. ALKOHOL!!!

Filomena zmarszczyła brwi.

– Jak bardzo szybciej? – zapytała ostrożnie.

– Musiałabym się rzucić w przepaść i pić w locie, żeby nawet najbardziej zaufany patolog wykrył alkohol w moim organizmie i uznał go za przyczynę nieszczęśliwego wypadku. Mówiłam wam przecież, że alkohol to złe rozwiązanie!!!

– Jasna cholera. Tego nie uwzględniłam. Sądziłam, że się głupio upierasz przy godności...

– Cicho! – syknęła naraz Filomena i zastrzygła uszami, bo wydawało jej się, że usłyszała na dole jakieś poruszenie. Poruszenie, którego Hubercik

w pojedynkę nie zdołałby dokonać. A potem, już całkiem wyraźnie, usłyszała jakiś nieznaną jej głos.

Nie, nie głos.

Głosy.

Na dole byli obcy – w liczbie mnogiej.

Dziesiątki scenariuszy przemknęły jej przez umysł, a wszystkie zaczynały się i kończyły tymi samymi obrazami: zaciszny dom na uboczu, w lesie, z dala od ludzkich siedzib – i funkcjonariusze policji próbujący ustalić, ile ciał da się złożyć z tych porzucanych tu i ówdzie członków. Ostrożnie, bezszelestnie zeszła kawałek i wyjrzała między stopniami.

A gdy zobaczyła, co działo się na parterze, Filomena zareagowała instynktownie.

Skoczyła.

*

W domku eksplodował chaos. Jednak tak jak z pierwotnego chaosu w końcu wyłonił się mniej więcej uporządkowany świat, tak i tu sytuacja po chwili okrzepła.

Pierwszy z obcych, w bawełnianej bluzie z kapturem wystającym spod płaszczka, przywarł plecami do drzwi, jak gdyby z całych sił pragnął zjednoczyć się z ich materią. Bładoniebieskie oczy mało nie wypadły mu z orbit. Równie wstrząśnięty Hubercik zastygł pochylony nad planszą niczym gargulec i z niezrozumiałego powodu trzymał ręce w górze.

Obydwaj wpatrywali się w drugiego z obcych, wiotkiego faceta w okularach i czarnej kurtce, który starał się nie ruszać i nie oddychać, co trochę kłóciło się z próbami mówienia. W końcu poddał się i nabrał powietrza, żeby wydusić w zrozumiałym pośpiechu:

– Czy... czy mogłaby pani zabrać swojego pieska... kotka... ssaka... nie, czekaj... to są pióra?

Wielkie stworzenie, które ciężarem swojego cielska wbijało mężczyznę między poduchy narożnika, z zainteresowaniem obwąchało mu tors, potem krocze, i jak gdyby nigdy nic polizało go po twarzy.

– Wiesz co, to jest już dość krępujące – stwierdziła Tomira, trzeźwa jak noworodek.

– No właśnie o tym...

– Nie do ciebie mówiłam, Krzysiu. Filomeno, proszę zejść z człowieka.

– To ty znasz tych gości? – zdziwiła się Kira.

– Oczywiście, że znam! To kumple mojego męża. Krzyś jest weterynarzem, a Seba... Seba jest bardzo miły – przedstawiła po kolei gości równie zaskakujących, co zaskoczonych. – Co wy tu robicie?

– Zadzwoń im po nich – wymamrotał Hubercik. – Po... poprosiłem, żeby przyjechali.

– A po co?

– Bo wy trzy... wy trzy to... to stanowczo za dużo na mnie jednego. Za dużo! Potrzebowałem wsparcia!

Stworzenie tymczasem zlązło z człowieka i usiadło przy nodze Kiry, by stamtąd to prezentować zębiska, to znów gruchać przymilnie w kierunku Krzyśka.

– Serio? – zdziwiła się Kira. – Ten gość? Przecież on nawet nie nosi sandałów!

– Odbieram sprzeczne sygnały... – przyznał Krzysiek, wciąż spomiędzy poduch.

– Fila, zlituj się, ułatw panu postrzeganie.

Stworzenie parsknęło, odbiło się przednimi łapami od podłogi, po czym na ich oczach przeistoczyło się w żwawą, dobroduszną emerytkę w dżinsach i dzierganej kamizelce narzuconej na białą koszulę.

– CHRYSTE PANIE!!! – wrzasnął Hubercik, a Krzyś i Seba zawtórowali mu dzielnie.

– Och, nie, nie – odparła promiennie Filomena i poprawiła zmierzwione włosy. – Nie ta mitologia. Zupełnie nie ta.

– Czy ja wiem? – Tomira zmarszczyła czoło. Nikt by pewnie tego nie zauważył, jako że skrywała je gęsta, sięgająca brwi grzywka, gdyby razem z czołem nie marszczyła też perkatego nosa. Wyglądała przez to niczym nadąsany wielkanocny króliczek. – Wpływy bliskowschodnie w chrześcijaństwie są dość... CZY WY MOŻECIE PRZESTAĆ SIĘ DRZEĆ?! Własnych myśli nie słyszę!

Trzej mężczyźni posłusznie skręcili fonię do zera. Seba zdążył jeszcze wymamrotać na bardzo długim wydechu:

– Ranyboskieranyboskieranyboskie...

– Mówiłam? – Kira spojrzała wymownie na Filomenę. – Mówiłam. Vibe z piekła rodem.

– Myślę, że nie o vibe im chodzi. Gdzie to ja...

Rozejrzała się za swoją robótką i dostrzegła ją na podłodze między narożnikiem a wciąż poddanym Hubercikiem. Zrobiła krok w jej stronę i Hubercik drgnął spazmatycznie.

– NIE ZBLIŻAJ SIĘ DO MNIE, TY... TY...

– Ej! – Kira spiorunowała go wzrokiem. – Może by tak grzeczniej, młody człowieku?!

Zbity z tropu Hubercik na chwilę zapomniał o przerażeniu.

– Co? Co ty chrzaniisz?! Jestem od ciebie starszy!

– Nie, nie jesteś. – Kira założyła ręce na piersi. – Powiem więcej. Wszyscy trzej razem wzięci nie jesteście starsi od choćby jednej z nas. Więc gęby w kubeł, rączki na kołdrę i proszę się zachowywać. Bo w dziób! Ja już nie mam nic do stracenia!

– Och, tak. – Filomena sięgnęła po porzuconą robótkę i przysiadła sobie na narożniku, obok weterynarza. – My się PESEL-owi nie kłaniamy.

– Bo już się tak nie zginamy w paru kluczowych miejscach – wyjaśniła słodko Kira. – Ja na przykład pamiętam czasy, kiedy Olga Kijowska jeszcze nie była wcale taka równa apostołom, za to zadawała całkiem sporo obrażeń. Fizycznych, mentalnych... A Filomena za młodu przeleciała Sokratesa.

– Wypraszam sobie! – oburzyła się Filomena. – Po pierwsze, wcale nie za młodu. A po drugie, nasza relacja była pełna erotycznego napięcia, owszem, lecz do konsumpcji nigdy nie doszło. Miał naprawdę upiorną żonę.

– I odciski.

– Też byś miała odciski, gdybyś cały rok pomykała w sandałkach.

Krzysiek doszedł do wniosku, że dłużej już tak nie da rady. Zgrzał się jak szczur, aż mu pot spływał ciurkiem po plecach, a do tego coś go zaczęło uwierać pod żebrem. Usiadł prosto na narożniku, rozpiął kurtkę i stwierdził, że równie dobrze może przed śmiercią zaspokoić zawodową ciekawość.

– Przepraszam, nie chcę być wścibski, ale nie daje mi to spokoju. Czym... lub kim pani właściwie jest?

– Chimera. Trochę lwem, trochę kozą, trochę wężem z opcją ziania ogniem – uściśliła uprzejmie. – Ale może mówmy sobie po imieniu, dobrze? Filomena.

– Krzysiek, bardzo mi miło. Czekał, ty tak poważnie? Ziejesz ogniem?

– Zdarza mi się, choć ostatnio wyłącznie po madras curry z jagnięciną. Co ciekawe, bez jagnięciny już nie.

– A chimery nie zabił przypadkiem ten taki... koleś na Pegazie? – zauważył Seba.

– Co...?

– Tak wieść gminna niesie. – Filomena skłoniła się z uznaniem dla mitologicznego obeznania, które Seba zaprezentował ku ogólnemu zaskoczeniu. – Ten, jak to ująłeś, koleś zwał się Bellerofont, ale nie, nikogo nie zabił. Ledwie mnie drasnął w gardziółko, a od tego się nie umiera. Przynajmniej nie tak od razu.

Uznawszy tę kwestię za wyjaśnioną, panowie odruchowo skupili się teraz na czarnowłosej Kirze, której człowieczeństwo budziło w nich wiele wątpliwości, obecnie całkiem uzasadnionych.

– Co znowu? – warknęła odruchowo. Nie od razu załapała, czego się tu od niej oczekuje. – A, tak. Syrena. Cześć.

– Myślałem, że syreny mają...

– MILCZ – rzuciła Kira krótko i Seba umilknął jak zaczarowany. – Fila, tekst źródłowy.

– „Zbliź się, chlubo Achiwów, Odysie z Itaki! Zbliź do lądu! Posłuchaj, jak śpiewamy cudnie!”

– Nie ten, kawałek wcześniej. Ten od „siedzą”...

– ...i jedzą tłuste kiełbasy?...

– „Siedzą na łące, a wkoło nich gnaty ludzkie leżą stosami i ciał wyschłych szmaty”***** – wyrecytowała znad robótki Filomena podniosłym tonem.

– Na łące. Siedzą – powtórzyła Kira tonem surowej nauczycielki, która właśnie odkryła, że na tydzień przed maturą połowa klasy wciąż nie odróżnia przysłówka od przyimka. – Ty widziałeś kiedyś rybę na łące? NIE WIDZIAŁEŚ. Bo prawdziwe syreny nie mają rybich ogonków, tylko skrzydła i pierze, nie czeszą się widelcem, a już z pewnością nie noszą biusthalterów z muszelek. Serio, tylko facet mógł wymyślić coś takiego. Jakby fiszbiny nas za mało uwierały!!!

– Gnaty ludzkie – powtórzył powoli Hubercik. – Na łące. Zapamiętam.

– Tak. To... to ma sens. Sporo sensu – zgodził się Krzysiek, gdyż istotnie temperament tej kobiety bardzo mu się komponował z gnatami na stosach.

A Seba nadal milczał.

– Kira tak właściwie jest sirinem – wyjaśniła Filomena, zwracając się do weterynarza, którego wyraźnie sobie upodobała. Bądź co bądź on lubił zwierzątka, ona zaś była zwierzątkiem. A nawet trzema. Mogła go albo

polubić, albo pogryźć. – Ale to mniej więcej to samo co greckie syreny. Sirin też śpiewa i tym śpiewem podsuwa ludziom głupie pomysły. Ale spokojnie, odkąd Kira przepracowała kilka kwestii, już tak od tego nie umierają. Zazwyczaj.

Hubercik długo wpatrywał się w planszę, na której porzuceni bohaterowie wielkiej przygody czekali na ruch Kolczastego Mordulca, chwilowo warującego wraz z równie potwornymi kolegami przy bramie w Timbuktu. Jedna brama. Trzy potwory...

– A ty, Tomciu? – Podniósł lekko strwożony wzrok na żonę. – Czy ty też... czymś... kimś jesteś?

– Tomcia jest nocnicą – wyręczyła przyjaciółkę chimera, gdyż Tomira jak się zawiesiła, tak wciąż nie odzyskała kontaktu z otoczeniem.

– Jakby taką zmorą. No wiesz. Snuje się po nocach, ludziom spać nie daje, powłóczy gieźlem i musi wyleźć z ukrycia, jeśli na nią gwizdniesz.

Przesadzona i niezbyt pochlebna deskrypcja w wykonaniu Kiry sprawiła, że Tomira w końcu otrząsnęła się z odrętwienia.

– Wypraszam sobie! – fuknęła. – Jestem porządną kobietą, niczym nie powłóczę i stanowczo nie reaguję na żadne gwizdy!

– Problem polega na tym – podjęła Filomena z większą niż syrena życzliwością – że przez lockdown naszej Tomci rozregulował się cykl dobowy i zaczęła odpalać swoje moce również w ciągu dnia. Wobec... no, ciebie. Wskutek czego tobie zaczęło chodzić po głowie to i owo. Na przykład wypad do Afryki i rzucenie Tomci lwom na przekąskę.

Hubercik chwilę procesował to, co mu tu właśnie imputowano.

– Że niby... że niby chcę ją zabić?!

– Spokojnie, my nie oceniamy – zapewniła Filomena. – Nie ty pierwszy... i zapewne nie ostatni.

– A nie chciałeś? – zapytała Tomira. – Nie myślałeś o tym? Nie marzy ci się wolność od natrętnej, rzucającej się na wszystko żony? Nie szukasz żadnej odskoczni, żadnego wyjścia ewakuacyjnego, żadnego... bo ja wiem... ostrego przedmiotu?

– NIE!!! – zaprotestował Hubercik z całą mocą płuc i oburzenia. – I skąd w ogóle taki pomysł?!

– A po co innego miałbyś czytać w internecie, jak długo trawi lew?! Takie rzeczy nie klikają się same – wytknęła mężowi Tomira. – Wiem to z osobistych doświadczeń. Dość przykrych.

– Okej, okej! – Hubert znów uniósł ręce w obronnym geście, tyle że tym razem szybciej je opuścił. Przełknął ślinę, zbierając uczucia i myśli. – Przyznaję, ostatnio mam pewne problemy. Gorzej śpię, tak? Sam nie wiem dlaczego...

– My wiemy...

– ...a jak gorzej śpię, to potem w dzień trochę trudniej skupić mi się na pracy. W jednej chwili lecę uczciwie z kodem, a w drugiej jest godzina później, a ja oglądam zabawne zdjęcia zwierzątek albo sprawdzam ceny starych zestawów Lego, o których marzyłem jako dziecko, i zastanawiam się, czy wolałbym zamek rycerski, czy statek piratów, i czy bardzo się wściekniesz, jeśli wydam tysiąka na klocki. Możliwe, że czytałem też gdzieś coś o lwach, nie będę się wypierał. Możliwe, że mam jakiś kryzys zawodowy albo egzystencjalny, albo cholera wie jaki, ale niech pierwszy rzuci smartfonem, kto nigdy nie marnował życia w internecie!

– Ja lubię oglądać kotki przed snem – przyznał Seba po chwili, czując w głębi jestestwa, że powinien wesprzeć kumpla jeśli nie uczynkiem, to chociaż słowem. Z elementami myśli.

– A ja filmiki z husky – dorzucił Krzysiek. – Widzicie, husky wyją. Bardzo specyficznie. Wieczorami trochę mi już brakuje sił na coś więcej, a takie filmiki są, wbrew pozorom, całkiem relaksujące.

– A wy? – Hubercik omiół spojrzeniem żonę i jej dwie przyjaciółki. – Co tu się właściwie wyprawia? Przez cały dzień zachowujecie się dziwnie, aż zacząłem się was bać. Przez moment miałem nawet takie wrażenie, jakbyście chciały mnie nerwowo wykończyć! Zmówiłyście się czy jak?!

– Tak ogółem to chcemy, owszem – potwierdziła Filomena. – Ale nie ciebie. Do ciebie nic nie mamy.

– Chcą wykończyć mnie – objaśniła Tomira ponuro. – I to nie nerwowo.

– CZYLI JEDNAK!!!

– TAK! – warknęła Kira. – I wykończyłybyśmy ją dawno, gdyby nie twoja Łaska Bogów!

– Łaska Niebios – wycedził Hubercik, jako że poczuł się łżony bezpośrednio w pasję.

– Może być nawet Lotnia Nibelungów – wysyczała z lubością syrena. – A teraz przymknij się i słuchaj. My wiemy. Rozumiemy. To nie jest nasz pierwszy raz, okej? Prędzej czy później Tomcia każdemu mężowi rzuca się na mózg, przyprawia go o bezsenność, głupie myśli i jeszcze głupsze pomysły z użyciem ostrych narzędzi. Bezpośrednia ekspozycja na nocnicę

i tak dalej, naturalna kolej rzeczy. Z tobą niestety poszło szybciej przez ten cholerny lockdown, inaczej mielibyście jeszcze z dekadę szczęśliwego pożycia. I to nie jest twoja wina, absolutnie. Wyłącznie jej, możesz ją winić do upojenia. Nie piskaj, Tomciu, ja tu ci szykuję grunt pod oficjalną mogiłę. Fakt – Kira na powrót skupiła się na Huberciku. – W wolnych chwilach lubisz turlać sześciany, ale poza tym jesteś całkiem porządnym gościem, Tomcia cię lubi, my lubimy Tomcię, dlatego zamiast przemocy oferujemy ci rozwiązanie. Upozorujemy jej śmierć, a gdy dopniemy formalności i cichaczem przejmujemy tak zwane zwłoki, wszystkie trzy znikniemy jak sen złoty. Ty nie musisz nawet nic robić. Po prostu... weź to na klatę, wypłacz, co masz do wypłakania, a potem żyj dalej, szastając spadkiem po jaśnie małżonce. Okej?

Hubercik ani trochę nie wyglądał na przekonanego. Wprost przeciwnie.

– Ciebie chyba rozum opuścił, jeśli myślisz, że wam na to pozwolę. Nie dam zabić mojej żony! Mam świadków i zaraz jadę na policję!

– Tak, tak, jasne. Już widzę, jak im opowiadasz, że twoja żona to harpia, jej przyjaciółki jeszcze gorsze, dlatego wnosisz o objęcie programem ochrony świadków.

– Może nie mieszejmy porządków, jeśli łaska – zaapelowała Filomena znad robótki. – Gdzie Rzym, a gdzie Krym? Harpie mają proveniencje greckie, a Tomcia jest czysto słowiańska. Prawda, Tomciu?

Powoli, w nieustającym zamyśleniu, Tomira uniosła rękę.

– Chimera. Syrena – wymieniła, wskazując palcem najpierw jedną, potem zaś drugą przyjaciółkę. – Syrena. Chimera. Ty nie znosisz ludzi. A ty jesteś kapryśna.

– Wolę określenie „zmienna” – podkreśliła Filomena. – A już stanowczo nie „chimeryczna”, za coś takiego...

– I ja was słucham?! JA?! WAS?! CZY JA OCZADZIAŁAM?!

Cała piątka patrzyła w grozie i oniemieniu, jak bezowa nocnica w pastelowej sukience z żabotem wzbiera rumieńcem i oburzeniem w tempie wykładniczym.

– Dobrze. Tak. Tak! Macie rację! – tokowała. – Ale wiecie co? Może wiele nas różni. Może Hubercik jest człowiekiem, a ja szkodzę ludziom na zdrowe zmysły. Może Hubercik stracił cnotę w latach dziewięćdziesiątych na obozie żeglarskim, a ja tak bardziej w czasach reakcji pogańskiej, po wyjątkowo... porywającym akcie plądrowania obiektów sakralnych. Może za bardzo się przywiązuję, chociaż nie powinnam, stanowczo nie

powinnam, ale jednak to robię, bo jestem nocnicą, a co robi nocnica? Otóż nocnica garnie się do ludzi, wyciąga ich na długie nocne spacery po bezdrożach, mokradłach i manowcach, i wiecie co? Trochę trudno się NIE zakochać w takich okolicznościach przyrody. I może Hubercik nie jest pierwszy ani trzeci, prawdopodobnie też nie dziewiąty, ale ja go aktualnie kocham, kocham go szczerze i całym sercem, tak jak kochałam każdego poprzedniego, nawet gdy próbowali mi odrąbać głowę, bywa, trudno, jakoś to przebolełam, ale żyję tu i teraz i oświadczam, że tu i teraz chcę Hubercika, bo mój Hubercik myśli o mnie, dba o mnie, troszczy się i kupuje mi majtki z szerokim ściągaczem, bo wie, że ja właśnie takie lubię najbardziej, bo tylko taki ściągacz nie ciśnie mnie przykro w brzuch!!!

– TOMCIU, NIE PISKAJ!!! – ryknęła Kira z wyraźnym zaśpiewem, lecz było już za późno. Za późno, żeby powstrzymać rozemocjonowaną nocnicę przed uwolnieniem zdestabilizowanych lockdownem mocy.

– Twoje oczy – wyszeptał Hubercik. – Tomciu...

Nie rozumiał tego, co widział. A widział rzeczy niezwykle. Nieludzkie. Oczy Tomiry, zwykle tak pogodne i piękne, tak niebieskie niczym bezchmurne niebo w mroźny, zimowy dzień, teraz zasnuły się głębią granatu i rozbłysły milionami galaktyk.

I wtem gdzieś na zewnątrz, wśród okolicznych górskich szczytów, poniosł się przeciągły ryk, a po nim ogłuszające dudnienie, wraz z którym zadrżała ziemia.

– Rany boskie – wyszeptała Filomena, wypuszczając robótkę z rąk. – Tomciu. Coś ty narobiła?...

*

Wypadli na zewnątrz z latarkami. Rozedrgane snopy światła miotały się na lewo i prawo, próbując wyłowić z ciemności i zasp źródło tych niepokojących dźwięków, które dopiero co przebrzmiły.

– Zeszła lawina czy jak?...

– Powinniśmy uciekać?

– Ja bym uciekał...

– Tam się coś rusza! – zakrzyknął naraz Krzysiek, który odbiegł najdalej od domku, w górę ośnieżonego zbocza. Wskazywał latarką na coś ukrytego przed ich wzrokiem za skupiskiem większych drzew. – Tam coś jest!

Śnieg wokół nich zalegał warstwą grubą na ponad pół metra. Zapadali się w nim po kolana, dlatego chwilę potrwało, zanim, sapiąc i złorzecząc, dołączyli do znieruchomiałego weterynarza i spojrzeli na to, co wypatrzył pośród wysokich iglaków porastających zbocze w tym punkcie.

Z początku sądzili, że to cień.

Potem – że kokon.

Aż wreszcie...

– To smok – stwierdziła Kira, bo nikt poza nią jakoś się nie garnał, żeby powiedzieć to na głos. – Smok. SMOK.

Stwór był smukły, miał około trzydziestu metrów długości. Szponiastymi łapami uchwycił się mocno pnia wielkiego świerku i zawisł na nim niczym nietoperz, do góry nogami, otuliwszy skulone cielsko i łeb skrzydłami, błoniastymi i grubymi. Z tej odległości nie potrafili określić, co go pokrywało, skóra czy łuski, ale barwą przypominało mech i to naprężało się, to wiotczało w rytm powolnego oddechu.

– Smok w Polsce?!

– Spało się w szkole czy jak? – Filomena obrzuciła Hubercika zde gustowanym spojrzeniem. – Oczywiście, że w Polsce! O smoku wawelskim nie słyszałeś?

– *Mamma mia...*

– Ale... ale gdzie Wawel, a gdzie Karkonosze?!

– A weź przestań, przy takich skrzydłach to rzut kamieniem. Wiem, co mówię – dodała syrena. – Tomciu, kochanie, nie mam pojęcia, jak to zrobiłaś, ale chyba obudziłaś smoka.

– Ja nie chciałam! – zapewniła płacząco nocnica.

Stała w śniegu w samych rajstopach, nie zwracając w ogóle uwagi ani na zimno, ani na pozory, których już nie musiały tak starannie zachowywać. Wszystko bledło w obliczu przycupniętego na drzewie stworzenia. Stworzenia, które niechcący wyrwała ze snu swoją mocą.

– Nic dziwnego, że Hubercikowi zamarzyły się lwy... – mruknęła Kira. – Nawet smok nie wytrzymał takiej presji.

– Mam takie małe pytanie – odezwał się Krzysiek. – Znaczy, mam bardzo dużo bardzo różnych pytań, ale to jest chyba priorytetowe. Smoki to... to gady, prawda?

– Chyba. – Kira wzruszyła ramionami. – Nie wiem, to ty tu podobno jesteś weterynarzem.

– Zgadza się, ale fizjologii smoków raczej nie mieliśmy w programie nauczania, więc improwizuję. Okej. Dobra. Tak na oko to w zasadzie jaszczurki, tylko trochę większe. I ze skrzydłami. Czyli gady. Raczej. Czyli... Musimy go zwabić z powrotem.

– Niby dokąd?

– I po co?

– Do... nie wiem, do jamy, do gawry, mikroapartamentu? Jak się nazywa to miejsce, gdzie mieszka smok?

– Leże – podsunął Seba.

– Do leża, niech będzie, że do leża. – Krzysiek nie zamierzał dyskutować na tematy, na których się nie znał. Odetchnął głęboko. Coś w nim szeptało, że jeśli podejdziesz bliżej, wespnie się na palce i wyciągnie rękę, może zdoła choć musnąć palcami zieloną smoczą głowę. Na szczęście coś innego mówiło znacznie głośniej, że to kiepski pomysł. Naprawdę kiepski. Zwłaszcza jeśli ceni sobie te palce. – Jest sam środek nocy w samym środku zimy – zaczął myśleć na głos. – W górach. Pokrywa śnieżna rzędu dwóch metrów, minus dwadzieścia na termometrze. Skoro Tomira obudziła smoka, to znaczy, że on dotąd spał, a skoro spał, to znaczy, że nie jest przystosowany do życia w takich warunkach atmosferycznych, a skoro nie jest przystosowany, to umrze. Umrze. Smok. W Polsce. Polski smok. Gatunek... tak bardzo zagrożony, że aż legendarny, ZAMARZNIE NA ŚMIERĆ, JEŚLI ZARAZ NIE PÓJDZIE SPAĆ.

– Albo nie zamarznie tak od razu – syrena dostrzegła jeszcze jedną opcję – za to fajerwerki o północy go spłoszą i odleci. I szukaj smoka w Karkonoszach.

– Albo nie spłoszą, tylko rozjuszą – dodała Filomena – co byłoby dość zrozumiałe. Gorzej, że wtedy prawdopodobnie spustoszy pół okolicy. Zabudowania, park krajobrazowy...

– Czyli tak czy siak musimy go zwabić z powrotem do leża – podsumował Krzysiek. – Priorytetowo.

– Okej. Jasne. Pewnie. Nie ma sprawy. Tylko JAK się wabi smoki?

– Może przemówisz mu do rozsądku? – zasugerowała syrenie Filomena. – Zaśpiewasz coś inspirującego?

– Smokowi? – Kira pokręciła głową. – Nie mój kaliber. To jakbym grała na flecie, a ty kazałabyś mi zagrać na trąbie, bo przecież w jedno i drugie się dmucha. Jakiś dźwięk wydam, ale nie liczy na wiele.

– I to mówi syrena, która nakłoniła Supermana do publicznej kąpieli w bardzo zimnej wodzie.

– A tam Supermana. Zaledwie aktora. I nawet nie ściągnął rajtek ... – Kira westchnęła tęsknie.

– Aktor czy nie aktor, ja i tak w ciebie wierzę, Kireńko.

– Okej. Może zdołam go skłonić, żeby zasnął w leżu. Ale najpierw musi się tam znaleźć, poczuć bezpiecznie. Nagonka odpada, nie chcemy go płoszyć ani denerwować. Potrzebne jest... wzmocnienie pozytywne. Pozytywne bodźce. Zachęta, motywacja i afirmacja. Co lubią smoki?

– Dziewice i skarby – odparł natychmiast Seba. – No co? Czytało się trochę literatury fachowej.

– Fantastyka to nie jest literatura fachowa.

– Teraz już jest. – Seba z lekką urazą wytknął Krzyskowi. – Proszę. Smok jak wół. Tam wisi. Najprawdziwszy.

– Dziewice, tak? – Syrena cmoknęła głośno. – No to ja odpadam.

– Sokrates... – rzuciła półgębkiem chimera.

– Czyli jednak!

– Och, spadaj na drzewo.

Z uwagi na stan cywilny wielokrotnie skonsumowany Hubercik z Tomirą nawet nie byli brani pod uwagę, Krzysiek i Seba również przyznali się do niedostatków w tym względzie. Dziewic w towarzystwie zatem nie stwierdzono.

– Czyli pozostają nam skarby – podsumowała Kira chłodno, kiedy zimno zagnało ich z powrotem do środka. – Musimy zwabić smoka do leża skarbami i może wtedy uda mi się go nakłonić śpiewem, żeby zasnął. I to najlepiej przed północą, zanim jełopy w miasteczku odpalą festiwal petard, oparzeń i ran szarpanych. Czyli w ciągu... najbliższej półtorej godziny. Macie jakieś skarby?

– Ale skarby w jakim sensie? – zapytał Krzysiek. – Materialnym? Symbolicznym? Sentymentalnym?

– A bo ja wiem? Jakimkolwiek. Możliwie autentyczne, a nie jakiś chiński chłam.

Weterynarz rozpiął kurtkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni po portfel. Z jednej z mniejszych przegródek ostrożnie wysupłał zasuszoną czterolistną koniczynę i ostrożnie położył na stoliku.

– Znalazłem ją dzień przed maturą – wyjaśnił. – Rosła na trawniku, na którym latami wyprowadzałem psa. Przez całe studia nosiłem ją w indeksie

i szczerze wierzę, że co najmniej dwa razy uratowała mi skórę. Myślicie, że taki skarb może być?

Jedno przez drugie pospieszyli z zapewnieniami, że jasne, oczywiście, ma się rozumieć, czterolistna koniczyna jak najbardziej się liczy. Tylko Kira milczała, za to z taką miną, jak gdyby ten akt wyrzeczenia był jej mocno nie na rękę. Wreszcie z nieskrywaną irytacją wyciągnęła swój skarb.

– Telefon? – Filomena uniosła brwi.

– Ten drugi. Ten... z dostępem do social mediów.

– NA TON PRIAPON!*****

– Nie lżyj mnie po grecku!!!

Filomena zaskrzeczała ze złością, wyrwała telefon z rąk syreny, a potem sięgnęła znów po swoją torebkę. Po chwili furiackiego grzebania rzuciła na stolik niewielkich rozmiarów szare urządzenie.

– Proszę bardzo, mój game boy. Rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty, pierwsza seria. Oryginalny, sprawny, z wgranym tetrisem. Ekran bez wypalonych pikseli.

– O paaani... – Seba z uznaniem pokiwał głową.

Krzysiek z Hubercikiem mu zawtórowali, gdyż istotnie, było to cacko nad cackami, skarb jak malowany.

– Tak, tak, cud, miód, malina, ale przydałoby się coś większego – zarządziła Kira niecierpliwie. – Musimy przyciągnąć uwagę smoka natychmiast i z daleka, więc najlepiej, żeby to coś jeszcze świeciło albo trąbiło, albo...

Weterynarz w ułamku sekundy odwrócił się do kumpla.

– Seba – wydusił przez gardło ściśnięte wzruszeniem.

Seba zbladł.

– Ej no.

– Sebuś.

– No ej.

– Sebulek.

– Właśnie wymieniłem alufelgi... – wyszeptał Seba. Podbródek drżał mu coraz bardziej, serce pękało na kawałeczki, duszę na strzępy rozszarpywały pragnienia przeciwstawne bolesne.

– I są piękne – zapewnił Krzysiek gorąco.

– I ten gaz – dodał Hubercik z zaangażowaniem. – Żadna fabia tak nie chodzi na gaz. Jakby się z nim urodziła.

– Twój samochód to prawdziwy skarb.

– Najprawdziwszy.

Trzy gracje rodem z bestiariusza spojrzały po sobie, zmieszane tym dialogiem chyba jeszcze bardziej niż smokiem zwisającym z iglaka.

– Chwila... czy wy mu robicie afirmację fabii?

– A co? – Hubercik splótł ręce na piersi i zmierzył syrenę wyzywającym wzrokiem. – Że niby tylko wy możecie mieć swój babski krąg? A faceci to nie, bo wstyd?

– Babski. Krąg? – powtórzyła Kira, unosząc wysoko czarną brew. – To nie jest jakiś tam BABSKI KRAĞ, tylko wysoko wyspecjalizowany krąg wsparcia emocjonalno-moralno-logistycznego. Które jest niezbędne, żeby żadna z nas nie poszła w tango, ewentualnie w rzeź niewiniątek. ZNOWU.

Czując, że tą ostatnią uwagą została poniekąd wywołana do tablicy, Filomena odchrząknęła i wsunęła się prędko między syrenę a Hubercika.

– Kira chciała przez to powiedzieć, że wszelkie formy wsparcia psychicznego okazywanego najbliższym budzą nasz najszczerzy podziw i entuzjazm. Szanujemy, dzielimy i praktykujemy. Ale jeśli fabia w gazie z nowymi alufelgami świeci, trąbi i jest w istocie największym skarbem Sebulka, to może nam się bardzo przydać do wabienia smoka.

– No dobra. – Kira skinęła głową na małżonków. – Wasza kolej.

– Na co?

– Na wkład w misję ratunkową. Wyskakujcie ze skarbów. Co macie?

Nikt nic nie mówił, nikt niczego nie sugerował, ale jakoś tak samo się stało, że pulchna i blada dłoń Hubercika, bez udziału Hubercikowej woli, sama odnalazła dłoń Tomiry, która właśnie szła jej na spotkanie. Bądź co bądź od tego się to wszystko zaczęło. Od nocnicy i jej bezcennego skarbu nad skarbami.

– Ja się dam zabić, proszę bardzo – oznajmiła Tomira tak cicho, że aż złowróźnie. – Ale od mojego męża ręce precz!

– Och, Tomciu... – szepnęła chimera, której na sercu zaległ naraz niewypowiedziany ciężar.

Za to Kira wprost przeciwnie, wykazała się zrozumieniem o wartości ujemnej.

– Sebulek oddaje fabię w gazie, a ty smokowi Hubercika skąpisz?! Smokowi, którego sama obudziłaś?! Przecież ci go nie zeżre. Co najwyżej zatrzyma na pamiątkę – dodała prawie pocieszająco. – Kawalek.

– Proponuję kompromis. – Filomena czym prędzej przejęła inicjatywę, zanim wizja męża w kawałkach zdążyła odpalić u Tomiry pełnowymiarową

panikę ze skutkami, przy których przebudzenie smoka wydawało się przyjemnie ekscytującą przygodą. – Jeśli smok uszkodzi Hubercika, będziesz mogła skrzywdzić gadzinę. Zgoda?

– Gatunek zagrożony wyginięciem? – Krzysiek uniósł brew na znak głębokiego zwątpienia, czy to aby na pewno dobry pomysł.

– Patrzysz na to ze złej strony – skarciła go chimera. – To Hubercik będzie wtedy zagrożony bardziej. Zatem Tomcia skrzywdzi smoka w stanie wyższej konieczności.

Kira prychnęła.

– Rany, ależ wy się z nim cackacie. Mam przypomnieć, jak skończył ten jej... no... jak mu było... von Talon na Balon?

– Von Tallen herbu Trzy Radła — sprostowała Filomena w odruchu równie niepohamowanym, co bezsensownym, jako że nikogo z zebranych nie obchodziły ani tytuły, ani dane osobowe dawno zapomnianego absztyfikanta.

– Może miałam ich... paru, może Hubercik... – Tomira pociągnęła nosem. – Może Hubercik nie jest pierwszy, za to jest jeden jedyny!!! Więc bardzo was proszę, skupmy się, bo może jednak wymyślimy coś innego niż wystawianie mojego męża na uszkodzenia, zanim Milenka zamarnie na śmierć na tym drzewie?

– Milenka? – powtórzył Krzysiek.

– Tak nazwałam smoka... No co?

Kira miała już tego wszystkiego serdecznie dość.

– Czy ty przestaniesz się wreszcie przywiązywać do zwierzątek?! Właśnie na tym polega problem! Nie byłoby nas tutaj, gdybyś się nie przywiązywała! Smoki, chomiki, Huberciki, cholery idzie z nią dostać!!!

Śpiewny trel w głosie wścieklej syreny podziałał na Filomenę mobilizująco. Chimera cmoknęła miętusem i w ułamku sekundy wiedziała już, co robić.

– Ufasz mi? – zapytała krótko, stając przed zrozpaczoną bezową nocnicą.

– No wiesz? – W oczętach Tomci odmalował się wyrzut, zaraz jednak rozplynął się we łzach. – Jeszcze pytasz? Przecież przyszyłaś mi głowę... bardzo ładnie mi ją przyszyłaś...

– I wydziergam ci przepiękny pastelowy szaliczek, żeby pasował do ściegu. Obiecuję. A teraz słuchaj. Zrobimy tak.

Pięć minut później cała szóstka, tym razem w odzieży wierzchniej dostosowanej do warunków atmosferycznych, ponownie wyległa przed

dom. Nie mieli już więcej czasu do stracenia – minęła właśnie dwudziesta trzecia, co bardziej niecierpliwe bęcwały szukały już pewnie zapalek, żeby odpalić pierwszy ładunek. Kira nabrała powietrza i drżenie powieki później wzbijała się ponad ziemię, młóćąc czarnymi, lśniącymi skrzydłami. Jej zielone, całkiem już nieludzkie oczyska spoglądały teraz z wciąż ludzkiej twarzy. Wyciągnęła szpony i delikatnie chwyciła pakunek, który drżącą ręką podał jej Krzysiek. W środku oprócz telefonu znajdował się game boy i czterolistna koniczyna.

Tymczasem Hubercik, mamrocząc żarliwie słowa współczucia i wsparcia, wyrwał Sebie kluczyki do fabii razem z kawałkiem duszy i władował się za kierownicę.

– Zaufaj mi – powiedziała chimera, uśmiechając się ciepło do przyjaciółki, i ruszyła przodem, żeby utorować im przejazd.

Chociaż nie jadła jagnięciny od dobrego miesiąca, śnieg topił się i natychmiast parował pod jej żarliwym oddechem, odsłaniając gołą ziemię.

Tomira szybko usiadła obok męża i trzasnęła drzwiczkami.

– Jedź – wyszeptała, bledsza od swego żobotu.

Hubercik przekręcił kluczyk w stacyjce i aż jęknął z żalem, bo wypieszczona ręką Seby fabia odpalała jak złoto nawet na solidnym mrozie. Włączył długie światła, podkreślił radio i zaczął jechać w stronę smoka.

Gdy kilkanaście metrów przed nimi reflektory wyłowiły uczeplone drzew zielonego cielsko, Tomira wyciągnęła rękę do klaksonu. Przeciągły dźwięk rozbrzmiał głośno, wyraźnie.

Milenka dzwignęła jaszczurzy łeb, wyłaniając go spod osłony skrzydeł, i otworzyła oczy.

Były przepastne.

Krystaliczne.

Jak górski strumień w blasku księżyca.

Tomira spojrzała uważnie w górę. Gdzieś na tle nocnego nieba mignął jej ciemny kształt. Syrena krążyła już w pobliżu leża, starając się nie zwracać na siebie uwagi smoka. Jeszcze nie teraz, najpierw ich kolej.

Hubercik zacisnął zęby i wdepnął gaz, zmuszając fabię do dalszej wspinaczki w stronę smoczego leża. Musieli uratować to piękne stworzenie. Za wszelką cenę. Za cenę wszelkich skarbów. Zerknął kontrolnie we wsteczne lusterko i aż krzyknął, gdyż oto smok rozpostarł mszyste skrzydła i wykręcił cielsko, żeby wzbić się w powietrze.

– Leci! – szepnęła Tomira, przyglądając się temu przez ramię. – Udało się!

Smuga gołej ziemi prowadziła ich wyżej i wyżej, aż do miejsca, gdzie znikwała w jamie między skałami. Otwór nie był wielki, ale skoro zmieścił się w nim smok, powtarzał sobie w duchu Hubercik, to i fabia powinna, prawda? Prawda? PRAWDA?

Gdy znalazł się przed samym otworem, zredukował bieg do jedyńki, przyhamował i powoli, ostrożnie, żeby głupio nie utknąć, żeby dać sobie czas na reakcję, wjechał do jamy. Mieli dotrzeć możliwie jak najdalej, a potem porzucić samochód i uciec, zanim smok dobierze się do skarbu Sebulka. Kira czekała w pogotowiu z pakunkiem, żeby w razie czego odciągnąć od nich uwagę Milenki, a potem zaśpiewać jej kołysankę i uśpić na następne wieki. Nie bawili się w speleologów i sprawdzili tylko pierwszych kilka metrów, darując sobie staranne badanie, co kryło się głębiej.

Nie przewidzieli jednak kilku rzeczy – i te rzeczy musiały się, oczywiście, wydarzyć.

Że Milenka rzuci się na skarb z taką namiętnością.

Że kawałek dalej dno jaskini będzie oblodzone, a spadek tak stromy.

Że zaskoczony tym faktem Hubercik straci panowanie nad fabią, która pomknie przed siebie niekontrolowanym ślizgiem.

Zanim się zorientowali, samochód wbił się przodem w załom między skałami, blacha jęczała w agonii pod ciężarem smoczego cielska, radio wyło na cały regulator, Hubercik darł się jak opętany, a wraz z nim ryczała Milenka.

Jedynie Tomira była skupiona.

Nie mogła teraz krzyczeć ani panikować. Nie mogła się bać ani wściekać, bo tylko by przeszkodziła Kirze. Musiała zapanować nad naturą nocnicy, która już raz obudziła smoka, w przeciwnym razie śpiew syreny nie zadziała i smok nie uśnie. Nie uśnie, tylko polecą na Szklarską Porębę – uprzednio pożarłszy Hubercika co do ostatniej kosteczki lub wprasowawszy go w fabię na wieki wieków. A tego Tomira nie chciała, podobnie jak nie chciała krzywdzić bądź co bądź niewinnego zwierzątka, przedstawiciela gatunku zagrożonego w stopniu legendarnym. Dlatego musiała za wszelką cenę zapanować nad tym, co podpowiadały jej natura wspólnie z miłością do męża.

Do czasu, gdy...

„Gdy znajdziecie się w środku razem z Milenką i Kira zacznijcie śpiewać” – w głowie nocnicy rozbrzmiały jasno słowa, które na odchodnym usłyszała od Filomeny. „Wtedy złap prędko swój skarb...”. Ponad ośnieżonymi szczytami Karkonoszy poniosł się śpiew. Tęskny i piękny, tak piękny, że chciało się go słuchać choćby do śmierci. Pieśń syreny śpiewającej o słodkim ciężarze powiek, o ciepłe i bezpieczeństwie, o śnie błogim i długim, o głębokim i spokojnym oddechu. I pomału, w miarę jak śpiew przybierał na sile, blacha milkła, aż wreszcie smok znieruchomiał na moment. Pomału zgiął łapy, opadł na brzuch i zwinął się w kłębek na legowisku z fabii, wydając z siebie coraz niższe, coraz głębsze, coraz dłuższe pomruki.

„Złap go mocno, najmocniej...”

Mimo ciemności i kielkującego pomału lęku dłoni Tomiry odnalazła dłoń męża i zacisnęła się z całych sił. Bo teraz przed nocnicą stało ostatnie zadanie. Musiała uratować Hubercika ze śmiertelnej pułapki.

„...i wtedy, Tomciu... wtedy po prostu przestań myśleć”.

Filomena, która przez cały ten czas czekała w napięciu przed smoczym leżem, wykonała zwrot i ile sił w lwio-kozych odnóżach, rzuciła się z powrotem w kierunku domku. Na tle śniegu i nocy jej rozżarzona paszcza była doskonale widoczna z daleka, niczym pędzący pociąg w długim, ciemnym tunelu.

– GWIŹDŹ! – wrzasnął Krzysiek. – GWIŹDŹ, DO CHOLERY!!!

Seba skinął krótko głową, wetknął dwa palce do ust i dmuchnął, ile sił w płucach.

Raz.

Drugi.

A gdy gwizdnął po raz trzeci, u jego boku jak spod ziemi wyrósł oszołomiony Hubercik, wciąż trzymając za rękę jeszcze bardziej oszołomioną nocnicę.

*

Następnego dnia długo odsypiali nocne szaleństwa i dopiero przed południem zaczęli myśleć o wyjeździe. Podczas gdy pozostali dumali nad skomponowaniem posiłku z chleba tostowego i resztek parówek, Kira i Krzysiek postanowili wpaść jeszcze do smoczego leża na szybką kontrolę.

– Milenka śpi jak zabita – zameldowała syrena po powrocie. – Tyle że z tętnem, wiadomo. Zaśpiewałam jej jeszcze jedną kołysankę, zrzuciłam kilka śnieżnych nawisów i zamaskowałam wejście do leża. Powinna mieć tam spokój co najmniej do późnej wiosny.

– Milenka, tak? – powtórzyła Tomira z przekąsem.

– No co? Twarda sztuka. Mocne nogi. Głos jak dzwon. I zero muszelek na cyckach – wymieniała po kolei. – Milenka jak w pysk strzelił. A ty się już tak nie zamartwiaj. – Usiadła na narożniku obok strapionego Seby, który w milczeniu przeżywał swoją stratę. – Twoja fabia jest teraz w dobrych szponach.

– Czy ja będę musiał za nią nadal płacić OC? Bo trochę jakby poszła na złom, ale ja nie mam na to kwitu...

– Nic się nie martw. – Kira pogłaskała go czule po policzku. – Już ja to załatwię. Ja ci wszystko załatwię.

Seba jakby pojaśniał pod dotykiem jej ręki.

– Słuchaj, bo jest taka sprawa – zaczął, zebrawszy się na odwagę. – Chciałem cię zaprosić na karaoke w następny weekend, ale to chyba... chyba głupi pomysł, co?

– Dość nierozsądny – zgodziła się z nim Kira. – Najlepiej zabierz mnie gdzieś, gdzie będę mogła dużo milczeć.

– Do kina?

– Lub na film.

– A to jest jakaś różnica?

– Och, skarbie ty mój... Zasadnicza!

Przysłuchująca się jednym uchem tym przekomarzaniom Filomena naraz o czymś sobie pomyślała. Przechyliła głowę w zadumie.

– Trochę się boję zadać to pytanie, ale... Tomciu, czy ty rozmawiałaś z którymkolwiek ze swoich mężów, kiedy im zaczynało odbijać? Wiesz. Tak szczerze?

– I nie, apele o litość nie liczą się jako rozmowa – podkreśliła Kira.

– Nie. A po co? – Tomira sięgnęła do swojej spódnicy i poprawiła niesforne falbanki. – To by nic nie dało, nie wyrzeknę się przecież swojej natury. Byłam, jestem i pozostanę nocnicą. Prędzej czy później każdemu mężowi rzucę się na mózg.

– Och, Tomciu. Nie wyrzekniesz się, to prawda, i rzucisz się, nie przeczę, co wcale nie znaczy, że nie możesz z tym nic zrobić. Skoro w imię wielkiej

aktualnej miłości udało ci się zapanować nad mocą w smoczym leżu, to tym bardziej uda ci się w leżu małżeńskim.

– Łożu – odruchowo poprawiła Tomira, czując, jak nagle wzbiera w niej nowa nadzieja. Czy to możliwe, że Filomena miała rację? Że mogłoby im się udać, Hubercikowi i jej, zanim Hubercik uzna, że lwy to jednak najlepsze rozwiązanie świętego węzła małżeńskiego?

– Leże, łoże, żadna różnica – skwitowała Kira. – Dasz radę. Wystarczy chcieć, gdyż chcieć to móc!

– Nie, nie wystarczy i proszę w tej chwili wyłączyć ten coaching dla ubogich – skarciła przyjaciółkę chimera. – Hubercik rozmawia ze swoim chłopskim kręgiem. Ty, Tomciu, rozmawiasz z nami. Oboje szukacie w tych kręgach wsparcia i rozwiązań, prawda? Jeśli wasze małżeństwo ma przetrwać ekspozycję na twoją moc, lockdowny, smoki i inne niecodzienne komplikacje, powinniście również rozmawiać we własnym dwuosobowym kręgu i razem rozwiązywać problemy. Pracować nad sobą i związkiem. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, gdybyś nie zauważyła. W tych czasach podstawą małżeństwa jest szczerłość i komunikacja, a nie wspólne pładrowanie obiektów sakralnych. Oraz, jeśli mogę coś doradzić, osobne sypialnie – dorzuciła. – Osobne sypialnie mogą sporo ułatwić.

– Możesz to nazwać pracą nad małżeństwem metodą GWIZD – podsunęła Kira nie bez złośliwości. – Gruntowną Wiwisekcją i Zgodnym Dogadaniem. Bo jak widać na załączonym obrazku, jednak reagujesz na gwizdy.

– To było poniżające, dehumanizujące i... genialne w swojej prostocie – przyznała Tomira z ciężkim westchnieniem. – Wyciągnąć mnie gwizdem z kryjówki. Jak... jak jakieś pierwotne słowiańskie monstrum.

– Och, Tomciu, nie piskaj. Świat się zmienia i my zmieniamy się razem z nim, owszem, ale w głębi ducha ty zawsze będziesz w ten czy inny sposób reagować na gwizdy, Kira nigdy nie zostanie wegetarianką, a ja raczej nie zacznę trawić jagnięciny. Co nie znaczy, że nie możemy czasem wykorzystywać naszych mocy do celów innych niż gnębienie ludzkości – podsumowała Filomena z promiennym uśmiechem.

Tomira wzięła się pod boki i zmierzyła przyjaciółkę baczным spojrzeniem. Coś jej tu nie grało, coś nie pasowało do obrazka, z pozoru tak dobrze znanego...

– A ty co taka promienna? – zauważyła nagle. – Wyprasowana taka? Co, zmarszczki ci się znudziły?

– Och, przestań. – Filomena zarumieniała się uroczo. Rzeczywiście jej twarz była teraz wyraźnie gładsza, chociaż włosy zostawiła sobie siwe, co nadawało jej wygląd szalenie modnej, wyluzowanej trzydziestoparolatki. – Miałam ułatwić Krzyškowi postrzeżenie? No to ułatwiłam. Teraz powinno mu iść ciut... łatwiej. Z tym postrzeżeniem.

Zjedli najsuchszy posiłek świata, ograli dwa filerki i zaczęli zbierać się pomału do wyjazdu. Po złożeniu fabii smokowi w ofierze zostali w sześć osób z jednym tylko samochodem. Ustalili zatem, że Filomena najpierw zawiezie Tomirę, Hubercika i Krzyśka na pociąg do Szklarskiej Poręby, po czym wróci po Kirę i Sebę.

– Pewnie zajmie mi to z godzinę. No, może półtorej – dodała półgłosem, uśmiechając się szelmowsko do syreny.

– W sam raz, żebym zdążyła pocieszyć Sebulka – ucieszyła się Kira. – Tak ze dwa razy.

Tomira zacisnęła usta i trzepnęła przyjaciółkę rękawiczką w ramię.

– Ej! A to za co?!

– Podobno nie powinnyśmy wiązać się z ludźmi, bo to im szkodzi i to nieładnie – wysyczała cicho, żeby mężczyźni nie usłyszeli.

– Nie, skarbie, to TY im szkodzisz. A poza tym okaż może trochę zrozumienia, co? Człowiek właśnie stracił fabię w gazie. – Zrobiła zafrasowaną minę, zaraz jednak rozpromieniła się jak rzadko. – Poza tym mój Sebulek jest wyjątkowy. Mówię do niego, a on słucha.

– Jesteś syreną, ciebie się nie da NIE słuchać.

– Mówię – powtórzyła. – Mówię, Tomciu. Nie śpiewam.

Tomira zmarszczyła czoło wraz z nosem, pomału przyswajając to, co usłyszała, a potem ucisnęła syrenę mocno i serdecznie.

– No więc umówiliśmy się z Hubercikiem, że latem wpadniemy do Milenki w odwiedziny – trajkotała, gdy razem z przyjaciółką i mężem wsiadali do samochodu. – Chcemy tu przyjechać na urlop. Prawda, kochanie?

– Ale do Sasina też pojedziemy? – upewnił się Hubercik. – Nad morze?

– Do Sasina też.

– Znowu? – zdziwiła się Filomena. – Przecież jeździcie tam rok w rok od... ilu, dwunastu lat?

– No i co? – Hubercik wzruszył ramionami. – Lubię wracać tam, gdzie byłem.

Filomena uśmiechnęła się do siebie. Tak. Może Tomira przywiązywała się nadmiernie do swoich mężów, ale, jak widać, niektórzy jej mężowie też wysoko cenili sobie stałość. To się mogło udać. To się naprawdę mogło udać.

– A tak właściwie... – Odwróciła się do Krzyśka, który usiadł na przednim siedzeniu pasażera i udawał, że wcale nie zerka na chimere z obiecującym błyskiem w oku. – Może ty wiesz, jak długo trawi lew?

– Zależy, co taki lew zezre. Raz będzie trawił dłużej, raz krócej.

– Ty patrz. – Filomena wsunęła kluczyk do stacyjki. – Ty patrz. To zupełnie jak Tomcia z tymi jej mężami...

Cztery pory magii

Copyright © by Aneta Jadowska, Marta Kisiel, Magdalena Kubasiewicz, Milena Wójtowicz 2023
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Redakcja – Kornelia Dąbrowska, Joanna Mika
Korekta – Agnieszka Zygmunt, Anna Strożek
Skład i łamanie – Katarzyna Kotynia
Projekt okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl
Grafika na okładce i projekt stron tytułowych – Agata Wawryniuk

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,
niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.
Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.
Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.
Dziękujemy!
Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023
ISBN mobi: 9788382109221
ISBN epub: 9788382109238



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:
Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia
Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda
Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,
Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska
Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga
E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz
Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka
Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaż

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl
www.labotiga.pl

* Śródtytuły pochodzą z tekstów utworów wymienionych w przypisach:
tu *Małgośka*, sł. Agnieszka Osiecka, muz. Katarzyna Gartner.

** *Weselny pyton*, sł. i muz. Sławomir Zapala.

*** *Piosenka na wesele*, sł. Krzysztof Mordwa, muz. Paweł Szymczyk.

**** *Winda do nieba*, sł. Marek Dutkiewicz, muz. Jerzy Kruk.

***** *Ona tańczy dla mnie*, sł. i muz. Radek Liszewski.

***** *Ruda tańczy jak szalona*, sł. i muz. Paweł Dudek.

***** *Miał być ślub*, sł. Anna Dąbrowska, muz. Bartłomiej Kapłoński.

***** *Weselny klimat*, muz. i sł. Ada Krawczyk.

***** *Prawy do lewego*, sł. Kayah, muz. Goran Bregović.

***** *O-Zone, Dragostea Din Tei*, sł. i muz. Dan Bălan.

***** *Rudy się żeni*, sł. Jacek Jędrzejak (tekst polskiego coveru),
muz. Lauren Aitkel.

***** *Mama ostrzegęła*, sł. i muz.: Emilia Sanecka, Tobiasz Hes,
Łukasz Sienicki, Marcin Książak.

***** *Mamo, ja nie chcę za mąż*, sł. Zbigniew Książek, muz. Janusz
Mus.

***** *Złote obrączki*, sł. Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski, muz.
Waldemar Parzyński.

***** *Cudownych rodziców mam*, sł. Wojciech Młynarski, muz.
Andrzej Ellmann, Jerzy Konrad.

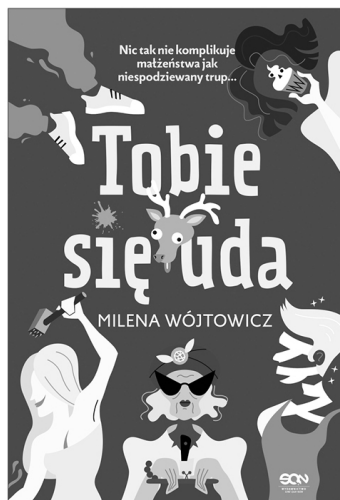
***** *Fragmenty Odysei Homera (Pieśń XII)* w przekładzie Lucjana
Siemieńskiego – przyp. aut.

***** W tłumaczeniu dosłownym: „Na Priaposa!”. Priapos (lub
Priap) był w mitologii greckiej fallicznym bogiem urodzaju i płodności.
Z naciskiem na falliczność, do której odwołuje się w zamyśle Filomena –
przyp. aut.

NIC TAK NIE KOMPLIKUJE MAŁŻEŃSTWA JAK NIESPODZIEWANY TRUP...

Małżeństwo Iwony Borkowskiej było na pozór idealne!
Jednak niespodziewany zgon sąsiada i podejrzenie o romans sprawiły,
że jej życie stało jedną wielką komplikacją.

Choć nie posiadała kochanka, to wszyscy dookoła, włączając w to
sąsiadów, ciotkę męża i policję – nie wierzą w to.



**ŻARTOBLIWIE KRYMINALNA OPowieść,
KTÓREJ NIE MOŻESZ PRZEGAPIĆ**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

NAUKA NA MAGICZNYM WYDZIALE UJ WCALE NIE JEST TAKA PROSTA

W trzech opowieściach z uniwersum Polanii studenci wydziału magicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego muszą uporać się z problemem tajemniczej anomalii w niewielkiej wiosce, odkryć, dlaczego jeden z czarowników z roku zaczyna podejrzanie się zachowywać oraz dowiedzieć się, jakie sekrety skrywa wiekowy czarodziej z gór świętokrzyskich.



**ODWIEDŹ Z NAMI WYDZIAŁ MAGII PRAKTYCZNEJ
I TEORETYCZNEJ UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO**

Szukaj w dobrych księgarniach

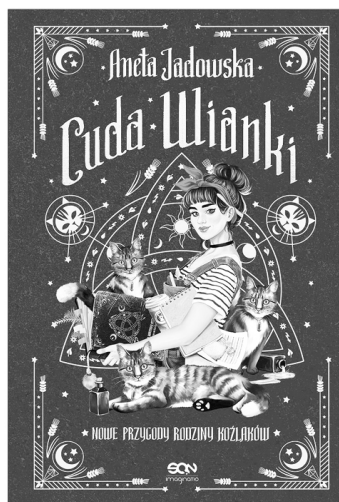


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

RODZINA KOŹLAKÓW NIE POWIEDZIAŁA JESZCZE OSTATNIEGO SŁOWA!

Gdzie się nie pojawią, tam wszechogarniający chaos. Aneta Jadowska, twórczyni cyklu, tak prędko nie pozwoli Koźlaczkom na wyrwanie się z okowów szaleństwa. Na czytelnika już czeka masa niecodziennych przygód – od afery narkotykowej po całkowitą anihilację miasteczka. Z taką rodzinką nic nie może być ani proste, ani tym bardziej zwyczajne.



Z KOŹLAKAMI TRUDNO NARZEKAĆ NA NUDE!

Szukaj w dobrych księgarniach



WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

ANTOLOGIA INSPIROWANA PRACAMI JAKUBA RÓŻAŁSKIEGO

Dwanaście utalentowanych polskich autorek SF i fantasy oraz ceniony współczesny artysta, autor niepokojących, sugestywnych obrazów.

Dwanaście opowieści, dwanaście poruszających prac.

Niezliczone emocje, trudne dylematy i fascynujący bohaterowie żyjący pod niebami innymi niż nasze.



ODLEGŁE KRAINY. ODMIENNE EMOCJE. INNE NIEBA

Szukaj w dobrych księgarniach



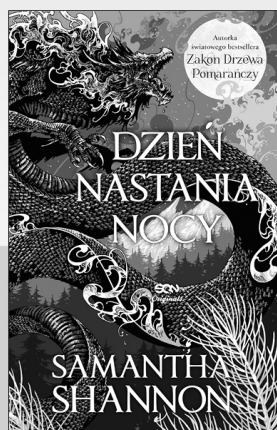
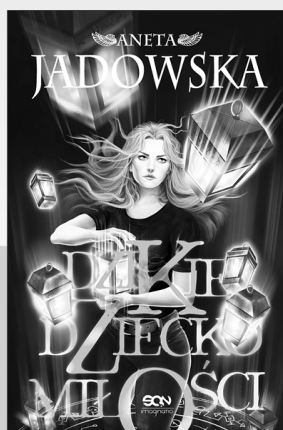
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl

